FEMINISTKI ZAPĘDZIŁY SIĘ W KOZI RÓG

Ziemkiewicz ostro o molestowaniu na lewicy

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 49/251 4–10 GRUDNIA 2017

Petru – szybki koniec króla wpadek

150. ROCZNICA URODZIN

DLACZEGO POLACY KOCHAJĄ MARSZAŁKA – PISZE SEMKA

Czy przepłacimy za rakiety Patriot?

ŚLEDZTWO DO RZECZY

Lustrujemy szefów Unii

Zaskakująco wielu z nich ma czerwone korzenie

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
9 772299 850000 49 >
Nakład: 100 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 13086607b7

eprasa.pl 13086b07b7

Edycja limitowana - Jerzy Dudek

Zegarek sygnowany przez ambasadora CITIZEN w Polsce - Jerzego Dudka, który poleca technologie jutra:

Eco-Drive generuje energię z dowolnego źródła światła: naturalnego lub sztucznego, jasnego lub przyciemnionego i zasila nią mechanizm.

Radio Controlled automatycznie koryguje dokładność wskazania czasu zgodnie z wzorcem z nadajników radiowych.

Seria 500 numerowanych zegarków - wyłącznie w Polsce!

Eco-Drive
Radio-Controlled
Watch

citizen.pl

CITIZEN®

BETTER STARTS NOW

eprasa.pl 13086b07b7

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nie do takiej Unii wchodziliśmy

Niedawno w Parlamencie Europejskim odbyła się kolejna, szósta już chyba, debata poświęcona polskiej demokracji. Być może najbardziej szokującą rzeczą jest to, że wielu jej uczestników, wielu tych, którzy teraz występują w roli Katonów i oskarżycieli, wywodzi się z różnej maści lewackich ugrupowań. Kogóż to wśród nich nie ma? Dawni komuniści, anarchiści, maoiści, antyglobaliści. Wszystkich łączy obecnie kilka prostych idei. Po pierwsze, nienawiść do tradycji chrześcijańskiej Europy. Po drugie, wrogość do państwa narodowego jako najważniejszego podmiotu dziejów. Po trzecie, fascynacja różnymi nowoczesnymi „izmami", które zastąpiły dawny, sfatygowany i zmęczony marksizm oraz jego walkę klas. Są tam zatem radykalne feministki, genderystki i genderyści, ekologowie i ekolożki, obrońcy prawa do aborcji i zmiany płci, propagandyści związków homoseksualnych i lesbijskich. Wszyscy oni widzą w komunizmie cechy pozytywne, uznają, że ta zbrodnicza, totalitarna ideologia była ostatecznie źródłem emancypacji i wolności. Nie tylko, że nie wstydzą się swoich korzeni, nie tylko, że nie tłumaczą się z nich, lecz także sądzą, iż wcześniejsze lewackie zaangażowanie daje im szczególne prawo oceniania innych.

To, co kompromituje w Polsce, na Zachodzie bywa powodem do chwały. W Polsce lewaccy radykałowie znajdują się na marginesie debaty publicznej, w wielu państwach Unii zajęli centrum i dyktują jej ton. W Polsce z poglądami reprezentowanymi przez unijną lewicę można co najwyżej liczyć na poparcie wąskich warstw społecznych, w wielu państwach Unii dzięki ich głoszeniu zdobywa się pozycję i władzę.

Powód jest oczywisty – w przeciwieństwie do mieszkańców wielu państw Zachodu Polacy na własnej skórze doświadczyli rządów komunistycznych. Wiedzą, czym się kończy budowanie utopii i łamanie prawa naturalnego. Rozumieją, że ideologiczny radykalizm prowadzi w ostateczności do stosów trupów, nienawiści, pogardy dla wolności. Pamiętają, że brunatny terror niemieckich nazistów i czerwony terror sowieckich komunistów co do istoty oraz liczby ofiar nie różniły się od siebie. Dlatego kiedy patrzę na występy co bardziej zaangażowanych zielonych i czerwonych europosłów, którzy w prostej linii wywodzą się z komunistycznych organizacji, wyobrażam sobie, jak wyglądałby świat, gdyby historia potoczyła się inaczej i gdyby współcześnie rządzili następcy nazistów. Tak, nie widzę różnicy między przynależnością do organizacji neonazistowskich i komunistycznych – jedne i drugie są równie godne potępienia.

Można oczywiście powiedzieć, że przecież największą frakcją w Parlamencie Europejskim są chrześcijańscy demokraci, że różne kluby lewicowe są w mniejszości. W sensie arytmetycznym to prawda. Jednak to nie chadecy – pragmatyczni, bezideowi, zmęczeni – nadają ton. Rząd dusz należy do liberalnej lewicy. To nie przypadek zatem, że nad wejściem do jednego z najważniejszych budynków Parlamentu Europejskiego znajduje się nazwisko Altiero Spinellego, włoskiego komunisty, autora manifestu z Ventotene, w którym to wzywa się do ostatecznego zniesienia państw narodowych, walki z imperializmem i tradycyjną kulturą, która ma być źródłem opresji, ucisku, alienacji.

To nie Polska uległa zmianie, to Unia, w miarę czasu, pokazuje swoją inną twarz. Polska przystępowała do Unii, wierząc, że jest to najlepsza forma zabezpieczenia własnej niepodległości, zarówno szybkiego rozwoju cywilizacyjnego, jak i bezpieczeństwa. Coraz częściej okazuje się jednak, że dla polityków europejskiej lewicy Unia stała się poręcznym instrumentem dyscyplinowania i karania niesfornych, wielkim wehikułem, za pomocą którego można realizować utopijne cele. Tak jak w przypadku każdej obsesyjnej ideologii nie liczą się korzyści i szacunek dla odrębności narodowej, ale dążenie do narzucenia innym swoich wzorców. Nic dziwnego, że takie zachowanie polityków lewicy musi prowadzić do postawienia sobie na poważnie pytania o sens dalszej przynależności do Unii. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 13086b07b7

butiki **SWISS**

swiss.com.pl

eprasa.pl 13086b07b7

TEMAT TYGODNIA

18 OLIVIER BAULT
CZERWONA BRUKSELA
Lustrujemy szefów Unii

KRAJ

24 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM ŁAPIŃSKIM
PREZYDENT WYTYCZYŁ GRANICE
Nie ma kapitulacji w sprawie reformy sprawiedliwości

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
DZIEŃ, W KTÓRYM UPADŁ RYSIEK

30 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
SZACH-MAT KATARZYNY LUBNAUER

32 MACIEJ PIECZYŃSKI
PATRIOTY BĘDĄ DROŻSZE, ALE NOWOCZESNE

34 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
LEWICA, CZYLI PATOLOGIA

37 EWA ŁOSIŃSKA
ROSJA WYDALIŁA POLSKIEGO HISTORYKA

38 MARCIN MAKOWSKI
HITLER BEZ SWASTYKI, CZYLI CENZURA W GRACH

40 RADOSŁAW WOJTAS
PRZESTĘPSTWO PRAWIE DOSKONAŁE

KULTURA

42 KRZYSZTOF MASŁOŃ
GŁOS WOLNEJ POLSKI
Gintrowski – A jednak coś po nas zostanie

46 PIOTR GOCIEK
CHŁOPY PRECZ!

48 ROZMOWA Z WOJCIECHEM TOMCZYKIEM
„MARSZAŁEK" W TEATRZE TELEWIZJI

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA Z DR. JÓZEFEM ORŁEM
WPŁYWY NOWOGRODZKIEJ ZMALAŁY
Prezes Klubu Ronina i koordynator Ruchu Kontroli Wyborów: Kto myśli dobrze o Polsce, ten musi być blisko PiS

60 BŁAŻEJ SAJDUK
CYFROWY DYLEMAT PRZYSZŁOŚCI

62 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
ŚLEPI NA JEDNO OKO

64 SZEWACH WEISS
FASZYŚCI I KOMUNIŚCI

HISTORIA

66 PIOTR SEMKA
KULT MARSZAŁKA
150. rocznica urodzin Józefa Piłsudskiego

70 SEBASTIAN LIGARSKI
SPEKTAKULARNA PORAŻKA WŁADZ PRL

ŚWIAT

72 TERESA STYLIŃSKA
MUSIMY STAĆ SIĘ FINAMI
Sukces młodego kraju

74 ROZMOWA Z MICHAŁEM ZICHLARZEM
SPRAWA WALUSIA JEST POLITYCZNA

EKONOMIA

78 JACEK PRZYBYLSKI
ZAROBIĆ NA NIEDZIELI
Skutki ograniczenia niedzielnego handlu

84 ŁUKASZ ZBORALSKI
PIENIĄDZE Z GŁOWY

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
BIUSTONOSZ STORY
Moda na kobiecych piersiach

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (12), GMYZ, GOCIEK (16), POSPIESZALSKI (54), ZALEWSKI, WOLSKI (59), ZYCHOWICZ, KOPER (69), KOWALCZUK (76), GABRYEL, RYBIŃSKI (88), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 13086b07b7

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu dwa głosy dotyczące artykułów z naszych ostatnich numerów.

„To był akt zemsty”

Jesteśmy z mężem stałymi czytelnikami „Do Rzeczy”. W jednym z ostatnich numerów (44/2017) przeczytaliśmy wywiad red. Wojciecha Wybranowskiego z redaktorem TVP Krzysztofem Ziemcem na temat jego książki „Wysiedleni. Akcja »Wisła« 1947”.

Książka na razie nie jest dostępna w księgarniach, toteż odnoszę się tylko do wywiadu.

Na wstępie Krzysztof Ziemiec mówi, że z tymi wydarzeniami nie ma nic wspólnego, gdyż nie ma korzeni ukraińskich ani nie pochodzi z Kresów. To może tłumaczyć kompletną nieznajomość realiów tamtych czasów i wydarzeń.

Pan red. Ziemiec snuje swoje przemyślenia na temat akcji „Wisła” z roku 1947 po pobycie w Bieszczadach i rozmowach z osobami „poszkodowanymi” w tej akcji. W efekcie tych rozmów wydaje własny osąd tych wydarzeń, mówiąc, że były one „aktem zemsty”. Nie powiedział tylko czyjej zemsty, gdyż przedwojenna Polska nie miała nic do powiedzenia [...], rządził okupant.

Za prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego Sejm RP na wniosek syna upowca, Mirona Sycza, podjął skandaliczną uchwałę potępiającą akcję „Wisła”. Bulwersuje mnie to, że red. Ziemiec jako Polak nie ubolewa nad krzywdami bestialsko mordowanych Polaków. [...]

Przesiedlenia Ukraińców z Bieszczad w 1947 r. na tereny zachodniej Polski odbywały się w znacznie lepszych warunkach niż przesiedlanie (wypędzanie) Polaków z Kresów Wschodnich tuż po zakończeniu wojny.

Słusznie zauważa red. Ziemiec, że po przesiedleniu Ukraińców z Bieszczad ustały mordy ukraińskie na Polakach, z czego można wysnuć wniosek, którego autor już nie formułuje.

Jestem Kresowianką urodzoną we Lwowie. Moja Mamusia była nauczycielką w polskiej szkole w Sławentynie pow. Podhajce. Po wejściu Sowietów do Polski została bestialsko zamordowana przez Ukraińców 17 września 1939 r. w szkole, w której mieszkała i uczyła.

Ojciec mój dostał się do niewoli sowieckiej. Jeniec Starobielska został rozstrzelany w Charkowie w 1940 r. jako jedna z ofiar zbrodni katyńskiej.

Bardzo bym chciała, żeby współczesne relacje polsko-ukraińskie oparte były na prawdzie historycznej...

(imię i nazwisko do wiadomości redakcji)

„Godło chwały”

Zawsze sobie czytam w niedzielę przy kawie felietony p. Łysiaka, mimo zastrzeżeń stara miłość nie rdzewieje (napisałem maturę o Łysiaku, dostałem bdb.). Tym razem w starym, dobrym, erudycyjnym stylu opowiedział o orłach („Do Rzeczy” 45/2017). Jednak nie odgadł, skąd w herbach orzeł.

Trudno zobaczyć orła w Polsce, to p. Łysiaka tłumaczy. Gdyby widział, zrozumiałby natychmiast. Co prawda teraz mnóstwo ludzi „kocha” przyrodę jak sojowe latte – bo musi. Dawniej szczerze i żywiołowo, na zabój, kochały przyrodę zabijaki. Rycerstwo namiętnie polowało. Kazimierz Wielki, Jagiełło wydawali krocie na polowania, ale i odeszli przedwcześnie na skutek pasji do przyrody. Wtedy widywano orły powszechnie. Najciekawiej było, jak spadały z nieba na ofiarę. Ptak drapieżny musi być szybszy od ofiary, dlatego by nabrać prędkości w momencie ataku, zwija częściowo skrzydła wzdłuż ciała, wyciąga nogi do przodu, by szponami schwytać ofiarę, jednocześnie sterując szeroko rozłożonym ogonem. To naprawdę piękny widok, a najpiękniejszy u białego (!) rybołowa.

Rycerstwo miało w sobie tę dziką śmiałość, o której p. Waldemar tak dużo pisał. Obraz drapieżnego ptaka spadającego na zwierzynę w gwałtownym locie – tak, to się tym śmiałym ludziom podobało. Rzucić się na grupę nieprzyjaciół jak orzeł, rozbić ich nagłym atakiem – to warto było mieć w herbie, pokazać wrogom. Szczupłość miejsca na tarczy nie miała tu żadnego znaczenia – orzeł ze zwiniętymi skrzydłami, szeroko rozłożone nogi i ogon – to orzeł w ataku!

Nasze obecne godło – z całym szacunkiem dla Najjaśniejszej – raczej przedstawia dopiero opierzającego się podlota...

Pozdrawiam
Tadeusz Zając
zamiłowany ornitolog

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Brukselа)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Damian Cygan, Karol Gac, Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **FOTOLIA, EP(4); opr. graf. JAN/MIDAS**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

FIRMA RODZINNA

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl;
tel. + 48 692 46 40 80
PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa**
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 100 tys. egzemplarzy
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 13086b07b7

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Tam Wietnam, tu Sajgon

Powiem prezydentowi, że jest dobrze – to, co nam się udało osiągnąć w tej atmosferze" – orzekła Zofia Romaszewska po zakończeniu burzliwych obrad nad ustawami o reformie sądów w komisji sprawiedliwości. Zapytana o szanse przegłosowania ustaw w Sejmie doradczyni prezydenta stwierdziła krótko: „Myślę, że chyba już wszystko wszyscy grzecznie zrobią".

Dla zwolenników zmian w sądach zabrzmiało to jak happy end po aluzjach o kolejnym prezydenckim wecie. Jednak o zakończeniu sporu o reformę sądów będzie można powiedzieć dopiero, gdy Andrzej Duda po powrocie z wizyty w Wietnamie sam oceni poprawki i ewentualnie złoży swój podpis pod ustawami o Sądzie Najwyższym i KRS. Czy to już koniec kryzysu na linii PiS – prezydent rozpoczętego wetem z 24 lipca? Niestety, nie. Spełnia się niedobry scenariusz, w którym jeden konflikt generuje kolejne i rośnie wzajemny brak zaufania.

Pod pióro ciśnie się pytanie: Dlaczego na spotkaniach Andrzeja Dudy z Jarosławem Kaczyńskim nie stworzono mechanizmu stałych i efektywnych konsultacji na czas prac nad ustawami w Sejmie? Dlaczego to Zofia Romaszewska, a nie prezydencki prawnik Paweł Mucha, negocjujący z szefem komisji Stanisławem Piotrowiczem z PiS poprawki, reprezentował kancelarię w czasie burzliwych posiedzeń komisji sprawiedliwości? W pierwszej fazie prac nad ustawami Pawła Muchy w Sejmie nie było, gdyż – jak tłumaczono – „miał inne obowiązki". Jakie mogły być ważniejsze obowiązki niż czuwanie nad procedowaniem poprawek?

Kolejne pytanie jest szersze i dotyczy polityki prezydenta. Czy ma pomysł na swoją rolę na scenie politycznej? Kaczyński to twardy partner i wysoko licytuje. Andrzej Duda wszedł z nim w spór, nie zadając sobie pytania, jakie ma polityczne aktywa. Jeszcze do niedawna wydawały się one bardzo silne – prawo weta i przywilej powoływania nowego rządu. Jednak ponowne użycie weta w sprawie ustaw o sądach byłoby bardzo trudne w obliczu rosnącego krytycyzmu elektoratu PiS wobec jego osoby. A siłę przywileju powoływania rządu lider PiS osłabia, odkładając na razie rekonstrukcję gabinetu.

Prezydent utracił wiele z początkowej sympatii, którą zyskał, wybijając się lipcowym wetem na niepodległość. W niedawnym wywiadzie dla Bogdana Rymanowskiego w TVN sporą część rozmowy poświęcił narzekaniom na ograniczanie jego wpływów w MON. Jeden z komentatorów kąśliwie napisał: „Prezydent godzinę mówił, jak mu jest przykro". No cóż, jeśli konfliktu nie da się szybko rozwiązać, to się o nim mówi jak najmniej.

Dawno minęły dni, gdy opozycja chwaliła prezydenta za zatrzymanie „PiS-owskiego walca". Publicyści snuli rozważania o powstaniu partii prezydenckiej. Jeden z kandydatów na jej twórcę – Paweł Kukiz – sam zmaga się z topnieniem swojego ugrupowania, a inni typowani do tej roli, tacy jak Jarosław Gowin, nie kwapią się do wojny z „naczelnikiem". A dla opozycji prezydent znów jest „Adrianem".

Głowie państwa brakuje politycznej siły i determinacji. Tę brutalną prawdę PiS stale przypomina gospodarzowi Belwederu. Andrzej Duda musi wymyślić na nowo swoją prezydenturę. Tyle że polityczne pole między PiS a opozycją znów stało się niezwykle wąskie. ©℗

FOT. WIKIPEDIA

WALKA O „TANIEC WŚRÓD MIECZÓW"

Obraz Henryka Siemiradzkiego, znajdujący się na liście polskich strat wojennych, został w zeszłym tygodniu wycofany z aukcji w londyńskim domu aukcyjnym Sotheby's. Udało się to dzięki interwencji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Narodowego Instytutu Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów oraz Prokuratury Rejonowej Warszawa-Mokotów. Jak poinformował wicepremier i minister kultury Piotr Gliński, władze w Warszawie domagają się zwrotu obrazu do Polski. Decyzja w tej sprawie leży w gestii brytyjskiego sądu. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 13086b07b7

Święta

to czas poszukiwania prezentów dla bliskich. Niejednokrotnie stajemy przed ciężką decyzją, co wybrać?

Agata Krawczyk
Ekspert Zapachowy Douglas

Perfumy to podarunek, który zawsze wywoła uśmiech obdarowanego. To zapach jest najpiękniejszą formą wyrażenia emocji bez używania słów. To zapachy zapamiętujemy bardziej niż smaki. **Jak wybrać by się spodobał naszym najbliższym? Na co zwrócić szczególną uwagę?** Pierwszą podpowiedzią w wyborze kompozycji zapachowej będzie gust obdarowywanej osoby, to czego używała wcześniej. Taką informacją podzielmy się z konsultantem w perfumerii, a na pewno zaproponuje nam odpowiednią alternatywę. Jeśli nie pamiętamy jaki konkretnie zapach jest ulubionym, warto powiedzieć jaką jest osobą, czym zajmuje się na co dzień, co lubi robić w wolnym czasie, jak się ubiera? Wtedy jesteśmy w stanie stworzyć właściwą garderobę zapachową. Czas świąt to czas prezentów i w każdym zestawie z perfumami znajdziemy dodatkowo żel pod prysznic, balsam do ciała czy dezodorant. Pięknie zapakowany będzie cieszył oko jeszcze przed rozpakowaniem. **Pamiętajmy, że zapachy to wspomnienia i emocje, podarujmy coś niesamowitego w te święta!**

WYŁĄCZNIE W DOUGLAS

MICHAEL KORS
Zestaw: Sexy Ruby
Woda perfumowana, 50 ml,
24K Briliant Gold
Balsam do ciała, 75 ml,
339 zł

WYŁĄCZNIE W DOUGLAS

ELIE SAAB GIRL OF NOW
Zestaw: Elie Saab
Woda perfumowana, 50 ml
Elegancka kosmetyczka
359 zł

WYŁĄCZNIE W DOUGLAS

ABERCROMBIE & FITCH
Zestaw: First Instinct
Woda toaletowa, 50 ml
Żel pod prysznic
do ciała i włosów, 100 ml
249 zł

WYŁĄCZNIE W DOUGLAS

YSL
Zestaw: Mon Paris
Woda perfumowana, 50 ml
Balsam do ciała, 50 ml
Żel pod prysznic, 50 ml
389 zł

WYŁĄCZNIE W DOUGLAS

GIORGIO ARMANI
Zestaw: Armani Code Profumo
Woda perfumowana, 60 ml
Żel pod prysznic, 75 ml
Balsam po goleniu, 75 ml
359 zł

IN STORE · ONLINE · MOBILE
DOUGLAS.PL

Douglas
YOUR PARTNER IN BEAUTY

eprasa.pl 13086b07b7

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wieszanie

Eurodeputowani PO na prawo i lewo (ale bardziej na lewo) skarżą się na członków katowickiego ONR, którzy powiesili ich konterfekty na szubienicach – analogicznie do tego, co w czasach insurekcji kościuszkowskiej warszawiacy zrobili z targowiczanami. Oburzeniu nie ma końca, autorytety moralne po raz enty rozgęgały się zgodnie, jaki mamy w Polsce straszliwy faszyzm, ponoć nawet sprawa ma stać się przedmiotem kolejnej interwencji europarlamentu, bo – jak wiadomo – w Europie naprawdę nie ma żadnych większych problemów niż „nazizm" odradzający się jakoby w Europie Środkowej.

Zwolennicy PO „powiesili" na swoim „błękitnym marszu" w 2009 r. ówczesnego prezydenta Lecha Kaczyńskiego

To już nie jest dno, to już jest kilka metrów pod nim. Nie ma pewnie dnia, żeby w Europie nie odbywały się jakieś demonstracje. Protestują związkowcy, rolnicy, rybacy, obrońcy środowiska, pocztowcy, anarchiści, autonomiści, kto żyw. Niemal na każdej z tych manifestacji pali się jakieś flagi, przynosi trumny, wymachuje szubienicami dla kogoś tam, wiesza albo podpala kukły wyobrażające przeciwników. Zwolennicy PO „powiesili" na swoim „błękitnym marszu" w 2009 r. ówczesnego prezydenta Lecha Kaczyńskiego, na demonstracjach przeciwko ministrowi oświaty kilka lat wcześniej wieszali kukłę Romana Giertycha – Frankensteina – i postulowali, by ministra wrzucić do wora, a wór do jeziora, wieszali też „in effigie" polityków poznańscy anarchiści – środowiska tak dziś histeryzujące w żadnym z tych przypadków powodu do interwencji nie widziały.

Robienie z szubienicznego happeningu ONR jakiejś wielkiej sprawy dowodzi skrajnej już nędzy umysłowej „totalnej opozycji", nieumiejącej wygenerować niczego poza ciągłym jojczeniem nad „męczeństwem" doznawanym w „tym kraju". Podchwytywanie tego jojczenia przez media zachodnie i rozdymanie kilkuosobowej demonstracji do nie wiadomo jakiej rangi dowodzi, że mają one prikaz pluć na nas za wszelką cenę, pod dowolnym, najbzdurniejszym nawet pretekstem. Wszystko to jest nacechowane skrajną głupotą, bo przecież wieszającym w Katowicach portrety zdrajców o nic innego nie chodziło, tylko o to, żeby cały świat usłyszał, za kogo uważa ONR Polaków domagających się nakładania na Polskę europejskich sankcji. Lewicowo-liberalny establishment lepiej im w tym pomóc nie mógł. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Feministki są OK

Nikt nie lubi przyznawać się do błędu, nie mam jednak wyboru – kilka tygodni temu w internetowym komentarzu napisałem, że akcja „#metoo" to tylko lans kilku celebrytek, za co spadła ma mnie lawina krytyki, również od redakcyjnych koleżanek. Usłyszałem, że kobiety poczują się mocniejsze razem i wiele rzeczy się upubliczni. Wiara, że dzięki hasztagom w necie pokona się traumę molestowania, ma tyle wspólnego z rzeczywistością, co przekonanie, że od bazgrania kredą po chodniku upadnie ISIS, przyznaję jednak: sporo wyszło na jaw.

Z siłą wodospadu trysnęło szambo lewicowej obłudy i hipokryzji. Okazało się, że czołowi dziennikarscy fighterzy „równościowego frontu" mają na sumieniu – jak twierdzą ich koleżanki – molestowanie i przemoc seksualną, a także, że ponoć upokarzane przez nich feministki o tym milczały, co bynajmniej nie przeszkodziło im w kierowaniu pod adresem prawicy oskarżeń o szowinizm.

Notabene szambełko tryska na lewicy już nie pierwszy raz. A to np. okazuje się – przy okazji wręczania nagrody Nike – że ktoś miał wpływać na jury przez łóżko, inny autorytet wyłudzał pieniądze, a poza tym był molestowany przez ikonę feminizmu. A to, że czołowy publicysta radykalnej lewicy, bywalec salonów, wykorzystywał swoją kochankę jako darmową siłę roboczą, czy wreszcie, że w tym środowisku wyzwanie kobiety od k...y nie jest chamstwem, lecz artystycznym komplementem.

Kompromitujące lewicę w oczach opinii publicznej brudy niemal za każdym razem, jakby mimochodem, do rynsztoku wylewają feministki, co potwierdza tezę, że nikt tak skutecznie nie potrafi zaszkodzić temu środowisku jak owe „wyemancypowane" towarzyszki. Dziękuję i proszę o więcej. ©℗

eprasa.pl 13086b07b7

ZDROJOWA HOTELS®

Święta i Sylwester w najpiękniejszych kurortach™

Kołobrzeg · Świnoujście · Ustronie Morskie · Szklarska Poręba

Rezerwuj swój pobyt:
+48 **91 40 40 400**
rezerwacja@zdrojowahotels.pl

eprasa.pl 13086b07b7

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Egzekucja in effigie

Nie jestem wielbicielem poetyki, której użyli działacze Ruchu Narodowego podczas demonstracji w Katowicach, wieszając na szubienicach zdjęcia sześciorga europosłów PO, którzy głosowali w PE za rezolucją cenzurującą Polskę. Gdy z żenującą łatwością przychodzi rzucanie najcięższymi słowami (zdrajcy, targowica, dyktatura, reżim – i tak dalej), podgrzewanie atmosfery takimi happeningami niczemu dobremu nie służy.

Reakcje na demonstrację można z grubsza podzielić na dwie grupy.

Grupa pierwsza: „Bardzo dobrze, zdrajców by trzeba powiesić, a poza tym gdzie byliście, obrońcy targowicy, gdy działał przemysł pogardy wobec Lecha Kaczyńskiego?".

Grupa druga: „To wstęp do fizycznej likwidacji przeciwników politycznych, a pisowska policja tylko stała i się przyglądała, zamiast interweniować".

Zabrakło całkowicie refleksji nad zagadnieniem podstawowym: wolnością słowa.

Nie wiem, czy świadomie, ale narodowcy nawiązali do starej tradycji egzekucji in effigie, gdy zamiast przestępcy wieszało się jego wizerunek. Taką właśnie egzekucję z czasów insurekcji kościuszkowskiej utrwalił na jednym ze swoich najsłynniejszych obrazów Jan Piotr Norblin. Mocny przekaz. Czy jednak wykraczający poza granice wolności słowa i wymagający natychmiastowej interwencji policji? Przecież jeśli ktoś uważa, że naruszone zostały w ten sposób jego dobra osobiste, może złożyć pozew. Jeśli uzna, że miało miejsce nawoływanie do przemocy, może złożyć doniesienie. Nie bardzo jednak wiadomo, dlaczego policja miałaby w takiej sytuacji interweniować na miejscu.

Lecz wolność słowa obowiązuje w obie strony. Jeśli coś podobnego na swojej demonstracji z wizerunkami Beaty Szydło, Andrzeja Dudy czy Jarosława Kaczyńskiego zrobią członkowie KOD albo inni Obywatele RP – to nikt nie powinien ich za to zatrzymywać. Prawo powinno tak samo traktować wszystkich.

Owszem, lepiej by było, gdyby temperatura sporu była jakieś 20 razy niższa i żeby nie bawiono się w egzekucje in effigie. Jeśli jednak taka ma być cena za utrzymanie wolności słowa, choćby i nadużywanej – gotów jestem zapłacić. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Gang staruszek

Michał Szczerba nie ma ostatnio najlepszej passy. Poseł wpadł na trop „przypominającego lata 30." linczu tramwajowego. Zanim, jak w radiu Erewań, okazało się, że nie linczują, tylko proszą o ustąpienie miejsca i nie biją, tylko się sprzeczają, napisał: „W tramwaju w #Warszawa został pobity 66-letni mężczyzna. Zaatakowany słownie i fizycznie przez współpasażerów. Bo czytał #GazetaWyborcza. Komuś się nie spodobało. Reszta dołączyła. Uderzony łokciem, targany za włosy, kazano mu zdjąć okulary. Coraz więcej nienawiści w #PaństwoPiS".

Przyparty do muru, a właściwie grzecznie poproszony o jakieś szczegóły, poseł Szczerba tweet po tweecie tonował oskarżenia. „Prosimy o więcej konkretów. Gdzie (np. ulica, nr linii) i kiedy miała miejsce ta sytuacja, ponieważ nie mamy zawiadomienia o takim zdarzeniu" – pytała warszawska policja. I ja również dopytywałem: „Dlaczego zamiast na komisariat chcący zachować anonimowość mężczyzna pobiegł najpierw na skargę do redakcji »Wyborczej«"? „Mam wrażenie, że stoi pan w tej sprawie po niewłaściwej stronie" – replikował Szczerba.

Po jedynej słusznej stronie stanęła oczywiście redakcja organu Adama Michnika. Dorota Wysocka-Schnepf zrobiła dramatyczny wywiad z posłem, który trzęsącym się głosem relacjonował kolejne szturchnięcia, ataki słowne i napaść sprowokowane czytaną prasą. Później na Twitterze zamieszczono zdjęcia ze „spontanicznej akcji" trzech osób, które w geście solidarności wertowały na przystanku tramwajowym „Wyborczą". „Tej siły już nie zatrzymacie" – słusznie zauważył Wojtek Wybranowski.

I tak po nitce do kłębka okazało się, że zamiast z prawicowymi bojówkami 66-letni pan Jan (bo w końcu ujawnił swoje imię) posprzeczał się z… grupą staruszek, ponieważ jednej z nich nie chciał ustąpić miejsca. Ktoś tam krzyknął, że „siedzi sobie taki i czyta gazetę", po czym pan Jan smutny wyszedł z tramwaju. Z mojej dalszej konwersacji z pierwszym twitterowym pistoletem PO wynikało, że „gang staruszek" zaatakował dwa miesiące temu, nikomu nic się nie stało, pan Jan nie wnosi żadnego oskarżenia, nie ma monitoringu, nie ma również świadków. „#szaryczłowiek – wersja budżetowa" – złośliwie skomentowała Nagroda Złotego Goebbelsa. ©℗

FORUM O PRZEMYŚLE W KARPACZU

PATRONAT DO RZECZY

Budynki zeroenergetyczne, cyfrowa gospodarka, samochody elektryczne, innowacyjna gospodarka, crowdfunding, polityka klimatyczna, recycling 2.0, reindustrializacja oraz przemysł 4.0 – to tylko część tematów, o których dyskutować będą uczestnicy III Forum Przemysłowego w Karpaczu. Spotkanie potrwa od 8 do 10 grudnia.

Udział w forum weźmie ok. 700 przedstawicieli dużego i średniego biznesu z Polski i z zagranicy, a także eksperci, urzędnicy oraz dziennikarze.

(jap) ©℗

eprasa.pl 13086b07b7

Podnieście głowy!

To mogło zdarzyć się tylko w Polsce

Album „Podnieście głowy!" jest nie tylko podsumowaniem Wielkiej Pokuty i Różańca do Granic - dwóch wielkich inicjatyw modlitewnych, które miały miejsce w naszej Ojczyźnie w przeciągu niecałego roku. To również fascynująca podróż przez dzieje wiary w Polsce, nowe spojrzenie i próba odczytania znaków czasu.

Bogato ilustrowane wydawnictwo, zawiera setki nigdy niepublikowanych zdjęć. Wspaniałe przypomnienie i pamiątka dla uczestników tamtych niezwykłych zdarzeń. Doskonały prezent na święta.

Książka dostępna w przedsprzedaży już od 04/12/2017,

jedynie na: www.sklep.mikael.pl

Wiecej informacji na: www.rozaniecdogranic.pl i www.wielkapokuta.pl

Dochód ze sprzedaży książki przeznaczony jest na finansowanie kolejnych inicjatyw organizowanych przez Fundację Solo Dios Basta.

Premiera książki już 08/12/2017 w święto Niepokalanego Poczęcia Maryi Panny.

MECENASI GŁÓWNI: Energa

MECENASI: RENOVIS, Fundacja SCALAM

WSPÓŁPRACA: MIKAEL

eprasa.pl 13086b07b7

NIEWDZIĘCZNI

Pisarz Jacek Dehnel udzielił wywiadu „Gazecie Wyborczej". Poskarżył się w nim, jak straszna była Warszawa przed wojną. Koszmarna pod każdym względem. – Nędza, bezdomność, brud międzywojennej Warszawy, koszmarne losy prostytutek, przemocowość całego systemu są ukrywane – narzeka. I swoim pisarskim umysłem od razu diagnozuje, dlaczego są ukrywane. – Wielu z nas po prostu chce, żeby to było piękne miasto, w którym Niemcy zburzyli wielkomiejską, wysmakowaną architekturę, zostawiając gruzowisko, a na nim zły sowiecki komuch zbudował szkaradę – oznajmia Dehnel w „Wyborczej". – Tymczasem Niemcy zburzyli miasto borykające się z potwornymi problemami, wielkimi nierównościami społecznymi, miasto z dzielnicami nędzy, tysiącami bezdomnych, z rodzinami gnieżdżącymi się w zagrzybionych norach – wylicza. Wychodzi na to, że właściwie to Niemcom powinniśmy podziękować za to, że nam stolicę zrównali z ziemią. Tymczasem my tu z jakimiś reparacjami wyskakujemy. Niewdzięcznicy!

MAJDANY W AKCJI. ZNOWU

Wydało się, nad jakim wielkim, tajemniczym projektem pracują od wielu tygodni Perfekcyjna Pani Domu Małgorzata Rozenek i jej małżonek

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

Majdan Radosław. Chodzi ponoć o reality show, w którym dwoje uczestników wyjeżdża do obcego kraju i po przylocie rzuca monetą. Wygrany udaje się do ekskluzywnego hotelu, gdzie spędza dwa dni w luksusach, a przegrany ląduje na ulicy z kwotą 100 dol. na przetrwanie. Czyli jedno żyje swoim życiem, a drugie bawi się w biedaka. Format podobno został kupiony od ukraińskiej telewizji. Tam jest hitem. Polską wersję z Majdanami TVN być może przedstawi już wiosną. Majdany na razie nie potwierdzają tych informacji, dawkując napięcie. – Program jest wielkim wyzwaniem i przygodą, ale wbrew zapewnieniom producentów do końca nie jest bezpieczny – mówi Radosław. – To jest program, który wymaga od nas bardzo wiele zaangażowania. Pokazuje nas ze strony prywatnej i hardcore'owej – dodaje Rozenek. Hardcore'owe byłoby, gdyby nikt nie pokazywał Majdanów wcale. Przez miesiąc. No dobra, chociaż przez tydzień.

FOT. PAWEŁ GROMADA

CZASEM LEPIEJ NIE WIDZIEĆ

Aktor Zbigniew Zamachowski, który w mediach plotkarskich funkcjonuje niestety jako mąż swojej gadatliwej i udzielającej setek wywiadów żony Moniki Richardson (choć trzeba przyznać, że ostatnio się trochę uspokoiła), został zapytany o to, jak mu się podoba współczesna telewizja, w której rządzą m.in. seriale paradokumentalne.

– Od wielu, wielu lat nie oglądam telewizji – mówi Zamachowski.

– Jestem człowiekiem, który czasem współtworzy jakiś program i mniej więcej wiem, z czym się to je, ale nie potrzebuję jako konsument telewizora, w związku z tym trudno mi porównywać rzeczy, których nie znam. Oczywiście mam jako takie pojęcie o tym, co się w ogóle w telewizji dzieje, i moim zdaniem nie dzieje się najlepiej, ale nie chcę tutaj narzekać jak stary pierdziel, który pamięta czasy, kiedy telewizja edukowała, a nie ogłupiała – wyznaje. Chyba wiemy, dlaczego pan Zbigniew nie ogląda telewizji. Łatwiej być bowiem mężem Moniki Richardson, gdy nie musi się oglądać prowadzonych przez nią programów.

LEPIEJ NIE MÓWIĆ

Jakub Kucner, czyli nowy Mister Polski, następca Rafała Maślaka, walczy teraz niczym lew o pozycję w show-biznesie. Dwoi się i troi, by zostać zauważonym. Niedawno został zapytany, jak się odnajduje w nowym środowisku. – Uczę się cały czas tego, jak to funkcjonuje. Do wszystkiego trzeba się przyzwyczaić, to jest dla mnie poniekąd nowe środowisko, ale myślę, że jak na świeżaka nie jest tak źle i jakoś sobie radzę – chwali się. Przy okazji został też zapytany o to, czy nie martwią go negatywne publikacje i komentarze na jego temat. – Media mają to do siebie, że wyciągają zawsze najciekawsze rzeczy, i wiem, że tak musi być. Gdyby nie media, ten świat by nie istniał, nie byłoby nas, nie byłoby gwiazd, nie byłoby osób znanych, wy jakby tworzycie ten klimat i on się rządzi swoim prawem i myślę, że takie jest to prawo i trzeba cieszyć się, że jesteście. Nie zawsze idzie o wszystkich pisać dobrze i mówić dobrze – przyznaje. Czasami nawet źle nie warto. I to może być przypadek pana Kucnera. ©℗

eprasa.pl 13086b07b7

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, to uczucie, kiedy widzisz, iż jest czarny piątek, więc tak stoisz na ulicy samotnie z parasolką i wieszakiem, a wszyscy inni biegną do galerii na wyprzedaże :(((

Jako świecki i postępowy kolektyw oczywiście obchodzimy tzw. andrzejki, ale przemianowane na brajanki, iż Andrzej to imię Nowego z Tarnowa, a poza tym to opresyjny zwyczaj, podczas którego waginoosoby wróżą sobie, która pierwsza wyjdzie za mąż i nastawi się na spadające ciosy kabla od żelazka (końcówką z żelazkiem).

Of kors my też chcieliśmy przeprowadzić własne wróżby, pamiętając o tym, iżby robić to ironicznie, iż wiadomo z jednej strony, iż wróżby to zabobon, ale zabobon, przed którym przestrzega Kościół. Musieliśmy więc zachować proporcję między świeckością a alternatywną duchowością.

Postanowiliśmy więc nie lać wosku przez dziurkę od klucza, iż wosk jest niewege, a zamiast kluczy to się w korpo używa kart magnetycznych. Postanowiliśmy więc wymienić się swoimi prognozami na politykę, ekonomię i pogodę na grudzień. Jeśli się sprawdzi, to płaca minimalna wyniesie średnią krajową, odsuniemy PiS od władzy i będziemy w grudniu śmigać na holenderkach w szortach i tiszertach, tak więc trzymajcie, kochani, kciuki.

Widzieliście pewnie, jak Kaczafi czytał w Sejmie atlas kotów? Ten człowiek w ogóle nie ma do siebie dystansu. Jest tak zacietrzewiony w swoim hobby, iż nawet w Sejmie musi się nim zajmować.

A co, gdyby w tym czasie poseł Szczerba rzucił kartką? To po prostu nienawistne ignorowanie opozycji i milczenie nienawiści. Jesteśmy w szoku, jak bardzo można skłócać Polaków.

A tak w ogóle: atlas kotów, serio? Przecież atlas może być Polski albo świata. Chociaż z drugiej strony koty bywają kuliste, ale to chyba wtedy globus kotów, c'nie? <confused>

Nie wiemy, co myśleć, iż Richie Petru nie jest już szefem Nowoczesnej i że Nowoczesna nie jest już Nowoczesną Ryszarda Petru.

Z jednej strony: niby spoko, iż przywództwo w partii przejmuje waginoosoba. Jednak trochę wygląda to tak, jakby Richie kurtuazyjnie ustąpił jej miejsca, a jak wiadomo – takie zachowanie ze strony białego heteroseksualnego mężczyzny wobec waginoosoby to patriarchat i prawdopodobnie fashysm.

Z drugiej strony: Richie okazał się prawdziwą osobą stanu, która poddała się demokratycznym procedurom. Przy czym musimy założyć, iż działacze Nowoczesnej dokonują świadomych

i odpowiedzialnych wyborów – nie to, co Polacy.

Poza tym mamy wrażenie, że z nowym przywództwem Nowoczesna będzie znacznie bardziej zabawna niż do tej pory. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

WYDAWNICTWO SZARA GODZINA PRZEDSTAWIA

ZABÓJCZY LWÓW
Te powieści nie pozwolą zapomnieć o królewskim mieście!

ROK 1936
FORESTA UMBRA BUDZI GROZĘ

ROK 1968
CZEGO BOI SIĘ GOMUŁKA?

Książki dostępne w salonach Empiku i w dobrych księgarniach

eprasa.pl 13086b07b7

dwaj panowie g

Ciekawa sprawa – liczba osób opowiadających na mieście o tym, że wielki hetman koronny Macierewicz zostanie zrekonstruowany w rządzie, jest nagle wprost proporcjonalna do liczby tych, którzy zapewniali dotąd, iż jest to absolutnie niemożliwe. Odnotowujemy ten fenomen nie dlatego, że czyhamy na głowę Antoniego, ale dlatego, że bawi nas niezmiernie fakt, iż są to dokładnie te same osoby.

Niebezpiecznie być pracownikiem MON i posiadać telefon. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek dostanie SMS-a wzywającego do podpisania się pod listem poparcia dla wielkiego hetmana koronnego Macierewicza. Ostatnia epidemia SMS-ów wystąpiła w zaprzeszły piątek, bo w weekend list poparcia miał być główną sensacją polityczną weekendu. Nie był. Może dlatego, że my nie dostaliśmy SMS-a.

W związku z przesunięciem strukturalnej rekonstrukcji (czyli rekonstrukturyzacji) rządu premier Bełaty cała uwaga koncentruje się na działaniach innej grupy rekonstrukcyjnej: posłach zajmujących się prezydenckimi projektami ustaw o sądownictwie. Członkowie tej grupy próbują odtwarzać grupę ludzi, którzy wiedzą, co robią. Jednak nie bardzo im to wychodzi.

Wiewiórki z Nowogrodzkiej sugerują, że sprawa wygląda tak: gdyby prezydenckie ustawy przyjąć ot tak, po prostu, to wyglądałoby na kapitulację przed prezydentem Andrzejem Sebastianem. Dlatego najpierw trzeba projekty przeczołgać, wytargać, porżnąć poprawkami i wytrzeć o nie buty, żeby pokazać, kto tu rządzi. A dopiero potem z wielkiej łaski uchwalić w pierwotnym kształcie. Przyznajcie sami, jest to prawie tak zabawne jak stomatolog z wiertłem w dłoni.

Naprawdę zabawne jest to, że na sejmowej komisji do spraw czołgania projektów Andrzeja Sebastiana czasem jest merytorycznie i spokojnie. Na przykład o pierwszej w nocy, jak już się telewizjom nie chce pokazywać na żywo draki. Tak było np. w zeszłą środę w środku nocy. Zgadnijcie, co wtedy zrobił przewodniczący prok. Piotrowicz Stanisław. Tak, przełożył głosowanie uzgodnionych poprawek na rano. A rano sami wiecie – telewizje, darcie paszczy i ogólny Rejtan. W tym szaleństwie jest metoda.

Bardzo głośno paszczę darł na komisji poseł minister Peło, Borysław Budka. Co nas martwi. Borysław ma bowiem w domu małego pieska i my się o tego pieska bardzo martwimy, bo jeśli Borysław tak się na niego drze, to psina ma piekło. A to przecież mały, delikatny trzykilogramowy york. Mamy więc nadzieję, że Borysław nie krzyczy przynajmniej na yorka.

À propos Eine Totalopposition. Chwalą Kaśkę. Znaczy Lubnauer. Może i będzie mniej wygodna dla Grześka Schetyny, ale ogólnie nawet innym partiom współpracuje się z nią lepiej. Na przykład Kaśka, zanim wrzuci coś na Twistera, dzwoni do innych i o tym grzecznie uprzedza. Wyobrażacie sobie Ryśka Petru w takiej sytuacji?

My w sprawie Ryśka Petru – jesteśmy solidnymi partnerami i nie zamierzamy go opuszczać w niedoli. Będziemy nadal o nim pisać, nawet jeśli nie ma o czym. Powiedzmy szczerze – przecież do tej pory też nie było.

Nagła eksmisja Ryśka i jego wylubnauerowanie miały nieoczekiwany skutek dla świata kultury i rozrywki. Okazało się, że trzeba z braku laku wyemitować nagle już na koniec listopada bożonarodzeniowy odcinek „Ucha prezesa", gdyż poprzednie odcinki są nieaktualne z powodu skasowania Ryśka. Są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się filozofom oraz Robertowi Górskiemu. Śniły się za to Kaśce Lubnauer. No i wyśniły.

Potwierdzamy: faktycznie atlas kotów podarowała Kaczorowi Dyktatorowi prof. Józefina Hrynkiewicz. Nie potwierdzamy: jedna ze spółek Polskiej Grupy Zbrojeniowej miała go wylicytować za milion, ale odpuściła. Czego to ludzie nie opowiadają!

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 13086b07b7

Przy okazji dyskusji o psach i kotach: nie jest prawdą, jakoby minister Błaszczak, idąc w ślady Kaczora Dyktatora, sprawił sobie kota. Miał kiedyś psa, ale już nie ma.

Apropos Błaszczaka. Media już obśmiały kalendarz Wyższej Szkoły Policyjnej, w którym znalazły się konterfekty szefów MSW. Policjantów jednak najbardziej rozbawiły nie same wizerunki najjaśniejszych panów (tak, wiemy, przejaw skrajnego wazeliniarstwa), lecz inna sprawa. Uważne oczy wypatrzyły bowiem, że grafik autor na przyrodzeniu ministra Błaszczaka umieścił jedynkę, zaś na przyrodzeniu Jarosława Zielińskiego dwójkę. Mniejsza o to, że to fragment przyszłorocznej daty 2018.

Tymczasem na Śląsku. Miała powstać Śląska Partia Regionalna, ale nie powstanie, bo jej założyciel Grzegorz Franki (lider Związku Górnośląskiego i dyrektor biura europosła Peło Marka Plury) postanowił wrócić do Peło, zafascynowany jej nowym katowickim liderem, Makowskim Jarosławem. Słusznie. Po co zakładać nową partię antypolską, skoro jedna już jest?

Z życia wyższych sfer. Uwaga! Szykuje się kolejna seksaferka, która może przyćmić wszelkie dotychczasowe! Jak się okazuje, pewien przedsiębiorca, chcąc zyskać przychylność pewnego znanego polityka, kupczył wdziękami własnej żony. Ogólnie rzecz biorąc, można powiedzieć, że pan poseł – mimo bardzo postbalzakowskiego wieku – okazał się psem na baby. Chociaż i żonaty, i dzieciaty, i taki bardzo katolicki.

Potwierdzamy: faktycznie atlas kotów podarowała Kaczorowi Dyktatorowi prof. Józefina Hrynkiewicz

Inny polityk, wschodząca gwiazda za czasów słusznie minionego reżimu, ma odmienne kłopoty. Pewien dealer narkotykowy łazi bowiem po mieście i opowiada, że dostarczał politykowi proszek. I nie był to proszek do prania ani tym bardziej do pieczenia. Żeby było jeszcze zabawniej, bohater naszej historii po towar posyłał niczego nieświadomego funkcjonariusza BOR, który go chronił jako ministra. Dealer mówi, że ta wiedza to jego polisa i chętnie podzieli się wiedzą również o innych klientach. W zamian za status małego świadka koronnego.

Apropos Warszawy. Czekamy niecierpliwie na pierwszy spot kandydata Trzaskowskiego. Podobno jego kampanię ma znowu wesprzeć szkolny kolega, aktor Michał Żebrowski. Na wypadek, gdyby Żebrowski nie miał czasu na nowe nagranie, można wykorzystać stare, z kampanii do Sejmu w 2015 r. „Zna pięć języków, ma doktora i z dziada pradziada jest z Krakowa" – opowiadał wtedy Żebrowski, siedząc obok Rafcia na Plantach. „I wie o Krakowie lepiej niż niejeden profesor UJ" – kontynuował, cokolwiek miało to znaczyć.

Ciekawa rzecz. Gdy w 2013 r. król Europy Tusk Donald I zachwalał talenty Trzaskowskiego, mówił, że zna on cztery języki. Oznacza to, że Rafał w ciągu dwóch lat nauczył się piątego. Nie wiadomo jednak, jaki to język. Stawiamy na gwarę warszawską. Być może zna już nawet znaczenie słowa „apropal". Jeśli państwo nie znają, to prosimy sprawdzić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

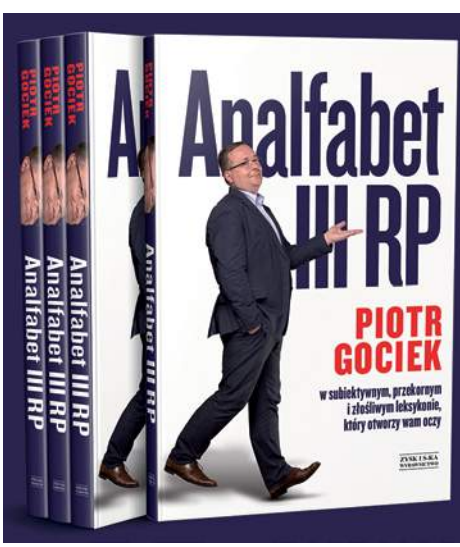

Kto jest mężem stanu, a kto tylko mężem swojej żony?
Czym się różnią lemingi od moherów?
Jak bardzo media zepsuły Polskę?
Po co premierom obiady czwartkowe?
Gdzie jest palarnia u prezydenta?
Dlaczego pijaków szanują w Brukseli?
Kto ma dostęp do ucha prezesa?

ZYSK I S-KA WYDAWNICTWO

PATRONAT MEDIALNY
DO RZECZY

eprasa.pl 13086b07b7

Olivier Bault

Wysocy unijni urzędnicy i komisarze swoje kariery zaczynali w komunistycznych ugrupowaniach. To dlatego nienawidzą konserwatywnych polityków i Polska jest dla nich cierniem w lewackiej wizji świata

Czerwona Bruksela

FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Po głośnej porannej debacie w Parlamencie Europejskim na temat „Sytuacji w zakresie praworządności i demokracji w Polsce", już piątej od wygranej obozu Zjednoczonej Prawicy, odbyła się druga debata, której tytuł brzmiał: „Spuścizna totalitarnej rewolucji bolszewickiej w Rosji w 1917 r.". Można by pomyśleć, że te dwie sprawy nie mają związku, gdyby nie to, że na kluczowych stanowiskach Unii znajduje się dwóch byłych komunistów – Włoszka Federica Mogherini, wysoki przedstawiciel Unii do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa, oraz Francuz Pierre Moscovici, który jest europejskim komisarzem ds. ekonomicznych i monetarnych. Należy też pamiętać, że na czele poprzedniej komisji zasiadał były maoista z Portugalii – José Barroso – który w sposób dość typowy dla zachodnich, lewicowych polityków (podobnie jak Moscovici) przeszedł długą drogę od rewolucyjnego komunizmu do finansjery (pracuje obecnie dla banku Goldman Sachs) poprzez instytucje unijne i udział w globalistycznych, internacjonalistycznych oraz lewicowo-liberalnych ciałach na styku świata polityki i wielkiego międzynarodowego biznesu, takich jak Bilderberg i Komisja Trójstronna.

BRUKSELSKA OBŁUDA

Tak się bowiem składa, że ideologia komunistyczna – choć doprowadziła do śmierci większej liczby ludzi niż nazizm – nadal jest akceptowalna dla kręgów rządzących w wielu krajach europejskich oraz w Brukseli. Wielu czołowych liderów UE manifestuje sympatię lub co najmniej akceptację dla komunizmu. I są to zazwyczaj ci sami ludzie, którzy najgłośniej ostrzegają przed wzrostem populizmu, nacjonalizmu, ksenofobii czy wręcz przed nawrotem faszyzmu i nazizmu.

Dla europosła i przewodniczącego Prawicy Rzeczypospolitej Marka Jurka, który brał udział w posiedzeniu poświęconym spuściźnie po rewolucji bolszewickiej, zachowanie elit brukselskich w tym jednym dniu pokazuje całą ich obłudę. Jurek podaje przykłady posłów z Włoch, Finlandii i Grecji, którzy wprost wychwalali komunizm oraz socjalistów i relatywizowali zbrodnie tego systemu. Nie było reakcji ze strony Fransa Timmermansa. – Nie potępiają najgorszego ekstremizmu, którego są protektorami, bo skrajna lewica jest awangardą tych zmian, które w tej chwili kierownictwo Unii próbuje realizować – mówi Marek Jurek. – To, co musimy zrobić przede wszystkim, to oswoić ich z istnieniem opozycji. Tak naprawdę dzisiaj „populistyczni nacjonaliści" spełniają tę funkcję, którą w propagandzie Lenina spełniał tzw. kułak krwiopijca. Tym kułakiem krwiopijcą XXI w. jest „nacjonalistyczny populista", w walce z którym należy organizować rewolucję europejską.

Na posiedzeniu „Spuścizna totalitarnej rewolucji bolszewickiej w Rosji w 1917 r." (które można odtworzyć na stronie Parlamentu Europejskiego) mniejszą lub większą pochwałę komunizmu można było słyszeć ze strony większości posłów należących do Zjednoczonej Lewicy Europejskiej – Nordyckiej Zielonej Lewicy (GUE/NGL), czyli frakcji politycznej grupującej partie socjalistyczne, komunistyczne oraz ekosocjalistyczne. Skrajny przykład to wystąpienie komunistycznego posła Neoklisa Silikiotisa, byłego ministra spraw wewnętrznych i byłego ministra handlu, przemysłu i turystyki Cypru, który powiedział, że debata o ofiarach bolszewizmu służy tylko temu, aby nie mówić o prawdziwych problemach Europy: problemie uchodźców, ksenofobii, rasizmu, neofaszystów, „którzy podziwiają Hitlera i są coraz silniejsi w całej Europie". Europoseł gloryfikował rewolucję bolszewicką jako wydarzenie, które zmieniło oblicze Europy i uwolniło nowe siły dla budowy lepszego, bardziej egalitarnego społeczeństwa opartego na solidarności.

Jeszcze gorzej było z wystąpieniem Włoszki Eleonory Forenzy, komunistycznej działaczki. Zaprezentowała się w czerwonej koszulce z napisem głoszącym, że rewolucja jest jedynym rozwiązaniem. – Aleksandra Kołłontaj była pierwszą kobietą ministrem na świecie. Rewolucja sprawiła, że w konstytucji z 1918 r. pojawiły się prawo do aborcji, prawo do rozwodu, prawo do samodeterminacji kobiet, prawo do głosowania – mówiła Forenza. – Kołłontaj mówiła o miłości jako o uczuciu w istocie społecznym. Rewolucja sprzed 100 lat była aktem miłości, do którego przyznaję się jako feministka i jako komunistka – dodała.

W imieniu „umiarkowanej" lewicy, czyli socjalistów z grupy Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów w Parlamencie Europejskim (S&D), przemawiała

eprasa.pl 13086b07b7

francuska socjalistka Christine Revault d'Allonnes-Bonnefoy. Stwierdziła, że rosyjskie rewolucje z 1917 r. niosły w sobie nadzieję na nowe społeczeństwo, bardziej sprawiedliwe i solidarne – idee, które zostały wypaczone przez zamach stanu i późniejszą stalinowską dyktaturę. Socjalistka zaznaczała, że rewolucja bolszewicka, podobnie jak rewolucje z lat 1789 i 1848, pozwala lepiej rozumieć, jak można udoskonalić społeczeństwo i walczyć z nierównościami oraz niesprawiedliwością społeczną. Dzisiejsze zagrożenia w oczach Francuzki to liberalizm gospodarczy oraz „narodowy populizm".

Warto zaznaczyć, że pani Revault d'Allonnes-Bonnefoy – jako sprawozdawczyni projektu rezolucji PE w sprawie zawarcia w imieniu Unii Europejskiej Konwencji Rady Europy o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej – cieszyła się, że „odtąd można stwierdzać, iż aborcja jest prawem na poziomie europejskim".

W rezolucji z 15 listopada, w której potępiono Polskę, znajduje się m.in. apel do polskiego rządu, aby nie delegalizował aborcji eugenicznej i aby przywrócił dostępność bez recepty pigułek Ella-One – choć są to dziedziny, w których Unia Europejska nie ma kompetencji do narzucania niczego krajom członkowskim. Jak widać, socjaliści wpisują się w tę samą tradycję co wychwalana przez włoską komunistkę Aleksandra Kołłontaj i mają podobny jak ona stosunek do demokracji oraz rządów prawa.

Inną stałą cechą debaty o spuściźnie po rewolucji bolszewickiej sprzed 100 lat było przedstawienie prawicowych „populistów" jako współczesnego zagrożenia dla demokracji przez porównanie ich do bolszewików. Takie ostrzeżenie można było usłyszeć zarówno z ust ludzi prawicy, jak i lewicy – wypowiedział je również Timmermans. Zaprotestowali wówczas posłowie ugrupowań będących na prawicy od Europejskiej Partii Ludowej (EPP).

Guy Verhofstadt na Twitterze wychwalał myśl włoskiego komunisty Altiero Spinellego FOT. MATHIEU CUGNOT

ZŁY KOŚCIÓŁ, DOBRE HOMOZWIĄZKI

Pewne pokrewieństwo ideologiczne z radykalną lewicą lub po prostu akceptację dla komunizmu można znaleźć także w grupie Porozumienia Liberałów i Demokratów na rzecz Europy (ALDE).

Przykłady? Były premier Belgii i szef frakcji ALDE w Parlamencie Europejskim, zwolennik federalnej Unii Europejskiej – Guy Verhofstadt – 20 sierpnia na swoim koncie na Twitterze wychwalał myśl włoskiego komunisty: „Altiero Spinelli nakreślił w swoim »Manifesto di Ventotene« fundamenty dla federalnej Europy. Jego słowa rozbrzmiewają dzisiaj". A podczas „debaty" o Polsce kilka godzin przed debatą o spuściźnie po rewolucji bolszewickiej Verhofstad grzmiał przeciw rzekomym 60 tys. „faszystów" i „neonazistów" na Marszu Niepodległości w Warszawie oraz przeciw „reakcjonistycznemu programowi polskiego rządu". Czy nie tak określali wrogów politycznych komuniści?

Trockista Pierre Moscovici

Ojciec europejskiego komisarza ds. ekonomicznych i monetarnych Pierre'a Moscoviciego był rumuńskim Żydem. W czasie II wojny światowej działał w rumuńskiej partii komunistycznej, po czym uciekł do Francji w 1947 r. Matka brukselskiego polityka była psychoanalitykiem, a urodziła się w żydowskiej rodzinie pochodzącej z Polski. Była aktywnym sympatykiem francuskiej partii komunistycznej (PCF – stalinowska). Dzięki zamożności rodziców urodzony w 1957 r. Pierre Moscovici mógł sobie pozwolić na długie studia: zrobił dyplom w dziedzinie ekonomii i filozofii, skończył nauki polityczne, jest absolwentem elitarnej ENA, wylęgarni francuskich wysokich urzędników i polityków. Już w liceum zaczął działać w „czerwonych kręgach" komunistycznej ligi rewolucyjnej (LCR – trockistowska). Były to lata, kiedy LCR broniła zasadność masakry izraelskich sportowców w Monachium przez palestyńskich terrorystów, wypowiadała się po stronie terrorystycznej ETA w Hiszpanii, ludobójczych Czerwonych Khmerów w Kambodży oraz komunistycznych guerrilli w Ameryce Południowej. W latach 80. Pierre Moscovici zaczął poważniej myśleć o karierze i tak jak wielu trockistów przeszedł do francuskiej partii socjalistycznej (PS).

Komunistka Federica Mogherini

Urodzona w 1973 r. Włoszka Federica Mogherini wstąpiła do młodzieżówki włoskiej partii komunistycznej FGCI w wieku 15 lat. Po rozwiązaniu włoskiej partii komunistycznej i jej młodzieżówki na początku lat 90. przeszła do Sinistra Giovanile, która powstała, aby przyjąć komunistyczną młodzieżówkę pod sztandarem socjaldemokracji jako młodzieżówka partii DS (Demokraci Lewicy). Mogherini objęła funkcje kierownicze na poziomie ogólnokrajowym najpierw w mło-

eprasa.pl 13086b07b7

Pierwsza wiceprzewodnicząca grupy ALDE, Holenderka Sophie In' t Veld, podobnie jak Verhofstadt mocno angażuje się w walkę przeciw polskiemu rządowi (choć w ubiegłym roku przyznała na Facebooku, że inne kraje, np. Francja, także powinny być obiektem działań w zakresie ochrony praworządności, a wybór Polski i Węgier jest podyktowany jedynie względami politycznymi). Odnosząc się do sprawy Polski we wrześniu 2016 roku, przekonywała, że „gra toczy się o najważniejsze wartości Unii, tj. o praworządność, demokrację i poszanowanie podstawowych praw". Tylko co według tej działaczki holenderskiej lewicowo-liberalnej partii D66 oznaczają praworządność, demokracja i podstawowe prawa? Można się tego dowiedzieć, czytając tekst tej sprawozdawczyni Parlamentu Europejskiego ds. ustanowienia unijnego mechanizmu w dziedzinie demokracji, rządów prawa i praw podstawowych.

W lewicowym dzienniku „The Guardian" w 2011 r. pani In' t Veld opublikowała tekst zatytułowany „The rise of Europe's religious right" („Wzrost europejskiej religijnej prawicy"). Skrytykowała w nim zbyt duże wpływy Kościołów chrześcijańskich w wielu krajach Europy. A to jej zdaniem niesie tak bolesne efekty jak odmowy wykonywania aborcji oraz odmowy udzielania ślubów parom homoseksualnym. In' t Veld podała też całą litanię rzekomych nadużyć ze strony Kościołów chrześcijańskich i przywilejów, którymi – kosztem homoseksualistów – mają cieszyć się chrześcijanie.

„Organizacje religijne nie powinny określać, gdzie znajdują się granice praw podstawowych. Prawa podstawowe UE znajdują obecnie coraz większe miejsce w krajowych ustawodawstwach. Rzeczą nie do przyjęcia jest, aby ustawodawstwo było pod wpływem surowej moralności religijnej. Najwyższy czas, aby wzmocnić świecką naturę projektu europejskiego. Europa nie zajmuje się Bogiem. Może nadszedł czas, aby zastąpić »wolność religii« wolnością wierzeń lub sumienia rozumianych jako prawo indywidualne, każdego z 500 mln Europejczyków w całej ich różnorodności" – zakończyła artykuł.

W 2009 r. ta holenderska europosłanka wnioskowała zaś o to, aby ówczesny przewodniczący Komisji Europejskiej i były maoista José Barroso potępił poglądy Benedykta XVI na temat homoseksualizmu i teorii gender. W tym samym roku poparła petycję na rzecz zalegalizowania aborcji w całej Unii Europejskiej.

Podczas ostatniej „debaty" o Polsce odpowiadała prof. Ryszardowi Legutce po wystąpieniu, w którym zwrócił uwagę na aberracyjne zarzuty pod adresem jego kraju. – Panie Legutko, domaga się Pan szacunku. A zatem dlaczego Wy nie szanujecie innych? Nie macie szacunku dla praw kobiet ani dla ludzi LGBT, dla ludzi, którzy nie wyznają waszej religii, czy ludzi, którzy nie podzielają waszej opinii. Tym, co jest dla mnie uderzające, jest stopień podobieństwa między programem rządu PiS a rządem Putina – stwierdziła. I dodała: – Potrzebny jest nam prawdziwy, szeroki mechanizm, który będzie miał zastosowanie do wszystkich państw członkowskich, aby nie pozwalać na to, że to państwa członkowskie same będą rozstrzygać we własnej sprawie.

LEWICA PRZECIW PIS

Nietrudno się domyślić, że za rezolucją przeciwko rządom PiS w Polsce głosowali prawie wszyscy posłowie skrajnie lewicowej frakcji GUE-NGL (przeciwko głosowali jedynie posłowie z Czech), wszyscy posłowie z frakcji socjalistów S&D, prawie wszyscy posłowie grupy Zielonych oraz prawie wszyscy liberałowie z grupy ALDE (przeciwko głosował tylko jeden poseł z Łotwy).

Na myśl przychodzą w tej sytuacji, w sposób naturalny, słowa brytyjskiego, chrześcijańskiego pisarza Chestertona o Polsce, wypowiedziane w okresie międzywojennym: „Moja instynktowna sympatia do Polski zrodziła się pod wpływem ciągłych oskarżeń miotanych przeciwko niej; i – rzec mogę – wyrobiłem sobie sąd o Polsce na podstawie jej nieprzyjaciół. Doszedłem mianowicie do niezawodnego wniosku, że nieprzyjaciele Polski są prawie zawsze nieprzyjaciółmi wielkoduszności i męstwa. Ilekroć zdarzało mi się spotkać osobnika o niewolniczej duszy, uprawiającego lichwę i kult terroru, grzęznącego przy tym w bagnie materialistycznej polityki, tylekroć odkrywałem w tym osobniku, obok powyższych właściwości, namiętną nienawiść do Polski. Nauczyłem się oceniać ją na podstawie tych nienawistnych sądów – i metoda okazała się niezawodna".

Dzisiaj te „nienawistne sądy" dotyczą nie tylko Polski, lecz także Węgier,

dzieżówce, a potem w partii DS, która stała się później dzisiejszą Partią Demokratyczną (PD). Partia Demokratyczna rodowód ma zarówno we włoskiej partii komunistycznej, jak i w partii socjalistycznej. Dzisiaj to ugrupowanie głosi hasła typowo liberalno-lewicowe i to z niego wywodzi się obecny premier Włoch Paolo Gentiloni. W rządzie Matteo Renziego Federica Mogherini była ministrem spraw zagranicznych. Dzisiaj stoi na czele unijnej dyplomacji i jest drugą wiceprzewodniczącą Komisji Europejskiej.

Maoista José Barroso

Urodzony w 1956 r. w Lizbonie Portugalczyk José Barroso w czasie rewolucji goździków w 1974 r. stanął na czele studenckiej Federacji Studentów Marksistów-Leninistów oraz maoistycznej partii Reorganizujący Ruch Partii Proletariatu (MRPP). W latach 80. przeszedł do Partii Socjaldemokratycznej (PPD/PSD) i podobnie jak Moscovici zrobił karierę najpierw w rządzie własnego kraju (również jako premier w latach 2002–2004), a następnie w Komisji Europejskiej, której przewodniczył od 2004 do 2014 r. Podobnie jak Moscovici bywał na spotkaniach Grupy Bilderberg i Komisji Trójstronnej. W 2016 r. został doradcą banku Goldman Sachs.

Jean-Claude Juncker i IV Międzynarodówka

Czy Juncker rzeczywiście był trockistą w młodości? Jeśli tak, to nie zostało wiele śladów po tym okresie. Gdy był premierem Luksemburga, w wywiadzie opublikowanym w 2009 r. na portalu rządowym chwalił się, że w wieku 17 lat ocierał się o IV Międzynarodówkę. Premierem Luksemburga był przez 18 lat. W tym okresie stworzył system obchodzenia podatków, z którego korzystało ponad tysiąc firm. Skandal wybuchł w 2014 r., ale nie przeszkodziło to Junckerowi w objęciu stanowiska przewodniczącego Unii Europejskiej.

eprasa.pl 13086b07b7

Komunistyczna działaczka, Włoszka Eleonora Forenza, wystąpiła w Parlamencie Europejskim w koszulce z napisem głoszącym, że „rewolucja to jedyne rozwiązanie" FOT. MICHELE TANTUSSI/GETTYIMAGES

liberalno-konserwatywnej partii FPÖ w Austrii, francuskiego Frontu Narodowego czy obrońców rodziny w wielu krajach. Nieco upraszczając, można powiedzieć, że celem ataków są zwolennicy – w mniejszym lub większym stopniu – „kontrrewolucji kulturowej", którą zapowiedzieli Viktor Orbán i Jarosław Kaczyński w 2016 r. w Krynicy-Zdroju. Wszyscy ci, których lewica – od tej liberalnej do tej radykalnej, komunistycznej – nazywa „skrajną prawicą", „reakcjonistami", „populistami" czy czasami nawet „faszystami".

Nieprzypadkowo członkowie frakcji skrajnie lewicowej/komunistycznej (GUE/GNL, Zieloni), „umiarkowanej", tradycyjnej lewicy (S&D) i liberalnej lewicy (ALDE) są nadreprezentowani w 177-stronicowym wewnętrznym dokumencie Open Society Foundations (OSF) organizacji George'a Sorosa, zatytułowanym „Reliable allies in the European Parliament (2014–2019)" i zawierającym listę 226 posłów do Parlamentu Europejskiego, którzy mogą potencjalnie wspierać postulaty OSF. Stanowią oni zdecydowaną większość wśród tych 226 posłów, na których organizacja może liczyć, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy związane z Europą Środkowo-Wschodnią, masową imigracją oraz tzw. unijnymi prawami podstawowymi – w rozumieniu takich ludzi jak Soros, In' t Veld czy Revault d'Allonnes-Bonnefoy. Te dwie ostatnie panie, podobnie jak pan Verhofstadt, znajdują się oczywiście na liście potencjalnych sojuszników OSF.

Pierwszy wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej ds. lepszej regulacji, rządów prawa i Karty praw podstawowych Frans Timmermans też ma osobliwy punkt widzenia praw podstawowych i wartości Unii. W 2015 r. na gali ILGA-Europe w Brukseli powiedział, że: „Komisja powinna posunąć sprawę do przodu i starać się o to, aby wszystkie kraje członkowskie akceptowały bez zastrzeżeń małżeństwa jednopłciowe w taki sam sposób jak inne małżeństwa". Traktaty europejskie wykluczają takie sprawy z pola działań Komisji Europejskiej. Jednak co tam traktaty, wybory i referenda, gdy chodzi o postęp ludzkości! Jak to mówił w maju ubiegłego roku przewodniczący Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker – premierzy państw członkowskich Unii muszą przestać słuchać swoich wyborców i zacząć działać jako „pełnoetatowi Europejczycy".

PRZYSTAŃ KOMUNISTÓW

Na pokrewieństwo ideologiczne liberalnej lewicy z komunistami zwracał uwagę Viktor Orbán w wywiadzie dla „The Telegraph" podczas podróży do Wielkiej Brytanii w 2013 r. Węgierski premier mówił wtedy o drzewie genealogicznym prowadzącym od komunizmu do brukselskich elit i dzisiejszych mediów poprzez pokolenie '68, podając przykład francusko-niemieckiego europosła poprzednich kadencji Daniela Cohn-Bendita – byłego zwolennika komunistycznej rewolucji. Pokrewieństwo to ilustrują też dobrze słowa francuskiego senatora Jeana-Pierre'a Michela, sprawozdawcy ustawy legalizującej tzw. homomałżeństwa we Francji, wypowiedziane w lutym 2013 r.: „Właściwe jest to, co stanowi prawo. Prawo nie odnosi się do jakiegoś porządku naturalnego. Odnosi się do stosunku sił w danym momencie. Koniec kropka. To jest mój punkt widzenia, to jest marksistowski punkt widzenia". I to jest też niestety dominujący punkt widzenia w Brukseli. Stąd też duża akceptacja dla zadeklarowanych zwolenników zbrodniczej ideologii komunistycznej i wrogość tych środowisk wobec wszelkich przejawów konserwatyzmu, patriotyzmu i przywiązania do wartości chrześcijańskich. A skoro rozszerzenie instytucji małżeństwa na pary jednopłciowe i cała ideologia gender wywodzi się z marksistow-

eprasa.pl 13086b07b7

skiego myślenia, nikogo nie powinno dziwić, z jaką łatwością Angela Merkel zgodziła się w tym roku na zalegalizowanie „homomałżeństw" w Niemczech. Ponoć kanclerz – o której się mówi, że to ona tak naprawdę decyduje w Brukseli – w młodości była aktywną działaczką komunistyczną.

Nawet wśród tzw. chadeków z EPP sporo jest ludzi o poglądach zbliżonych do liberałów (lub też osób „bez poglądów", ale chcących dobrze wypaść w lewicowo-liberalnych mediach), co pokazują obecność sporej ich grupy na liście Sorosa oraz poszczególne głosowania w Parlamencie Europejskim, których przebieg można sprawdzać na stronie VoteWatch Europe.

Dobrym przykładem akceptacji dla komunizmu jest postawa Junckera, którego Cohn-Bendit nazwał „najbardziej socjalistycznym z chadeków". Podobnie jak jego poprzednik Barroso Juncker pierwsze kroki w polityce stawiał w towarzystwie zwolenników Trockiego. Opowiadał kiedyś w wywiadzie: „Gdy miałem 17 lat, fascynowała mnie IV Międzynarodówka i próbowałem wyjaśnić rodzicom, że burżuazyjne życie w moich oczach nic nie znaczy". Na Zachodzie to nic nadzwyczajnego. Wśród ważnych liderów wielu jest byłych trockistów. Był nim kiedyś np. były brytyjski premier Tony Blair, podobnie jak były premier Francji Lionel Jospin.

– Internacjonalistyczne słowa naszych trockistów o uniwersalnym braterstwie, którym towarzyszy pogarda dla narodów i granic, są dzisiaj zbieżne ze słowami wielkiego biznesu, który także nie uznaje narodów oraz granic. Dla niego też wszyscy ludzie są braćmi, zwłaszcza gdy nie kosztują dużo. To niebywały paradoks, którego nie przewidział sam Trocki – mówił francuski prawicowy dziennikarz Éric Zemmour podczas ostatniej kampanii prezydenckiej we Francji, w której konkurowało aż trzech zadeklarowanych komunistów.

GRZECH PIERWORODNY

Federica Mogherini wstąpiła do młodzieżówki włoskiej partii komunistycznej FGCI w 1988 r. Osiem lat później przeszła do młodzieżówki socjaldemokratycznej i stała się wiceprzewodniczącą organizacji socjalistycznej młodzieży Wspólnoty Europejskiej (ECOSY, dzisiaj YES – Młodzi Europejscy Socjaliści).

Urodzony w 1957 r. europejski komisarz ds. ekonomicznych i monetarnych Pierre Moscovici – były minister finansów François Hollande'a – zaczął karierę polityczną już jako licealista w trockistowskiej Rewolucyjnej Lidze Komunistycznej (LCR), będącej sekcją IV Międzynarodówki. Opuścił ją dopiero w 1984 r. i przeszedł do Partii Socjalistycznej (PS).

Nie lepiej było w poprzedniej komisji, za czasów drugiej kadencji Barroso. – Uderza mnie liczba członków tej komisji, którzy byli komunistami albo byli bardzo bliscy komunizmowi – mówił europoseł Nigel Farage w 2010 r. na posiedzeniu Parlamentu Europejskiego. – Sam pan Barroso był maoistą. Siim Kallas nie był tylko działaczem studenckim, był nawet członkiem Rady Najwyższej ZSRS. Mamy tu zatem komunistę z najwyższej półki. Baronowa Ashton [poprzedniczka pani Mogherini – przyp. red.] przewodniczyła CND [organizacji domagającej się w czasach zimnej wojny jednostronnego rozbrojenia nuklearnego Wielkiej Brytanii, oskarżonej o współpracę z komunistami – przyp. red.] i do dzisiaj nie chce nam odpowiedzieć na pytanie, czy wzięła pieniądze od brytyjskiej partii komunistycznej. Mógłbym wymieniać dalej, ale potrwałoby to dość długo. Mamy co najmniej 10 komunistów w tej komisji i muszą się czuć jak za starych, dobrych czasów.

W czasach, gdy komisji przewodniczył Barroso, w atakach na Węgry rządzone przez Fidesz i na samego premiera Viktora Orbána przodował zielony Daniel Cohn-Bendit, który pod koniec lat 60. był działaczem anarcho-komunistycznym i który w latach 1970 i 1980 przyznawał się do aktów pedofilii z dziećmi w wieku przedszkolnym. Pedofilię, której legalizacji domagała się w tamtych latach część lewicy i środowisk LGBT, sam Cohn-Bendit przedstawiał jako wyraz swojego skrajnego liberalizmu obyczajowego. Dzisiejszy Cohn-Bendit jest typowym przedstawicielem skrajnie liberalnej lewicy. Podobnie jak Verhofstadt czy Timmermans jest zwolennikiem federalnej Europy, otwartych granic i wszystkich postulatów lobby LGBT.

– Musimy być świadomi tych zamiarów, a jednocześnie musimy skonsolidować opozycję wobec tego kierunku polityki i nauczyć ich tego, że w Unii Europejskiej – jeśli ma ona być zrzeszeniem wolnych państw – opozycja istnieje. Jeśli tego nie rozumieją, to znaczy, że nie rozumieją w ogóle, czym jest wolność – mówił europoseł Marek Jurek po obu debatach z 15 września.

Polska odegrała istotną rolę w obaleniu komunizmu w bloku sowieckim pod koniec lat 80. Dzisiaj jawi się jako lider opozycji w stosunku do neomarksistowskich elit stanowiących większość nie w narodach, lecz w zachodnioeuropejskich mediach oraz w kręgach rządzących w Unii Europejskiej i jest to na pewno jeden z powodów – nawet jeżeli niejedyny – coraz brutalniejszych ataków na nią ze strony Komisji Europejskiej, Parlamentu Europejskiego i mainstreamowych mediów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pierwsze życie Angeli Merkel

W 2013 r. w Niemczech ukazała się biografia wieloletniej pani kanclerz Niemiec pt. „Pierwsze życie Angeli Merkel" autorstwa Ralfa Georga Reutha i Günthera Lachmanna. Autorzy przygotowywali publikację przez wiele lat i dotarli zarówno do dokumentów, jak i do świadków czasów NRD-owskiej młodości Angeli Merkel. „Z zebranego przez nas materiału wynika, że Merkel była bardziej zafascynowana NRD-owskim systemem, niż nam się do tej pory zdawało – powiedział Ralf Reuth w wywiadzie dla dziennika »Bild Zeitung«. – Podczas jej pracy w NRD-owskiej Akademii Nauk młoda pani fizyk, członkini naukowej elity NRD, była w 1981 r. sekretarzem FDJ ds. agitacji i propagandy, ponadto zasiadała w zarządzie ówczesnych związków zawodowych". To samo twierdził Gerd Langguth w biografii „Angela Merkel" z 2005 r. Przywoływał świadków mówiących o tym, że w młodzieżowej organizacji komunistycznej Merkel była sekretarzem ds. agitacji i propagandy. Merkel – nie zaprzeczając wprost oskarżeniom autorów – twierdziła, że w FDJ zajmowała się kulturą i nie pamięta, żeby zajmowała się propagandą.

Ralf Georg Reuth i Günther Lachmann opisują młodą Angelę jako komunistkę-reformatorkę, zwolenniczkę „demokratycznego socjalizmu".

eprasa.pl 13086b07b7

Z ministrem Krzysztofem Łapińskim, rzecznikiem prezydenta Andrzeja Dudy
rozmawia Łukasz Warzecha

Prezydent wytyczył granice

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

ŁUKASZ WARZECHA: Jaka była atmosfera w czasie spotkań prezydenta z prezesem Kaczyńskim?

KRZYSZTOF ŁAPIŃSKI: Nie byłem świadkiem tych spotkań, ale z faktu, że było ich kilka i każde trwało po dwie godziny albo dłużej, wnioskuję, iż atmosfera musiała być dobra. Nikt przecież nie chce siedzieć długo w napiętej atmosferze.

„Spotkanie w dobrej atmosferze" w języku dyplomacji znaczy tyle co: „Noże w powietrzu nie latały, ale serdeczności też nie było".

No widzi pan – cokolwiek teraz powiem, można będzie uznać, że wygłaszam tylko rytualne, urzędowe formułki. Czasem mam wrażenie, że te spotkania wzbudziły jakąś wręcz zadziwiającą fascynację, jak gdyby były czymś nadzwyczajnym. A przecież spotkania prezydenta z liderem partii mającej większość w Sejmie to „oczywista oczywistość". Nie powinny dziwić.

Fascynacja spotkaniami Jarosława Kaczyńskiego z Andrzejem Dudą wynika z losów politycznych obu panów. Niedługo po objęciu urzędu prezydent wygłosił słynny adres pochwalny pod adresem Jarosława Kaczyńskiego. Od tamtego momentu do wet w sprawie sądów przeszedł długą drogę. I dlatego stosunki obu panów są interesujące.

Faktycznie, pewne napięcie po wetach prezydenta było, ale teraz wygląda na to, że sprawa zbliża się ku końcowi i napięcie opada. Kolejne spotkania prezydenta z prezesem Jarosławem Kaczyńskim zapewne nadal będą i to nikogo dziwić nie powinno.

Napięcie może opada, ale nie ma zgody co do efektów. Publicyści szczególnie gorliwie wspierający obóz rządowy stwierdzili, że to prezydent skapitulował. Pałac Prezydencki z kolei uważa, że to prezydent postawił na swoim. Jak jest naprawdę?

Nie, to kompletnie nie tak. Pan prezydent, wetując ustawy o Sądzie Najwyższym i Krajowej Radzie Sądownictwa, wytyczył swoje warunki brzegowe: obiektywne, oparte na wieku emerytalnym, kryteria przejścia sędziów SN w stan spoczynku, wielopartyjny sposób wyboru członków KRS, skarga nadzwyczajna, ławnicy w Sądzie Najwyższym i ograniczenie roli prokuratora generalnego. Wszystkie te kwestie znalazły się w ostatecznie uzgodnionych projektach ustaw, które trafiły do Sejmu. Nie widzę więc powodu, żeby mówić o tym, że ktoś przegrał, a ktoś wygrał. Po prostu dwie strony uznały, że dla dobra sprawy, po to, żeby reformować wymiar sprawiedliwości, trzeba się porozumieć. Narrację, o której pan mówi – że

eprasa.pl 13086b07b7

prezydent skapitulował – może suflować ten, komu nie zależy na uchwaleniu prezydenckich ustaw. Co ciekawe, tego typu postrzeganie porozumienia pojawiało się jednocześnie w niektórych mediach prawicowych oraz wśród opozycji. Zastanawiające, prawda?

Inna sprawa, że zgodnie z przedstawionym projektem przewagę w ostatnim kroku przy wyborze członków KRS będzie miała jednak partia rządząca.

Prezydent nigdy jednak nie zapowiadał, że przedstawi regulację, która zapewni opozycji większość w KRS. Chodziło tylko o to, żeby jedna partia zwykłą większością nie mogła wyłonić całości rady. Zgodnie z projektem prezydenta opozycja zyskała gwarancję, że będzie mogła wskazać część sędziów do KRS, i o to chodziło. Oczywiście partie opozycyjne mogą z tego nie skorzystać, dlatego musi być w tej procedurze trzeci krok, bo przecież prezydent nie mógł dopuścić do tego, żeby opozycja, nie korzystając ze swojego uprawnienia, była w stanie sparaliżować powołanie KRS.

Kiedy ostatnio prezydent spotkał się z ministrem Macierewiczem nie przy oficjalnej okazji, ale tutaj, w pałacu, żeby przedyskutować pojawiające się problemy?

Nie mam przed sobą kalendarza prezydenta, ale takie spotkania były w ciągu ostatnich miesięcy. Dodatkowo cały czas utrzymywany jest kontakt dotyczący konkretnych kwestii pomiędzy urzędnikami MON a Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Przypomina mi to stosunki pomiędzy naszym krajem a Federacją Rosyjską: na szczycie panuje mroźna atmosfera, ale na poziomie dyrektorów departamentów w ministerstwach kontakty robocze są.

Nie, to złe porównanie. Te stosunki wyglądają zupełnie inaczej niż podany przez pana przykład.

A jak pan by je opisał?

A jak w ogóle opisać temperaturę relacji w polityce? To nie jest kategoria do opisywania polityki. Obecne relacje oparte są na konstytucji. Konstytucja ustanawia prezydenta jako zwierzchnika sił zbrojnych, który podczas pokoju realizuje to zwierzchnictwo poprzez ministra obrony narodowej. Jednak w systemie parlamentarno-gabinetowym bezpośrednim przełożonym ministra obrony jest premier. To oczywiście przyczynek do rozmowy o konstytucji. Pan prezydent nie ukrywa, na czym polegają pewne różnice w stosunkach z MON – to m.in. sprawa systemu kierowania i dowodzenia armią czy gen. Jarosława Kraszewskiego.

Ta ostatnia kwestia pokazuje, jak jest źle. W normalnej sytuacji wątpliwości wobec oficera, pełniącego tak ważną funkcję przy prezydencie, odpowiednia służba rozstrzygnęłaby w ekspresowym tempie, żeby nie pozbawiać głowy państwa ważnego instrumentu kontroli nad armią. Tymczasem gen. Kraszewski jest pozbawiony dostępu do informacji niejawnych od wielu miesięcy.

Zgoda. Służba Kontrwywiadu Wojskowego może oczywiście sprawdzać, czy dana osoba może zachować prawo dostępu do informacji niejawnych. Zgodnie z ustawą ta procedura może trwać pół roku, a nawet po tym czasie może być przedłużona. Dla wszystkich jest jednak jasne, że jeśli jest to sprawa priorytetowa i jest taka wola ze strony służby, można weryfikację przeprowadzić znacznie szybciej przy zachowaniu najwyższej staranności. I żeby było jasne: prezydent nie oczekuje określonego rezultatu, a jedynie tego, żeby sprawa została zakończona bez zbędnej zwłoki. Dopóki tak się nie stanie, dopóty gen. Kraszewski jest pozbawiony możliwości ewentualnego odwołania. Nie jest tajemnicą, że przewlekłość tego postępowania nie służy dobrze relacjom Pałacu Prezydenckiego z MON.

W wywiadzie dla TVN24 prezydent, mówiąc o wycofaniu przez MON wniosków o nominacje generalskie, sprawiał wrażenie bezradnego. Mówił, że o sprawie dowiedział się z mediów. To mocno niepokojące, że zwierzchnik Sił Zbrojnych wydaje się nie kontrolować sytuacji w wojsku.

Prawdą jest, że prezydent o sprawie dowiedział się ze strony internetowej MON w piątek 24 listopada późnym wieczorem. To było zaskakujące. O takich decyzjach prezydent powinien dowiadywać się pierwszy. Minister Antoni Macierewicz wielokrotnie zapewniał o swoim szacunku dla prezydenta, dla urzędu prezydenta – zwierzchnika Sił Zbrojnych, więc zakładam, że to współpracownicy pana ministra spóźnili się z pismem do prezydenta lub zapomnieli je wysłać przed podaniem tej informacji do publicznej wiadomości.

Zapomnieli wysłać? No dobrze, udajmy, że zachowujemy powagę.

Ja zachowuję. Nie wyobrażam sobie, żeby pan minister Antoni Macierewicz chciał w ten sposób spostponować prezydenta RP. Podobnie jak nie wyobrażam sobie, żeby pan minister miał złe intencje, oczekując, że pan prezydent osobiście uda się do siedziby tej służby, żeby zapoznać się z jakimiś dokumentami dotyczącymi gen. Kraszewskiego. Standardem ogólnoświatowym jest, że to szef służby lub wskazany przez niego funkcjonariusz przyjeżdża do prezydenta z odpowiednimi dokumentami.

We wspomnianym wywiadzie padło pytanie, czy gdyby powstał nowy rząd i byłby wniosek o powołanie do niego Antoniego Macierewicza, prezydent by tę nominację zatwierdził. Nie padła tu jasna odpowiedź. Konstytucja jest pod tym względem również mętna: prezydent odbiera od ministrów przysięgę, a wcześniej osoba desygnowana na premiera „proponuje" skład Rady Ministrów. Prawnie grząski grunt. Naprawdę jest możliwe, że Andrzej Duda odmówiłby zaprzysiężenia Antoniego Macierewicza?

Mogę tylko powiedzieć, że to kolejny przykład takiego zapisu w ustawie zasadniczej, który daje pole do różnych interpretacji. Reszta to spekulacje medialne. Prezydent spokojnie czeka na decyzje obozu rządowego odnośnie do planowanej rekonstrukcji, bo rząd jest emanacją woli większości parlamentarnej, która go tworzy.

Za prezydentem ciągnie się kwestia obietnic złożonych w kampanii kredytobiorcom frankowym. W Sejmie leżą poświęcone temu prezydenckie projekty – zresztą zdaniem kredytobiorców absolutnie niewystarczające – i nic. Dlaczego prezydent w tej sprawie nie naciska na posłów?

Pan prezydent wspominał, że oczekuje, iż projekty zostaną szybko rozpatrzone. Sprawa jest jednak skomplikowana, trzeba brać pod uwagę także stabilność systemu finansowego i bankowego.

W kampanii Andrzej Duda obiecywał po prostu przewalutowanie kredytów na złotówkowe. Zamiast tego jego projekty oznaczają pomoc jedynie dla tych, którzy mają kłopot ze spłacaniem rat, a to niewielki odsetek w grupie frankowiczów. Oni sami wskazują, że problemem nie jest brak pieniędzy na opłacanie rat, lecz przywiązanie do kredytu w długim okresie.

eprasa.pl 13086b07b7

Trzeba pamiętać, że to nie jest jednorodna grupa. Część brała kredyty we frankach, bo nie miała zdolności kredytowej w złotówkach, i te kredyty były ich jedyną nadzieją na zakup wymarzonego pierwszego mieszkania, a część kupowała po kilka mieszkań, z których wynajmu dziś się utrzymuje. Prezydent przedstawił projekty ustaw dotyczące frankowiczów, które pomogą kredytobiorcom, teraz czas na prace w parlamencie.

Jak się panu podobał pan sam w „Uchu Prezesa"?

Kabaret jak kabaret, nigdy nie odzwierciedla rzeczywistości w stosunku jeden do jednego. Satyra rządzi się swoimi prawami, dużo w niej przerysowań, sytuacji, które nigdy się nie wydarzyły, czy dialogów, które nigdy nie miały miejsca. Takie prawo twórców kabaretu. Trzeba do tego podchodzić z należytym dystansem.

Bagatelizuje pan „Ucho Prezesa", a tymczasem Jerzy Targalski postawił niedawno tezę, że to przedsięwzięcie sterowane przez „ubecję", którego jedynym celem było pobudzenie prezydenta do określonego działania.

Z całym szacunkiem dla dr. Targalskiego: gdyby brać niektóre jego tezy na poważnie, to byłoby to jednak bardzo niebezpieczne. Mogłoby się okazać, że skoro Andrzeja Dudę wymyśliła „ubecja", to miała też wpływ na prezesa Jarosława Kaczyńskiego, bo to przecież lider PiS przeforsował kandydaturę obecnego prezydenta, najpierw w partii, a potem w całym obozie Zjednoczonej Prawicy. Przecież to absurd.

Nie pomylił się pan – na jednym z popularnych wśród twardego elektoratu blogów pojawiła się dokładnie taka teoria.

Ocenę takich tez pozostawiam czytelnikom. Na koniec jednak mogą dojść do wniosku, jeśli będą je traktować poważnie, że „ubecja" czy dawne WSI sterują właściwie wszystkim i każdym. Tylko jak to się stało, że rządzi dzisiaj Prawo i Sprawiedliwość?

Wracając do „Ucha Prezesa" – pokazano tam pana jako złego ducha, który stoi nad prezydentem i namawia go do buntu przeciwko macierzystej partii. Tak jest? Namówił pan prezydenta do zawetowania ustaw sądowych?

Chce pan wiedzieć, jak było? Moja rola w tej sprawie sprowadziła się do poprowadzenia konferencji, na której prezydent ogłosił swoją decyzję. Prezydent jest doktorem prawa i sam potrafił ocenić te ustawy, dostrzec ich mankamenty. Dodatkowo, o czym mówił, konsultował swoją decyzję z prawnikami oraz takimi autorytetami jak pani Zofia Romaszewska, która jest także doradcą prezydenta. Obraz złego Łapińskiego, który jest w stanie namówić prezydenta Andrzeja Dudę do czegokolwiek w pojedynkę, to wizja kabaretowa.

Z całym szacunkiem dla dr. Targalskiego: gdyby brać niektóre jego tezy poważnie, to byłoby to jednak bardzo niebezpieczne

W „Uchu Prezesa" prezydent namawia panią Basię, żeby zatrudniła się u niego. Pani Basia odmawia, ale to pan przeszedł taką drogę: pracował pan w biurze prasowym PiS przy Nowogrodzkiej. Sam za pańskim pośrednictwem umawiałem kilkakrotnie wywiady z prezesem Kaczyńskim. Może więc w tym, jak traktuje pana partia, jest trochę poczucia zawodu, może nawet zdrady?

Najpierw przez kilka lat pracowałem w klubie PiS w Sejmie, potem w kancelarii premiera u śp. ministra Zbigniewa Wassermanna, a potem przy Nowogrodzkiej przez ponad sześć lat. Dzięki temu znam PiS, wiem, jak ta partia funkcjonuje. Rozumiem, skąd u niektórych przekonanie, że to ja jestem tym, który namawia prezydenta Andrzeja Dudę do złego – proste wyjaśnienia bywają atrakcyjne i skoro jest jakaś decyzja, która zaskakuje, to najłatwiej jest wskazać jedną odpowiedzialną za to osobę. Jest to jednak tłumaczenie dalekie od rzeczywistości.

Czy został pan wzięty na pokład przez prezydenta, żeby przyjąć funkcję harcownika, tak jak kiedyś Michał Kamiński przy Lechu Kaczyńskim? Ma pan na koncie sporo wypowiedzi, by tak rzec, nietuzinkowych.

Rolą rzecznika jest przede wszystkim przedstawianie stanowiska prezydenta. Jeżeli w jakiejś sprawie jest ono inne niż stanowisko obozu rządowego, to jasne, że odium może spaść częściowo na mnie. Nic w tym niezwykłego. Rzecznicy są zawsze zderzakami. Ja wiem jedno: mam bronić swojego szefa, gdy jest atakowany. To wynika również z elementarnego poczucia lojalności. Staram się przy tym pamiętać, że pracuję na rzecz prezydenta oraz urzędu, a nie na swoje konto, tak jak w przypadku posłów. Uważam, że rzecznik nie powinien bać się brania na siebie ciosów, choć gdybym myślał bardziej o sobie, to pewnie starałbym się w niektórych sytuacjach milczeć, zniknąć z mediów, żeby nie narażać się na krytykę.

Jak się panu tutaj pracuje, tak w ogóle?

Bardzo dobrze. To była dla mnie dobra zmiana.

Świetnie, ale to specyficzne miejsce, trochę wyspa na politycznym oceanie, a na tej wyspie grupa osób ze swoimi ambicjami, celami, karierami i to czasami daje efekt w postaci ostrych tarć.

Zawsze w polityce są i ambicje, i pewna rywalizacja, która może prowadzić do jakichś napięć. Tarcia są wszędzie, nie tylko w polityce, lecz także w biznesie czy w mediach. Tutaj mam poczucie, że każdy z ministrów w kancelarii pracuje dla głowy państwa i to tonuje nastroje. Przecież nawet w formie plotek nie pojawiają się informacje, że w Pałacu Prezydenckim są jakieś zażarte spory pomiędzy ministrami.

Po odejściu minister Małgorzaty Sadurskiej faktycznie już nie.

Nie wiem, jak było wcześniej. Mogę tylko powiedzieć, jak jest dzisiaj. Każdy ma swoje zadania do zrealizowania i się nimi zajmuje.

Co się tutaj okazało dla pana najtrudniejsze?

Wiedziałem, na co się decyduję. Jako poseł niesprawujący żadnych funkcji miałem mniej obowiązków. Poseł poza obowiązkami w Sejmie, głosowaniami, posiedzeniami komisji, jest panem swojego czasu. Tutaj są codzienne obowiązki, których nie da się przełożyć albo załatwić przez telefon. W ostatnim półroczu miałem może ze dwa całkowicie wolne weekendy. Chociaż też niewolne od telefonów.

Ma pan w gabinecie jeden telewizor, a na nim TVN24. Dlaczego nie TVP Info?

TVN24 jest bardziej krytyczne wobec prezydenta, więc oglądam tę stację, żeby być dobrze przygotowanym na odpieranie krytyki (śmiech). A mówiąc serio, staram się śledzić różne stacje informacyjne, w tej chwili akurat TVN24.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13086b07b7

Smaker

Numer 1

wśród serwisów kulinarnych

www.smaker.pl

*Źródło: Badanie Gemius / PBI dane za wrzesień 2017 Kategoria: Kuchnia, gotowanie.

Rafał A. Ziemkiewicz

To nie wyjazd na Maderę podczas „ciamajdanu" przesądził o losie polityka, którego lewicowe media namaszczały już na przyszłego premiera

Ryszard Petru w ubiegłym tygodniu przegrał wybory lidera partii Nowoczesna z Katarzyną Lubnauer

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

Dzień, w którym upadł Rysiek

Wszystkie Ryśki to porządne chłopy – wie to każdy, kto oglądał „Misia" (a trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł go nie widzieć). „Wstyd przed Ryśkiem" – ten żart również wszedł do potocznej polszczyzny. Wydaje się pewne, że przysłowiowy stanie się również trzeci „Rysiek" – ten, który właśnie przestał być liderem partii do niedawna noszącej oficjalnie nazwę „Nowoczesna Ryszarda Petru". Wejdzie do niej jako symbol kompletnej kompromitacji, człowiek, który trzy lata temu był świetnie zarabiającym analitykiem bankowym, a teraz stał się politycznym bankrutem, z zawodową reputacją mocno nadszarpniętą nieudolnym prowadzeniem przez jego partię księgowości i utratą z tego powodu dotacji, z życiem osobistym zrujnowanym partyjnym romansem z wiceprzewodniczącą, trwającym procesem rozwodowym, który prawie na pewno skończy się orzeczeniem o jego winie oraz koniecznością oddania byłej żonie wielkiej części zgromadzonego majątku, i na dodatek z mocno urobioną w społeczeństwie reputacją gamonia, stale zaliczającego różne śmieszne wpadki. „Wyszedł na tym jak Rysiek na polityce" – będą może mówić przyszłe pokolenia, bo przecież bilans Ryszarda Petru wygląda znacznie gorzej niż biednego imć Zabłockiego, któremu nie udał się handel mydłem.

OD PRZYSZŁEGO PREMIERA DO ZERA

Zaledwie dwa lata temu komentatorzy „Polityki", „Gazety Wyborczej" oraz innych mediów obozu „okrągłostołowego" pisali o Petru jako o pewnym przyszłym premierze i wieszczyli mu karierę porównywalną z Tuskiem, a dziś członkowie własnej partii uznali, że jedyną szansą przetrwania jest pozbycie się skompromitowanego przewodniczącego na tyle szybko, by dać Polakom szansę zapomnieć o nim do następnych wyborów. Trudno nie zadać pytania: Jak to się stało?

Otóż żegnając się definitywnie z Ryszardem Petru (bo zapowiedź nowej przewodniczącej, że pozostanie on w partii jako szef jej „rady mędrców", sprawia wrażenie już tylko pastwienia się nad pokonanym rywalem), wypada na nie odpowiedzieć: „Nie tak, jak państwo sądzą". Przyczyną upadku nie było wcale przekroczenie jakiejś masy krytycznej w liczbie kompromitujących wpadek. Oczywiście cała Polska śmia-

eprasa.pl 13086b07b7

ła się z „kręcenia filiżanką w szklance bez cukru", z „sześciu króli", „premiera Kameruna" czy „rubikonia", ale najmniej śmiali się z tego potencjalni wyborcy Nowoczesnej. A w każdym razie w ich oczach śmieszne lapsusy bynajmniej Ryszarda Petru jako polityka nie skreślały. Podobnie jak oczywiste dla wszystkich wizerunkowe słabości Bronisława Komorowskiego nie przeszkodziły mu sięgnąć po prezydenturę i długo utrzymywać bardzo wysoką popularność.

Tym, co przetrąciło karierę „murowanego przyszłego premiera", nie był też sławny weekendowy wypad na Maderę. Wbrew powszechnemu mniemaniu załamanie nastąpiło na wiele miesięcy przed tym, jak wszystkie media obiegło zdjęcie Ryszarda Petru z Joanną Schmidt w lecącym na portugalską wyspę samolocie. Tylko nie każdy to od razu zauważył. Jednak dla doświadczonego komentatora politycznego to, że Ryszard Petru właśnie stracił swoją wielką szansę i nie tylko nie będzie już rozdawać kart, lecz także prędzej czy później znajdzie się na marginesie sceny politycznej, był oczywisty.

Chodzi o ten moment, gdy po ulicznych protestach przeciwko zmianom w Trybunale Konstytucyjnym oraz po mocnym zaangażowaniu się instytucji zagranicznych w poparcie dla Andrzeja Rzeplińskiego PiS zawahał się i zaczął szukać w tej sprawie kompromisu. Grzegorz Schetyna oraz medialno-celebryckie zaplecze pryncypialnie odrzucili wszelką myśl o porozumieniu: żadnych rozmów, żadnych ustępstw, „o konstytucji nie ma negocjacji", najpierw rząd musi „opublikować wyrok" – choć ten stał się już dawno bezprzedmiotowy – a nowo wybrani sędziowie popełnić seppuku etc. Politycy i liderzy opinii wierni zasadzie „opozycji totalnej" uznali – zupełnie nietrafnie – że sprawą Trybunału Konstytucyjnego „zgrillują" PiS na skwarkę, że potępienie polskiego rządu przez Zachód wyprowadzi na ulicę tłumy, które wymuszą nowe wybory. Kompromis i uspokojenie sytuacji były zatem ostatnim, czego wówczas potrzebowali – a fakt, że niczego innego bardziej nie potrzebowała Polska, zupełnie się dla nich nie liczył.

GORSZY ANTY-PIS

Gdy Ryszard Petru nazwał wówczas kompromisowe propozycje PiS „światełkiem w tunelu", wszyscy politycy i media „opozycji totalnej" wsiedli na niego z niezwykłą zajadłością jako na zdrajcę walki o wolność oraz demokrację – i Petru zwyczajnie „pękł", ogłaszając szybko, że żadnego światełka oczywiście nie widział, że odsunięcie od władzy Kaczyńskiego pozostaje i zawsze będzie nadrzędnym celem całej opozycji, i – mówiąc krótko – Nowoczesna podporządkowuje się całkowicie linii „opozycji totalnej".

W tym momencie jego partia przestała być tym, czym być miała i po co ją powołano, oraz osiągnęła względny sukces w wyborach parlamentarnych – przestała być „lepszą platformą". Zamiast tego skazała się na sformatowanie już tylko jako „gorszy anty-PiS". Gorszy, bo mniejszy i słabszy.

Jest kilka możliwych powodów, dla których Ryszard Petru postąpił wówczas w sposób zgubny dla siebie i swojej formacji. Jeden z nich to po prostu zupełny brak intelektualnej samodzielności. Zobaczył, że jego zwolennicy nienawidzą Kaczyńskiego, więc postanowił przystąpić do licytacji: „ja nienawidzę Kaczyńskiego bardziej niż inni". Niezdolność pójścia pod prąd nastrojom swego zaplecza mógł też wzmocnić w nim lęk, że jako „zdrajca" straci poparcie mediów, które go wylansowały.

Inna możliwość to polityczna naiwność – może wziął za rzeczywistość matriks kreowany przez „liberalne" media i uwierzył, że metodą „im gorzej, tym lepiej", mobilizowania przeciwko PiS „ulicy i zagranicy" można obalić PiS przed końcem kadencji w drodze „polskiego majdanu".

Za najbardziej prawdopodobne uważam, że Petru zgrzeszył wtedy pychą. Uwierzył, że będzie nie gorszym, lecz lepszym anty-PiS od PO – lepszym, bo większym. W tamtym akurat momencie miał wysokie notowania w sondażach i praktycznie nie wychodził – tak było zresztą przez ostatnie dwa lata – ze studiów telewizyjnych i radiowych. Człowiekowi, który do polityki przyszedł niedawno, zabrakło wiedzy i wyobraźni. Nie zrozumiał, że popularność gwiazdy telewizyjnej i wysokie słupki w IBRiS to lotne piaski, że prawdziwą, trwałą siłę polityczną buduje się na strukturach, pieniądzach, wpływach w terenie, a to wszystko ma jego główny konkurent – PO. Jedyną więc rokującą metodą walki jest się od tego konkurenta odróżnić, wytykać mu nierozliczone patologie jego rządów, wykazywać, że to właśnie przez te patologie, afery, chore układy i pogardę okazywaną „zwykłym Polakom" sprowadziła PO na Polskę takie „nieszczęście", jakim są rządy PiS.

Petru poszedł jednak w stronę przeciwną – podłączył się pod KOD, demagogię o „łamaniu konstytucji" i „obronie demokracji", rozpuścił Nowoczesną w koalicji z politycznymi efemerydami, podpisał się pod tezą, że nadrzędnym celem opozycji jest obalenie rządów PiS – czyli, w domyśle, powrót do sytuacji poprzedniej. Polacy zobaczyli, że Nowoczesna jest tylko przystawką PO, a jedyny spór między Petru i Schetyną to spór personalny oraz ambicjonalny, konkurs piękności i licytacja, kto jest opozycją bardziej totalną.

A kiedy to zobaczyli, to już odzobaczyć nie mogli.

KOMPROMITACJA A ZNISZCZENIE

Wyjazd na Maderę podczas „ciamajdanu" – w momencie, gdy się ogłosiło rewolucję, wezwało ludzi na barykady i sięgnęło po najwznioślejsze hasła o wyjątkowości chwili i prowadzonej „walki o wolność" – musiał oczywiście Ryszarda Petru skompromitować, ale nie musiał go zniszczyć. Proszę zwrócić uwagę, że dokładnie ten sam błąd popełnił wówczas Grzegorz Schetyna. On także, wytarłszy sobie gębę (by użyć utartego frazeologizmu) najwznioślejszymi wezwaniami do walki, nie uznał ich bynajmniej za wystarczający powód, by zmieniać plany na zimowe ferie, i wyjechał do modnego kurortu na narty – owszem, w mniej skandalizujących okolicznościach, bo z rodziną, ale przecież porzucenie „ciamajdanu" mogło również jego karierą zachwiać, a tak się nie stało.

Od chwili, gdy Nowoczesna poddała się emocjom „opozycji totalnej" i przestała być alternatywą dla PO, jej upadek był przesądzony. Nawet gdyby Petru nie wdał się w tabloidowy romans, nawet gdyby nie stał się drugim po Aleksandrze Kwaśniewskim „człowiekiem memem", uwiąd tej partii stał się nieuchronny, podobnie jak to, że spróbuje się ona obronić szukaniem nowego lidera.

Płynie z tej historii ciekawa nauka. Gdyby w decydującym momencie Ryszard Petru nie kombinował, jak nabić sobie „popularkę", tylko zachował się zgodnie z interesem kraju i podjął propozycję wyciszenia sporu o Trybunał, stając się zamiast opozycji „totalnej" opozycją konstruktywną i merytoryczną – prawdopodobnie pozostałby liczącym się politykiem. Przegrał, bo wybrał odwrotnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13086b07b7

Szach-mat Katarzyny Lubnauer

Agnieszka Niewińska

Nowa przewodnicząca Nowoczesnej to specjalistka od teorii prawdopodobieństwa. I nie pomyliła się, obliczając szanse na zwycięstwo w partyjnych wyborach

FOT. RAFAŁ OLEKSIEWICZ/REPORTER

Do wyścigu o fotel szefa Nowoczesnej zgłosiła się na tydzień przed wyborami. Jej konkurenci już od dawna prężyli muskuły. – Kiedy zdecydowałam się kandydować? Dzień przed upływem terminu zgłaszania kandydatów, w czwartek. Od razu rano w piątek zadzwoniłam do Ryszarda Petru z informacją o mojej decyzji. Wcześniej nie planowałam startu, choć już od dłuższego czasu myślałam o tym, że Nowoczesnej potrzebna jest zmiana wizerunkowa – mówi „Do Rzeczy" Katarzyna Lubnauer.

Jej przewaga była niewielka: 149 głosów do 140 jakie uzyskał Ryszard Petru. – To nie był efekt politycznego doświadczenia, bo ta partia w ogóle go nie ma. Tu chodziło raczej o słabość poprzedniego lidera i przejścia z nim związane, jak choćby nagłaśniane przez media wpadki czy sprawy obyczajowe – ocenia dr Bartłomiej Biskup, politolog z UKSW. – Jakiś talent do polityki pani Lubnauer niewątpliwie jednak ma. Potrafiła rozegrać te wybory, namówić polityków Nowoczesnej do głosowania na siebie, przeciągnęła na swoją stronę te bardziej znane twarze, jak chociażby Kamilę Gasiuk-Pihowicz. Swoją rolę w tych wyborach odegrało też przedwyborcze zagranie Petru. Części działaczy mogło nie spodobać się to, że poparł kandydaturę Rafała Trzaskowskiego z PO na prezydenta Warszawy, i postanowili przenieść swoje poparcie na Lubnauer – dodaje dr Biskup.

PAMIĘĆ DO LICZB

Chociaż Lubnauer szerzej znana jest od 2015 r., kiedy razem z Nowoczesną weszła do Sejmu, to ta łódzka posłanka w politykę zaangażowana jest już od 1993 r. – wówczas wstąpiła do Unii Demokratycznej. Włączyła się w kampanię prezydencką Jacka Kuronia. Chętnie zresztą przypomina tamte czasy na Facebooku. Publikuje zdjęcia z ówczesnej kampanii, z czasów swojej działalności w UD i Unii Wolności – m.in. z Tadeuszem Mazowieckim, Bronisławem Geremkiem, Januszem Onyszkiewiczem. W wyborach parlamentarnych w 1997 r. jednak nie wystartowała, rok później została miejską radną w Łodzi, startując z list UW. Była nią tylko jedną kadencję. W kolejnych wyborach – ani tych na radną, ani tych do Sejmu – nie odniosła sukcesu. Zresztą w 2001 r. sama UW zeszła z politycznej sceny, zyskawszy zaledwie 3 proc. poparcia w wyborach. Lubnauer startowała jeszcze z list innych tworów usytuowanych po lewej stronie sceny politycznej – takich jak Demokraci.pl czy LiD. W 2010 r. zdecydowała się na start z list PO w wyborach do samorządu. Bez sukcesu. Postawiła na karierę naukową. Wcześniej skończyła matematykę na Uniwersytecie Łódzkim, zaczęła nawet uczyć w jednym z łódzkich liceów, ale dostała propozycję doktoryzowania się na UŁ i wybrała karierę nauczyciela akademickiego. Jest specjalistką od teorii prawdopodobieństwa.

Od innych łódzkich polityków słyszymy, że jej start w wyborach parlamentarnych był zaskoczeniem. – Objawiła się pięć miesięcy przed wyborami. Wcześniej nie dała się poznać jako łódzka aktywistka czy działaczka społeczna.

eprasa.pl 13086b07b7

Realizowała się najwyraźniej jako nauczyciel akademicki – opowiada nasz rozmówca.

Lubnauer: – W polityce działałam od 1993 do 2006–2007 r. Mój start w 2010 r. wynikał jedynie z tego, że w jednym z okręgów wspierałam kolegę na liście wyborczej. Nie był aktem politycznym. Już byłam poza polityką. Zdecydowałam się do niej wrócić po ośmiu–dziewięciu latach nieobecności w 2015 r., bo pozwala ona na kreowanie i wprowadzanie w życie wizji mądrych zmian w kraju. Dla mnie najważniejsze są tematy związane z edukacją. Polityka wciąga, uzależnia, ale to matematyka jest moim podstawowym zawodem. A w polityce przydaje się logiczne myślenie i pamięć do liczb – tłumaczy.

„TYLKO PRZEWODNICZĄCA"

W Nowoczesnej konsekwentnie pięła się w górę. Była wiceprzewodniczącą partii, rzecznikiem prasowym, a kilka miesięcy po tym, jak Ryszard Petru – w czasie grudniowej okupacji mównicy sejmowej – z koleżanką partyjną wybrał się na Maderę, Lubnauer zastąpiła go na stanowisku szefa klubu. Występowała w mediach od prawa do lewa, co sprawiło, że stała się jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy N.

W klubie poselskim N. słyszymy, że, jak na osobę o ścisłym umyśle przystało, jest zorganizowana i opanowana. – Nie traci zimnej krwi nawet, jak ktoś na nią krzyczy czy pohukuje, a nie jest tajemnicą, że z inną znaną posłanką, która ostatecznie poparła ją w partyjnych wyborach, nie są w szczególnie ciepłych relacjach – mówi nam jedna z osób działająca w N., sugerując, że chodzi o Kamilę Gasiuk-Pihowicz.

W sejmowych ławach posłanka Lubnauer nie musi pierwiastkować, całkować i rozwiązywać długich równań, odreagowując stres, bo, jak słyszymy, jest na niego szczególnie odporna. Za to potrafi rozrysować i wytłumaczyć laikom, na czym polega przeliczanie wyborczych głosów na mandaty metodą D'Hondta, Sainte-Laguë'a czy Hare'a-Niemeyera.

– Pani Lubnauer jest mądrym i wyważonym politykiem. W klubie poselskim jestem jej zastępcą, jeśli zaproponuje mi jakąś inną rolę, oczywiście ją przemyślę. Potrzebujemy teraz chwili spokoju, przegrupowania zasobów, tak aby ze zdwojoną siłą rozpocząć kolejny etap życia Nowoczesnej i wygrać najbliższe wybory, aby rzezimieszki z PiS nie psuły nam samorządów i Rzeczypospolitej – twierdzi Piotr Misiło, który miał być kontrkandydatem Lubnauer w partyjnych wyborach, ale ostatecznie ją poparł. – W takich partiach jak nasza, nowoczesnych i demokratycznych, taka zmiana jest zupełnie naturalna. Członkowie partii doszli do wniosku, że w obecnej sytuacji politycznej należało dokonać zmiany, i jej dokonaliśmy. Szaleństwem jest bowiem czynić ciągle to samo i oczekiwać innych rezultatów.

Doktor Biskup zwraca uwagę, że sądząc po wypowiedziach Lubnauer, partia teraz skręci w lewą stronę. Nowa szefowa N. jest pomysłodawczynią akcji „Świecka szkoła" i opowiada się za wyprowadzeniem lekcji religii ze szkół. Jest zwolenniczką liberalizacji ustawy aborcyjnej, podczas gdy Petru opowiadał się za utrzymaniem obecnych zapisów. Lubnauer chętnie wypowiada się także na temat wprowadzenia edukacji seksualnej w szkołach. Na antenie TVN stwierdziła nawet, że ten, kto wyprowadza edukację seksualną ze szkół, jest współwinny gwałtom.

Jedną z pierwszych decyzji Katarzyny Lubnauer było pismo do sympatyków o wpłaty na rzecz partii – nawet po 10 zł

Nowoczesna od dłuższego czasu jest na sondażowej mieliźnie, w niektórych badaniach jej notowania oscylują wokół progu wyborczego. Czy Lubnauer to zmieni? – Wiele zależy od tego, jakie będą jej pierwsze decyzje. Nie powinna od razu wchodzić w wielką politykę, ale postawić na spójność partii. N. jest bardzo podzielona. Lubnauer wygrała, lecz jej przewaga była nieznaczna – mówi dr Biskup. Krytyków nowej szefowej N. zresztą nie brakuje. Jedni robią to pokątnie, zżymając się, że poparcie na nową szefową scedowali dwaj niezbyt lubiani w N. posłowie – Piotr Misiło i Paweł Pudłowski. Inni krytykują publicznie – jak poseł Krzysztof Mieszkowski, który na Twitterze odniósł się do wypowiedzi Lubnauer o tym, że jeszcze się zastanawia, czy N. rzeczywiście poprze kandydata PO w stolicy. „Katarzyna Lubnauer nie będzie decydować jednoosobowo, czy Nowoczesna będzie tworzyła koalicje, czy nie. Jest tylko przewodniczącą" – napisał Mieszkowski. – Zdaję sobie sprawę z tego, jak ważne jest to, żeby każdy z członków Nowoczesnej czuł się bezpiecznie po zmianie kierownictwa partii. Spotykam się, rozmawiam, jestem z nimi w kontakcie. W tym tygodniu odwiedzam Wrocław i Katowice, w następnym wybieram się do kolejnych dwóch regionów – mówi Lubnauer i zapewnia: – To nie jest prawda, że mam jakieś niedobre relacje z Kamilą Gasiuk-Pihowicz. Zawarłyśmy sojusz i chcemy wspólnie działać na rzecz zmiany wizerunku partii. Zadeklarowałam poparcie Kamili w staraniach o stanowisko przewodniczącej klubu. W ten sposób wzmocnimy Nowoczesną. Polityka to w końcu sztuka zawierania sojuszy.

STERNICZKA I RADIOOPERATORKA

Porażka Ryszarda Petru chyba najbardziej zasmuciła twórców internetowych memów. Bo choć były szef N. prowadził partię w tylko sobie znanym kierunku, to przynajmniej dbał o uśmiech Polaków. Katarzyna Lubnauer akurat na nawigacji się zna. – Byłam w wodnej drużynie harcerskiej i na wodzie spędzałam swój wolny czas. Najpierw zrobiłam patent żeglarza, potem sternika jachtowego, który po zmianie przepisów zamienił się w sternika morskiego. Instruktorem żeglarskim zostałam w wieku 21 lat, a kiedy w któreś lato chcieliśmy popływać z córką i mężem w Chorwacji, zrobiłam uprawnienia radiooperatora, bo były wymagane. Niestety teraz pływam coraz rzadziej. W tym roku udało mi się wygospodarować zaledwie kilka dni – opowiada Lubnauer. Teraz chwyciła za ster Nowoczesnej. Czy wyprowadzi partię na szerokie wody? – Jestem przekonana, że tak. Nowoczesna jest Polsce potrzebna. Potrzebujemy partii, która będzie dbać o tworzącą się klasę średnią, ludzi aktywnych, pracujących, tych, którym zawdzięczamy rozwój Polski – podkreśla nowa przewodnicząca.

Na razie jednak aktywni i pracujący potrzebni są Nowoczesnej. Jedną z pierwszych decyzji Katarzyny Lubnauer było pismo do sympatyków o wpłaty na rzecz partii – nawet po 10 zł. Partia kierowana do niedawna przez ekonomistę jest bez grosza, bo popełniła błędy w rozliczeniu wyborczym i straciła państwową subwencję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13086b07b7

Patrioty będą droższe, ale nowoczesne

Maciej Pieczyński

Kupujemy system antyrakietowy, który jeszcze nie istnieje. Jednak gdy już powstanie, polska armia dołączy do światowej elity zbrojeniowej. Cena patriotów jest o wiele wyższa, niż przewidywało MON. Negocjacje o jak najkorzystniejszy offset trwają

FOT. U.S. ARMY

Przełomem miała być lipcowa wizyta Donalda Trumpa w Warszawie. To wówczas podpisane zostało memorandum intencyjne, czyli porozumienie, w ramach którego rząd amerykański zadeklarował wsparcie dla przekazania Polsce najnowszej broni antyrakietowej. Antoni Macierewicz zapewnił wówczas, że udało się uzyskać zgodę na zakup „baterii rakiet Patriot w najnowocześniejszej konfiguracji, takiej, jakiej używają wojska USA". Nie chodziło jedynie o sam sprzęt. Od początku MON starał się o pozyskanie również technologii. Około tygodnia po ogłoszeniu memorandum portal tygodnika „Polityka" poinformował o „ultimatum", które miał postawić Amerykanom w toku negocjacji wiceminister obrony narodowej Bartosz Kownacki. „Zaczęliśmy ostrą grę. […] Może się ona skończyć fiaskiem największego programu zbrojeniowego" – biła na alarm „Polityka". Powód? Kownacki wysłał do amerykańskiej Agencji Współpracy Obronnej (DSCA) list, w którym napisał m.in.: „Transfer dwunastu technologii oznaczonych w offsecie jako niezbędne, zgodnie z polskimi przepisami, ma zasadniczy wpływ na podpisanie LOA [umowy międzyrządowej – przyp. red.] przez rząd Rzeczypospolitej Polskiej. Niespełnienie tych założeń spowoduje odrzucenie oferty offsetowej, co skutkować będzie zakończeniem postępowania na pozyskanie systemu WISŁA PATRIOT" (patrioty są częścią programu „Wisła"). Wydawałoby się, że twarde negocjacje o jak najlepsze warunki transakcji to raczej dowód odpowiedzialnego podejścia. Kownacki, tłumacząc się z treści listu w rozmowie z „Naszym Dziennikiem", stwierdził, że celem listu nie był szantaż, tylko „poinformowanie" amerykańskich partnerów o „przepisach prawnych, jakie obowiązują w Polsce w przypadku podpisywania kontraktów na zakup broni i sprzętu wojskowego za granicą". Faktem jest, że nie tylko negocjacji nie zerwano, lecz także dziś wiele wskazuje na to, iż uda się uzyskać od Amerykanów najnowocześniejsze technologie. Chociaż problemem może być wysoka cena.

IBCS WYMAGA TESTÓW

Przedstawiciele MON bardzo chętnie opowiadali w mediach o tym, jakim to wielkim osiągnięciem będzie zakup systemu Patriot z atrakcyjnym offsetem. Wiceminister Kownacki mówił m.in., że polski przemysł powinien uzyskać możliwość serwisowania sprzętu. Szczególnie

eprasa.pl 13086b07b7

że – jak przyznał – Polski nie stać na to, by zakupione za tak duże pieniądze patrioty naprawiać za granicą. Dwa tygodnie temu na antenie TVP Info stwierdził z kolei: „Chcemy, by ten system był produkowany wespół z polskimi zakładami, chcemy uzyskać 50-procentowy udział polskiego przemysłu". Minister Antoni Macierewicz prognozował, że za cały program zapłacimy ok. 30 mld zł. Taka orientacyjna kwota przewijała się w wypowiedziach medialnych. W odpowiedzi na interpelację poselską w tej sprawie Kownacki deklarował: „Należy wskazać, że kwota 30 mld zł jest kwotą szacunkową i stanowi jej górną granicę. Faktyczny koszt pozyskania zestawu będzie znany po przedstawieniu przez amerykańską stronę rządową projektu umowy dostawy i uzgodnieniu jej ostatecznego kształtu". Jednak ta szacunkowa kwota okazała się o wiele zaniżona. Gdy dwa tygodnie temu Departament Stanu zawiadomił Kongres, że USA są gotowe sprzedać Polsce najnowszą wersję systemu antyrakietowego Patriot, poznaliśmy szczegóły wstępnej oferty. 30 mld zł miał kosztować cały program, czyli osiem baterii. Tymczasem Amerykanie zaproponowali pierwszą partię sprzętu, czyli dwie baterie, w cenie 10,5 mld dol., czyli ok. 37 mld zł. – W chwili obecnej rozpoczyna się finałowy proces uzgodnienia warunków umowy LOA, w tym m.in. kosztów. Dopiero po zakończeniu tej fazy będzie możliwość ustalenia ostatecznej wartości pierwszej fazy – uspokaja w rozmowie z „Do Rzeczy" kmdr Łukasz Boguszewski z MON. Negocjacje więc wciąż jeszcze trwają. Dwie baterie to 16 nowoczesnych wyrzutni M903. W ofercie jest też 208 zaawansowanych technologicznie rakiet przechwytujących PAC-3 MSE. Jedenaście pocisków testowych, cztery radary AN/MPQ-65, cztery stacje kierowania walką, pakiet logistyczny i szkoleniowy oraz oprogramowanie i stacje obsługujące system dowodzenia IBCS. W tym sześć istniejących już stacji oraz dwie nowe. – System IBCS to nowe podejście w zakresie sieciocentryczności [termin oznaczający szybką i efektywną wymianę informacji w celu uzyskania przewagi nad przeciwnikiem – przyp. red.] zestawów obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej – zapewnia kmdr Boguszewski. – Jego główna idea to możliwie jak najlepsze zobrazowanie sytuacji powietrznej z wykorzystaniem wszystkich wpiętych do tego systemu elementów. Szczegóły operacyjne ze względów bezpieczeństwa stanowią informację niejawną – dodaje.

To absolutna nowość. Armia amerykańska dopiero wprowadza system IBCS na swoje wyposażenie. – Obecnie prowadzone są testy operacyjne z wykorzystaniem rzeczywistych zestawów Patriot z IBCS – informuje kmdr Boguszewski. – Oznacza to, że otrzymaliśmy od rządu USA zgodę na pozyskanie sprzętu, który jeszcze nie jest na wyposażeniu sił zbrojnych USA. Podkreślić należy, że zanim IBCS wejdzie w skład wyposażenia armii USA, będzie on podlegał długotrwałym testom. Dopiero w momencie, gdy system udowodni swoje możliwości operacyjne, tzn. przejdzie wszystkie testy i sprawdzenia, wejdzie do wyposażenia armii USA i jednocześnie Polski – dodaje.

PRZEŁOMOWA TRANSAKCJA

Eksperci komentują, że staramy się o pozyskanie czegoś, co jeszcze nie istnieje. A to może wymagać od nas konieczności współfinansowania rozwoju prac badawczo-rozwojowych. Ich wartość trudno oszacować. Ten właśnie czynnik może determinować tak wysoką cenę. Kupimy najnowocześniejszy sprzęt, który będziemy wdrażać równolegle z najpotężniejszą armią świata. Jednakże może pojawić się pytanie: Czy to nie ryzyko kupować sprzęt, który nie został jeszcze sprawdzony? – To nie jest tak, że IBCS to jakaś wielka niewiadoma. Z pewnością ten system będzie bazował na pewnych wcześniejszych rozwiązaniach, tyle że zostaną one w jego ramach ulepszone – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy" gen. Roman Polko. – Oczywiście łatwiej byłoby uzyskać jakiś system już sprawdzony przez Amerykanów. Starszych technologii chętniej się pozbędą. Pamiętajmy jednak, że chodzi o system komputerowy. Technologie informatyczne rozwijają się błyskawicznie, więc to, co dziś nowoczesne, jutro już będzie przestarzałe. A przecież pierwsze patrioty najprawdopodobniej dostaniemy w 2022 r. Warto więc patrzeć w przyszłość.

Generał Polko przypomina, że Amerykanie bardzo długo blokowali dostęp do swoich technologii. To tym bardziej, jego zdaniem, świadczy, jak przełomowa może być negocjowana obecnie transakcja. Dekadę temu – jako zastępca, a następnie szef BBN – w rozmowach z przedstawicielami USA na pytanie o zakup nowych technologii słyszał odpowiedzi w rodzaju: „Po co wam to? Rosja wam nie zagraża". Dzisiaj sytuacja się zmieniła.

Nie wiadomo jednak, czy nie jest za późno.

Wyższa niż wcześniej przewidywano cena patriotów może wynikać nie tylko z tego, że Amerykanie dzielą się z nami swoją najnowszą technologią. – Negocjacje powinny być prowadzone w sposób poufny. Ujawnianie szczegółów dla celów propagandowych to niewybaczalny błąd, który Amerykanie mogą wykorzystać. Jeżeli klient pokazuje, że bardzo mu zależy na sfinalizowaniu transakcji, to trudno, żeby sprzedawca tego nie wykorzystał i nie podbił ceny. W końcu skoro MON już się pochwaliło, że patrioty na pewno kupi, to będzie niezręcznie wycofać się z transakcji, nawet przy gorszych warunkach – mówi gen. Polko. – Amerykanie to nasi sojusznicy, ale wiadomo, że chcą też zarobić. W biznesie nie ma honoru, jest walka o możliwie korzystne warunki – dodaje.

Nic jednak straconego. Jak informuje kmdr Boguszewski, negocjacje są na „ostatniej prostej" i wchodzą w najtrudniejszy etap. – Zasadniczo właśnie teraz kształtuje się obraz przyszłości obrony przeciwlotniczej w Polsce – mówi. Nie wiadomo, jaką ostateczną cenę, jaki offset oraz jaki stopień transferu technologii uda się wywalczyć negocjatorom z MON. Zdaniem gen. Polki powinniśmy powalczyć o inwestycje w polski przemysł zbrojeniowy. – Najważniejsze w całym kontrakcie jest to, by Polska była w stanie opanować technologię, czyli żebyśmy byli w stanie produkować rakiety dla Sił Zbrojnych własnymi siłami – uważa kmdr por. rez. Artur Bilski, szef think tanku Nobilis Media, zajmującego się analizą zagadnień związanych z bezpieczeństwem i obronnością. – Jesteśmy w takiej sytuacji, że bez własnego zaplecza rakietowego zakup patriotów niewiele zmienia. Kluczem jest opanowanie technologii rakietowej przez nasz przemysł i jej długofalowe rozwijanie, tak jak robi to Szwecja czy Norwegia. Technologia rakietowa, szczególnie dalekiego zasięgu, jest też kluczem do naszego bezpieczeństwa i suwerenności. Jeśli miałoby to więcej kosztować, to powinniśmy to przyjąć – dodaje.

Obecnie prowadzone są równolegle negocjacje offsetowe oraz uzgadnianie umowy międzyrządowej. – Po ich zakończeniu nastąpi analiza możliwości realizacji programu „Wisła", w tym finansowanie oraz transfer technologii. Wtedy także zapadną decyzje o ograniczeniu offsetu lub pozostawieniu na obecnym poziomie – informuje kmdr Boguszewski. Realny termin zakończenia negocjacji to pierwszy kwartał 2018 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13086b07b7

Jakub Dymek z „Krytyki Politycznej" został oskarżony przez byłą partnerkę o gwałt. Sam tym zarzutom zaprzecza

FOT. BARTEK SYTA/POLSKA PRESS/EAST NEWS

Lewica, czyli patologia

Rafał A. Ziemkiewicz

Bicie, poniżanie i wykorzystywanie kobiet na prawicy oznacza środowiskowy ostracyzm. Na lewicy – jak się okazało – to tajemnica poliszynela i źródło anegdot

epiasa.pl

Feministki od dawna starały się przekonać opinię publiczną, że w Polsce kobiety są regularnie znieważane i poniżane, że mężczyźni wykorzystują swą wyższą pozycję społeczną, by nimi pomiatać, wymuszać seks i – ogólnie mówiąc – postawę podporzadkowania. Trzeba przyznać, że pojawiły się dowody, iż ich twierdzenia nie były wyssane z palca. Na szczęście jednak taki obraz stosunków damsko-męskich okazuje się prawdziwy tylko w odniesieniu do stosunkowo wąskiego środowiska, raczej wyobcowanego z normalnych wzorców i mechanizmów polskości. Konkretnie – ich własnego, czyli środowiska lewicy, jak przyjęło się w Polsce nazywać establishmentowe grupki żyjące w poczuciu wyższości nad krajowcami, przekonaniu, które czerpią z małpowania zachodnich salonów i campusów, oraz obfitego dokarmienia państwowymi i zagranicznymi grantami, subwencjami oraz stypendiami.

LEWICOWY SEKSSKANDAL

Nie ucichły jeszcze echa skandalu, jakim było ujawnienie poniżającego potraktowania dziennikarek przez modnego w lewicowej niszy literata Janusza Rudnickiego, a jeszcze bardziej reakcje na nie prominentnych feministek, które z bezprzykładną hipokryzją wystąpiły gremialnie w obronie chamowatego „maczo", a tymczasem już wstrząsa lewicą kolejny seksskandal. I tym razem to sprawa naprawdę grubego kalibru. Mowa jest już nie o wulgarnym i poniżającym słownictwie wobec kobiet czy obleśnie seksualnych żartach w ich obecności. Oto bowiem pięć występujących pod nazwiskami autorek feministycznego portalu stawia wskazanym z imienia i nazwiska lewicowym działaczom i dziennikarzom – Jakubowi Dymkowi z „Krytyki Politycznej" i Michałowi Wybieralskiemu z „Gazety Wyborczej" zarzuty karne: gwałtu, pobić oraz mobbingu, próby wymuszenia „innych czynności seksualnych" powiązanej z obietnicą zawodowego awansu i odsunięciem od niego po odmowie.

Z procesowego punktu widzenia sytuację oskarżanych – zwłaszcza Jakuba Dymka – poprawiają zachowania autorek zarzutów, które sądy często traktują jako okoliczności łagodzące, polegające na „wysokim stopniu demoralizacji ofiary". Była kochanka Dymka po opisanym gwałcie była z nim jeszcze przez wiele miesięcy. Gdy za próbę odejścia od dominującego konkubenta została ukarana ciosem „z byka" w nos (szczęśliwie dla niej partner trafił w nasadę nosa, kilka centymetrów niżej takie uderzenie oznaczałoby złamanie i być może oszpecenie na całe życie, a co najmniej operację), przyjęła wyjaśnienie, że po prostu był pijany i go poniosło, i zdecydowała się na pozostanie jeszcze przez jakiś czas w toksycznym związku. Mało tego – jak wyznaje, nadal „prosiła go o rękę". Na zerwanie zdobyła się dopiero po kolejnym pobiciu, którego skutkiem było poranienie potłuczonym szkłem.

Od „procesowej" strony zagadnienia znacznie ciekawsze są opisane w artykule reakcje lewicowego środowiska na poniżanie, bicie i seksualne molestowanie partnerek czy zagajanie szefa do podwładnej, że „chciałby jej wsadzić język w cipkę". Mówiąc ściślej zaś – brak reakcji.

Szef portalu Wyborcza.pl miał m.in. czynić podwładnym seksistowskie uwagi. Za swoje zachowanie publicznie przeprosił. Został zawieszony w obowiązkach FOT. PIOTR SKÓRNICKI/AGENCJA GAZETA

Ani burzliwy romans Jakuba Dymka, ani „polityka szczerości" – jak miał nazywać swoje zaloty – Michała Wybieralskiego, ani zachowania innych, nieujawnianych z nazwiska antybohaterów głośnej publikacji, nie były bowiem w towarzystwie tajemnicą. Przeciwnie – z opowieści ofiar wynika, że zachowania te przysparzały im swoistej „mołojeckiej" sławy. Historie w rodzaju tej o przywaleniu „z byka" dziewczynie przez konkubenta funkcjonowały w tym towarzystwie jako anegdoty, z których same ofiary śmiały się wraz z innymi, bo czuły, że tak wypada i że trzeba podporządkować się panującemu obyczajowi.

MORALNE ZAPLĄTANIE

Artykuł w „Codzienniku feministycznym" obnaża środowisko do szpiku patologiczne i obrzydliwe, przypomina nieodparcie publikacje PRL-owskiej prasy o środowiskach „marginesu przestępczego". A trzeba przecież pamiętać, że panowie, którzy tak traktowali swoje towarzyszki i ich koleżanki, które o wszystkim wiedziały i śmiały się ze środowiskowych „anegdot" wraz z ich bohaterami oraz bohaterkami, na zewnątrz tokowali o „prawach kobiet", liderowali czarnym marszom, na których robili sobie „selfiki" z antypisowskimi celebrytami i celebrytkami, oraz z pogardą mówili o polskiej ciemnocie, która nie chce „konwencji antyprzemocowej".

No i przede wszystko – na różne sposoby opluwali szeroko pojętą prawicę, insynuując „prawicowym knurom" (obelga z portalu Krytyka Polityczna) czy też „bucom" (to z kolei z „Gazety Wyborczej") „pogardę dla kobiet", molestowanie i wykorzystywanie ich na inne sposoby.

To samo czynią zresztą także skarżące się na swych kolegów feministki. Tak jak komunista za czasów PZPR mógł skrytykować „wypaczenia" socjalizmu tylko formułą, że „miały u nas niestety miejsce praktyki rodem z systemów kapitalistycznych", albo porównując nadużycie komunistycznej bezpieki do zmyślonych zbrodni kościelnej inkwizycji, koniecznie z zaznaczeniem, że mimo wszystko wyższość „naszego obozu" nad przeciwnikiem w żaden sposób nie może być kwestionowana – tak feministki zabezpieczają się przed zarzutem zdrady gorącą apostrofą: „Mobbing, przemoc psychiczna i fizyczna oraz nadużycia seksualne nie są domeną wyłącznie prawicy – jednak po tamtej stronie problem nie wywołuje dyskusji ani oburzenia, a co za tym idzie

eprasa.pl 13086b07b7

– nie pociąga za sobą konsekwencji. Czołowi prawicowi publicyści i »eksperci« mogą publicznie przyznawać się do wykorzystania pijanej kobiety, żartować z gwałtów, publicznie zastanawiać się, czy ktokolwiek chciałby »ruchać« uczestniczki feministycznych protestów, a brak szacunku wobec płci przeciwnej maskować nachalnym całowaniem dłoni i wręczaniem kwiatów 8 marca".

Dopiero ta projekcja feministycznych obsesji, których nie jest w stanie naruszyć nawet zderzenie z brutalną rzeczywistością własnego środowiska, pokazuje całe intelektualne i moralne zaplątanie osób, które znalazły się w kręgu oddziaływania lewicowych ideologii.

Oczywiście nigdy nigdzie żaden „czołowy prawicowy publicysta" ani „ekspert" nie żartował z gwałtów ani nie przyznawał się do wykorzystania pijanej kobiety. To echo insynuacji, jakimi w lepszych dla siebie czasach lewacy – chroniąc się przed procesem sądowym formułą aluzji bądź użyciem anonimowych, „trollujących" kont i wpisów w Internecie – próbowali mnie zniesławić, manipulując wyrwaną z kontekstu wypowiedzią dotyczącą zupełnie innych spraw (nawiasem mówiąc, celowały w tym portale Gazeta.pl i Krytyka Polityczna). Słowa o „ruchaniu" zaś wypowiedział w Internecie niejaki pan Sklepowicz, o którym bodaj po raz pierwszy wtedy dopiero szerzej usłyszano, a co ma wspólnego z jakkolwiek pojmowaną prawicą, nie sposób doprawdy powiedzieć. Podobnie jak kwiatki na generalnie przez prawicę odrzucane „święto kobiet" 8 marca.

Gdyby zresztą nawet nie były to przykłady zmyślone, jakże można nimi równoważyć ujawniane zbydlęcenie, gwałty, pobicia i hipokryzję na lewicy, dotyczącą nie pojedynczych osób, ale – jak jednoznacznie wynika i z wyznań molestowanych działaczek, i z zachowania „obrończyń" Janusza Rudnickiego – całego środowiska, w którym panuje powszechna akceptacja dla takich zachowań, tym bardziej odrażająca, że są one jednocześnie insynuowane innym?

WYPARCIE

Prawda jest dokładnie odwrotna od urojeń lewicowych działaczek. Gdyby ktoś nie tylko na prawicy, lecz także w ogóle w środowiskach normalnych, nie lewicowych, pobił swoją partnerkę albo poranił, roztrzaskując jej na ręku szklane drzwi, czy publicznie zwrócił się do kobiety słowami cytowanymi przez autorki – skazałby się na ostracyzm. Nie można wykluczyć, że takie zachowania zdarzają się i po „naszej" stronie sceny politycznej, bo brutalność oraz hipokryzja, tak jak inne przywary ludzkie, są odwieczne. Jeśli jednak w sposób niegodny potraktowałby kobietę np. radny czy poseł PiS, to ujawnienie tego faktu postawiłoby go poza społecznością, do której należał, i poza towarzystwem. Natomiast, jak widzimy, to właśnie na lewicy nie trzeba się z takimi zachowaniami, nawet przestępczymi, kryć ani się ich wstydzić.

Jeszcze jednym tego dowodem są reakcje lewicy na demaskatorski artykuł. Delikatnie mówiąc – są one więcej niż powściągliwe. „Krytyka Polityczna" i „Gazeta Wyborcza" zawiesiły oskarżonych oraz wydały zdawkowe komunikaty. Redaktor Wybieralski przyznał, że zachowywał się niestosownie, i przeprosił. Redaktor Dymek zasugerował, że oskarżająca go była partnerka ma problemy psychiczne, i zapowiedział, iż będzie walczył o swe dobre imię. I tyle. Cisza. Nie ma ani śladu tych oburzonych chórów, które grzmiały na lewicy całymi tygodniami, gdy ośmieliłem się pokazać w Internecie zdjęcie ładnej modelki w czarnej bieliźnie z adnotacją, że gdyby tak wyglądał czarny protest, sam bym go poparł, ale gdy na brednie feministek, iż prawica „chce kontrolować ich ciała", odpisałem, że gdybym je naprawdę kontrolował, byłyby bardziej zadbane.

Przeciwnie, ruszono do rozmydlania sprawy – jedna z lewicowych działaczek dla poparcia twierdzenia, że to jednak prawica jest gorsza, wystąpiła z groteskowym oskarżeniem, jakoby była w 2015 r. w studiu telewizyjnym molestowana przez Marka Jakubiaka, który miał „z obleśnym uśmiechem" zapytać, czy nie za zimno jej w tak cienkiej bluzce. A chór, owszem, odezwał się, gdy zirytowany ciągłym wycieraniem sobie przez lewicowe działaczki gąb moim nazwiskiem (bo, oczywiście, najcięższą obelgą rzuconą we wspomnianej publikacji na Dymka i Wybieralskiego jest przyrównanie ich do naczelnego seksisty oraz mizogina III RP, Ziemkiewicza) napisałem na Twitterze, że nawet panie z agencji towarzyskiej traktowałem w swym życiu z większą rewerencją niż gwiazdorzy lewicy swoje koleżanki podwładne, pośrednio przyznając się (czego nigdy zresztą nie ukrywałem), że miewałem w życiu także chwile upadku.

Na ujawnienie, jak bardzo patologiczne stanowi środowisko, lewicowy salon reaguje więc w sposób jeszcze bardziej patologiczny. Wyparciem, agresją na zewnątrz i próbą wmówienia sobie, że „u tamtych" jest gorzej. Nie jest gorzej, ani nawet nie jest podobnie – to środowiska lewicowe są aberracją, która nie byłaby możliwa nigdzie indziej niż w kręgu oddziaływania ideologii wspieranej tak potężnymi pieniędzmi i tak nachalnie reklamowanej w mediach, a co za tym idzie – dającej wyznawcom poczucie bezbrzeżnej wyższości i bezkarności.

POGRUCHOTANE WOJOWNICZKI

Patologiczne są także, i trzeba to stwierdzić na koniec, postawy samych ofiar lewicowego środowiska – zarówno tych, które zdecydowały się ujawnić swe krzywdy pod nazwiskiem, jak i współautorek tekstu, które pozostały anonimowe. Demaskatorski artykuł w „Codzienniku feministycznym" potwierdza w całej rozciągłości tezy mojego „Subotnika" o syndromie „Piotrusi pańci", do którego ponownej lektury, w świetle najnowszych wydarzeń, serdecznie zachęcam. Normalnie kobieta nie dałaby się tak długo traktować w taki sposób i jeszcze śmiać się z tego w towarzystwie. To oznaka chorobliwie zaniżonej samooceny, rozpaczliwego poszukiwania akceptacji za każdą cenę, ucieczki przed niezadowoleniem z siebie w roztopienie się w grupie, w oddanie ideologii, dającej złudzenie, że się jest wśród tych „lepszych". Jakub Dymek ma zapewne rację, twierdząc, że oskarżająca go była konkubina ma psychiczny problem – tylko że zupełnie inny, niż się jemu wydaje, i wyrazem tego problemu nie jest to, iż po długim czasie i znalezieniu wsparcia wśród koleżanek o podobnych traumach zdecydowała się go oskarżyć, ale to, że w ogóle dała się komuś takiemu dotknąć.

Przeziera z tej publikacji naprawdę rozdzierający obraz działaczek lewicy, zupełnie odmienny od budowanego przez media stereotypu. Obraz kobiet udających silne i samodzielne wojowniczki, a w istocie właśnie zastrachanych, pogruchotanych wewnętrznie i bezwolnych, nawet po ujawnieniu sprawy usiłujących wyprzeć prawdę o dokonanych wyborach wmawianiem sobie i innym, że „tam", na znienawidzonej prawicy, jest jeszcze gorzej i że to, co je spotkało w środowisku, któremu się bez reszty oddały, to tylko „wypaczenia". Obraz każący wołać o pilną, fachową pomoc terapeuty, ale też napełniający czytelnika głośnego artykułu dogłębnym, seksistowskim współczuciem dla pogubionych w życiu „dziewuch".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13086b07b7

FOT. KRZYSZTOF PACULA/FORUM

Przerwane badania

Ewa Łosińska

Doktor Henryk Głębocki od 24 lat zbiera w rosyjskich archiwach materiały dotyczące polsko-rosyjskiej historii XIX i XX w. Po nagłej akcji FSB dostał nakaz opuszczenia Rosji i zakaz wjazdu w przyszłości

Nocna akcja na dworcu w Moskwie – historyka z UJ zatrzymano 24 listopada o północy – to, jak potwierdziło rosyjskie MSZ, „odwet" za to, że Polska w październiku nakazała – na wniosek ABW – opuszczenie naszego kraju Dmitrijowi Karnauchowowi z rosyjskiego Instytutu Studiów Strategicznych. Rosjanina podejrzewano o powiązania ze służbami specjalnymi.

Odkąd media podały informację o tym incydencie, dr hab. Henryk Głębocki nie przestaje odbierać telefonów od dziennikarzy. Adiunkt Instytutu Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego i pracownik Biura Badań Historycznych IPN w Krakowie jest trochę zmęczony nagłą medialną „karierą". – Oddałbym tę „mołojecką sławę" za możliwość dalszej pracy w rosyjskich archiwach – mówi. Ponieważ zakaz wstępu do nich to dla 50-letniego badacza poważny problem.

KAWAŁEK PAPIERU

Postanowienie Federalnej Służby Bezpieczeństwa, które historykowi wręczono w Moskwie, to kawałek nierówno przedartego papieru – bez podpisu i bez urzędowej pieczęci. Dostał je kilka godzin po tym, gdy w Instytucie Polskim w Petersburgu na zaproszenie rosyjskiego Memoriału wygłosił wykłady o tzw. operacji polskiej NKWD z lat 1937–1938, w wyniku której w Związku Sowieckim zamordowano być może nawet 200 tys. Polaków.

Polskie MSZ już zaprotestowało przeciwko represjom, których ofiarą padł naukowiec. Nota dyplomatyczna została przekazana przez ambasadora RP w Moskwie Włodzimierza Marciniaka do rosyjskiego MSZ.

Zareagowały też władze Uniwersytetu Jagiellońskiego. Rektor uczelni prof. Wojciech Nowak rozmawiał przez telefon z Aleksandrem Mininem, konsulem generalnym Federacji Rosyjskiej w Krakowie, i poprosił pisemnie o wyjaśnienia.

Komunikat wydał także Instytut Pamięci Narodowej – to dzięki niemu o nocnej akcji FSB dowiedziały się media. Władze instytutu podkreślają m.in., że decyzja Rosji uderza w wolność badań naukowych.

Nie wiadomo, jak długo Rosja nie zamierza dopuszczać dr. Głębockiego do cennych archiwów. A są tam prawdziwe rarytasy dotyczące polskiej historii. W 2011 r. historyk ujawnił, że dwa lata wcześniej odnalazł w Rosyjskiej Bibliotece Państwowej (dawniej Lenina) zaginiony rękopis „Dziennika podróży na Wschód" Juliusza Słowackiego. Literaturoznawcy byli przekonani, że spłonął podczas II wojny światowej. – Nie mogłem uwierzyć, że to oryginał, dlatego wiele miesięcy konsultowałem się ze znawcami literatury romantycznej, zanim ujawniłem odkrycie – mówił wtedy dr Głębocki.

Historyk znalazł także w Rosji interesujące materiały na temat Maurycego Augusta Beniowskiego – bohatera poematu Słowackiego – polskiego podróżnika pochodzenia słowacko-węgierskiego, uczestnika konfederacji barskiej, zesłanego w XVIII w. na Kamczatkę, z której uciekł statkiem.

Henryk Głębocki zajmuje się też nowszymi dokumentami dotyczącymi historii Polski i Rosji – chodzi o materiały rosyjskiej ochrany z czasu uwięzienia Józefa Piłsudskiego.

GRANTÓW BRAK

Zakaz wjazdu to niejedyne problemy naukowca. Na dokładne zbadanie i opisanie materiałów dotyczących Beniowskiego nie dostał grantu, o który zabiegał. Chociaż z oficjalnych deklaracji polskich polityków wynikać by mogło, że kierunek wschodni Rzeczpospolitą bardzo interesuje, to z funduszami na wyjazdy na Wschód są ogromne problemy. I nie bardzo pomaga to, że np. praca dr. Głębockiego – „Fatalna sprawa. Kwestia polska w rosyjskiej myśli politycznej 1856–1866" – została w 2000 r. nagrodzona przez Porozumienie Wydawców Książki Historycznej jako najlepsza monografia roku. Ani że jego „Policja tajna przy robocie. Z dziejów państwa policyjnego PRL", opublikowana przez krakowskie wydawnictwo Arcana, dostała wyróżnienie w konkursie o Nagrodę im. Jerzego Łojka.

– Gdybym zdecydował się na badanie kultury gejów w Belgii, łatwiej byłoby o pieniądze niż w przypadku studiowania historii imperium rosyjskiego i sowieckiego oraz ich polityki wobec wielonarodowych peryferii – żartuje dr Głębocki.

Żeby móc pracować w rosyjskich archiwach, stara się m.in. o stypendia z Francji. W latach 90., gdy zaczynał badania, archiwa, także to należące do KGB, były dla badaczy dostępne. – Francuzi odzyskali nawet materiały swoich służb specjalnych – mówi historyk UJ. – Tyle że Polska mało się zasobami, które znajdują się w Rosji, interesowała. Kiedy jednak na Kremlu zasiadł Władimir Putin, sytuacja zupełnie się zmieniła. Dostęp do wielu materiałów został mocno ograniczony lub uniemożliwiony.

Na razie naukowiec na pewno nie zdąży skończyć lektury dokumentów, które badał na potrzeby kilku publikacji. To m.in. planowana monografia dotycząca spisku koronacyjnego przeciwko carowi, opisanego w „Kordianie". Naukowych zainteresowań zmieniać jednak nie zamierza. – Żadne służby, także te Federacji Rosyjskiej, nie będą mi dyktować, czym mam się zajmować – zapewnia dr Głębocki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13086b07b7

Hitler bez swastyki

Marcin Makowski

Twórcy gier, którzy bez wyraźnego powodu cenzurują przeszłość i wymazują przemoc, szkodzą ideałom, o które rzekomo walczą

Rynek gier komputerowych to obecnie jedna z najdynamiczniej rozwijających się gałęzi polskiej oraz globalnej gospodarki. Według prognoz firmy Newzoo – zajmującej się badaniem przychodów branży – jej wartość pod koniec roku wyniesie prawie 109 mld dol. Zaskakujące może być również przewidywane tempo wzrostu, które szacuje się na około 10 mld dol. rocznie. Nasz kraj obecnie plasuje się w tym gronie na 23. pozycji, z przychodami rzędu 1,9 mld dol., które po sukcesie „Wiedźmina 3" poszybowały w górę.

Choćby z tego względu nie da się już dłużej mówić o grach jako niewinnej zabawie dla nastolatków. W rzeczywistości produkcje te kształtują świadomość dziesiątek milionów ludzi na świecie. Dlatego równie istotne jest zarówno „jak", jak i „co" mówią gry, co przekazują w wymiarze symbolicznym oraz historycznym. Z tym drugim, szczególnie gdy chodzi o poprawność polityczną i II wojnę światową, nie jest niestety najlepiej. Cenzura i pudrowanie przeszłości – głównie w Niemczech i USA – to drugie imię branży, która w obawie przed pozwami nadgorliwców zaczyna zjadać własny ogon.

ZAGRAJ W WOJNĘ

1 września 1939 r. rozpoczyna się II wojna światowa. To akurat wiemy wszyscy i ta data pojawia się w filmie otwierającym kampanię najnowszej megaprodukcji firmy Activision – „Call of Duty: WWII" (ponad 500 mln dol. zysku po trzech dniach od premiery). Czego jednak nie dowiemy się dalej? Na przykład tego, że największy konflikt w dziejach rozpoczął się w Polsce. Ten drobny epizod zostaje zupełnie pominięty, a następne sceny pokazują kolumny „nazistowskich" czołgów sunących na tle Paryża. Maszerujący obok żołnierze również jakby nie mieli narodowości. Niosą sztandary z dziwną wersją Krzyża Żelaznego zamiast swastyki. Następnie gracz może obejrzeć barbarzyńskie bombardowanie Londynu, heroiczne przemówienia anglosaskich liderów, po czym następuje błyskawiczny przeskok do USA. Prawdziwa – i ta istotna – część wojny rozpoczyna się dopiero w czerwcu 1944 r.

Co dalej? Z pieczołowitością oddano uzbrojenie, detale sprzętu, czołgów i samolotów, jednak diabeł tkwi w szczegółach. Albo używając tej metafory, zrobiono wszystko, aby symbolicznego „diabła" z tych szczegółów wygumkować. Chociaż w bunkrach niemieckich żołnierzy na ścianach wiszą autentyczne plakaty, dokumenty czy odezwy frontowe, nawet tam wszelki ślad po swastyce zastępuje dziwny czarny krzyżyk. W Europie okupowanej przez „nazistów" widzianej oczyma amerykańskiego żołnierza wszystko jest równie czarno-białe, jak autentyczne filmy propagandowe tamtych czasów. „Zobacz, szkopy płoną jak na BBQ. – Nie mów tak, to czyjś syn. – Dlaczego? – Przecież nie wszyscy są źli. Dali nam Keplera, Mozarta. I Marlenę Dietrich" – brzmi jeden z dialogów głównych bohaterów, którzy niemal sami powstrzymują nacierające hordy wroga.

Okazjonalnie pomagają im w tym również Brytyjczycy oraz Francuzi. Żeby nie było zbyt seksistowsko, ni stąd, ni zowąd do akcji wkracza np. urocza komandos SAS, która z gracją podrzyna gardła szkopom, czy bohaterska członkini ruchu oporu, która ciska granatami na lewo i prawo, strzelając seriami z MP40 trzymanego w jednej ręce. „Dzisiaj odbijemy nasze miasto, weźmiemy to, co nam zabrano" – mówi kobieta, stylizowana na Nicole Minetii. Za chwilę ruszymy odbijać piękny i zachowany w swej glorii Paryż. Nie usłyszymy o kolaborantach, powstaniu warszawskim, a członkowie ruchu oporu będą mieć na ramionach opaski z wadliwie namalowanym krzyżem lotaryńskim. Kto by się jednak przejmował. To tylko gra, prawda?

CENZURA W NIEMCZECH

To tylko jeden z całej gamy przykładów obdzierania gier z kontekstu historycznego. Drugi, bardziej kuriozalny to najnowsza produkcja studia Machine Games – „Wolfenstein II: New Colossus". W tej alternatywnej wersji rzeczywistości, w której Niemcy wygrywają II wojnę światową, faktycznie zobaczymy swastyki, ale już gdy sięgniemy po niemiecką wersję, czeka nas po prostu zalew absurdów. Niemiecki Führer nie tylko nie nazywa się Hitler, tylko Hailer, nie tylko traci swój tytuł na rzecz kanclerza, lecz także pozbawiony jest charakterystycznego… wąsa. Na niemiecki rynek od roku 1994 i pierwszej wersji „Wolfensteina 3D" masowo wychodzą gry, w których nie ma już nazistów, tylko „jakaś" armia bez tradycji i przeszłości. Czerwone flagi z hakenkreuzem zastępują te z okresu II Rzeszy i Republiki Weimarskiej.

eprasa.pl 13086b07b7

W ocenzurowanej w Niemczech grze „Wolfenstein II: New Colossus" na sztandarach „nazistów" nie zobaczymy swastyki FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Krzyże żelazne, używane jeszcze podczas I wojny światowej, zmieniają swoje kontury. Obok natomiast idealnie koegzystuje sztafaż radziecki. Pełno sierpów, młotów, orderów i gwiazd czerwonych. Wygląda to tak, jak gdyby ktoś wymazał niewygodną prawdę tylko o jednym ze zbrodniczych systemów.

Za podobny schizofreniczny stan rzeczy odpowiada wybiórcze respektowanie niemieckiego prawa. Eksponowanie symboli nazistowskich uważane jest w Niemczech za przestępstwo, choć nie nazywa się ich wprost. Kodeks karny wymienia ogólnie „symbole niekonstytucyjnych organizacji", czyniąc wyjątek jedynie do celów edukacyjnych, w sztuce, pracach naukowych czy filmie. Naruszenie prawa grozi karą do trzech lat pozbawienia wolności. Wielu producentów, choć formalnie nie musi tego robić, woli nie narażać się na niewygodne procesy i oddalić od siebie zawczasu łatkę „obrońców nazizmu", po prostu rezygnując z jakiegokolwiek odwołania do symboliki historycznej. Autocenzura czasami dotyczy tylko wersji niemieckich, a innym razem, gdy np. istnieje tryb gry wieloosobowej, działa globalnie, aby wersja gry sieciowej była identyczna u wszystkich graczy.

Co niezwykle interesujące, wirus poprawności politycznej zaatakował w Niemczech nie tylko produkcje dotyczące lat 30. i 40. W pewnym momencie doszło nawet do tego, że wszelkie gry, które zawierały przemoc, tworzono niemal na nowo. W dosyć brutalnych przygodach amerykańskiego najemnika pt.: „Soldier of Fortune" nie tylko przeprojektowano ludzi w roboty, lecz także zmieniono fabułę, która rozgrywa się w alternatywnym wszechświecie, gdzie ludzkość została zupełnie wyparta przez maszyny. Ludzi zastąpiono maszynami również w popularnych wyścigach „Carmageddon", natomiast strategia „Command and Conquer: Generals" musiała być chowana przed dziećmi na półkach, ponieważ umożliwiała użycie jednostek… muzułmańskich samobójców. Po czasie zostali przeprojektowani na zdalnie sterowane samochody z ładunkami wybuchowymi.

Z lewej Hailer w niemieckojęzycznej wersji najnowszego „Wolfensteina", z prawej Hitler w angielskojęzycznej

MYŚLENIE MAGICZNE

Przejdźmy jednak do sedna, czyli styku poprawności politycznej z historią. Choćby nawet próbować łączyć te tematy, właściwie nigdy nie idą ze sobą w parze. Dlaczego? Bo historii nie da się skroić „na miarę naszych czasów". Niestety, twórcy gier, którzy bez wyraźnego powodu cenzurują przeszłość i wymazują przemoc, szkodzą ideałom, o które rzekomo walczą. Czy bowiem wiara w destrukcyjne działanie symbolu, pomijając kontekst jego występowania, nie jest w rzeczywistości czymś w rodzaju myślenia magicznego? A ten rodzaj narracji jest zawsze ahistoryczny. Oddala nas od tego, co faktycznie działo się podczas rozwoju i upadku systemów totalitarnych. Widma powrotu nazizmu nie da się również oddalić, udając, że przemoc nie istnieje.

Trudno nie odnieść wrażenia, że w dłuższej perspektywie każde takie działanie przynosi skutek odwrotny do zamierzonego. Jeśli latające w latach 30. i 40. niemieckie samoloty miały swastyki na statecznikach, to co każe nam udawać w symulatorach lotów, że świat wyglądał inaczej? Niemieckie poczucie wstydu za własną historię? Lęk – ale przed czym? Nie zdziwię się, jeśli kiedyś jakieś dziecko zapyta, czy naziści faktycznie przylecieli z księżyca, niczym w filmie „Iron Sky".

Nigdy nie uporamy się z traumą II wojny, jeśli zamiast rozumieć mechanizmy, które stały za popularnością zbrodniczych systemów, będziemy po prostu odwracać od nich głowę.

Historia powtarza się wtedy, kiedy o niej zapominamy. Dzisiaj z książek, gier i modeli znikną swastyki, jutro w filmach o powstaniu warszawskim nie będzie można pokazać Niemca z SS, za kilka dekad zapomnimy, kto zbudował ten zbrodniczy system. Nie o epatowanie symbolami chodzi, ale o umiejętność widzenia ich w całym bogatym i przerażającym kontekście. Tylko to moim zdaniem na dłuższą metę jest nam w stanie zapewnić bezpieczną przyszłość w Europie. Nawet struś nie może wiecznie trzymać głowy w piasku.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13086b07b7

Przestępstwo prawie doskonałe

Radosław Wojtas

Prawie wszyscy odpowiedzialni za skok stulecia trafili już za kratki. Tylko wciąż nie odnaleziono 8 mln zł, które padły łupem złodziei

Krzysztof W., krawiec, który zmienił wygląd i tożsamość, żeby przygotować się do kradzieży 8 mln zł. Zdjęcie z procesu

FOT. CEZARY PECOLD/SE/EAST NEWS

Miesiące przygotowań, fałszywa tożsamość, diametralna zmiana wyglądu jednego z przestępców, dokładne zatarcie śladów. Pozorny profesjonalizm złodziei, wśród których dwaj to byli policjanci, i kwota skradzionej gotówki – ponad 8 mln zł – spowodowały, że kradzież bankowozu wypełnionego pieniędzmi, do której doszło w lipcu 2015 r. pod Swarzędzem, nazwano skokiem stulecia. Odpowiedzialnych za ten skok być może nie udałoby się zatrzymać, gdyby nie poważne błędy jednego z nich. Poprosił on żonę i teścia o wpłatę na konto bankowe części pieniędzy pochodzących z przestępstwa. A przy zakupie telefonów wykorzystywanych przez przestępców użył wystawionej na swoje nazwisko karty lojalnościowej sklepu.

Trzech z pięciu mężczyzn zamieszanych w kradzież odsiaduje wyroki od sześciu do ośmiu lat więzienia. Czwartego wytropili poznańscy policjanci z Zespołu Poszukiwań Celowych, tzw. łowcy głów. W ubiegłym tygodniu w ręce wymiaru sprawiedliwości trafił Grzegorz Ł. Pod Odessą zatrzymali go funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. I tylko jeden człowiek wciąż pozostaje na wolności, choć był w rękach organów ścigania.

10 lipca 2015 r. jeden z konwojentów firmy ochroniarskiej rozwożącej gotówkę do bankomatów odjechał furgonetką pełną pieniędzy. Chociaż cała Polska widziała jego twarz zarejestrowaną przez monitoring, to przez lata pozostawał nieuchwytny. W firmie nie zostawił żadnych odcisków palców ani śladów biologicznych.

HODOWANIE KRETA

„Hodowanie kreta" – czyli zmiana tożsamości Krzysztofa W., krawca z województwa łódzkiego – trwało kilka miesięcy. Mężczyzna rzucił dotychczasową pracę. Od Adama K., jednego z pomysłodawców kradzieży, miał otrzymywać 1,5 tys. zł miesięcznie. Rodzinie powiedział, że jest na zwolnieniu chorobowym. Wtedy rozpoczęła się transformacja wizerunku krawca spod Łodzi. Z zeznań Krzysztofa W.: „Do żony powiedziałem, że chyba zapuszczę brodę. Ona na to: a zapuść sobie. Po pewnym czasie miałem już zarost. Adam pojawiał się u mnie regularnie. Pod koniec marca mi powiedział, że mam ogolić głowę. Zapytałem go, jak ja to wytłumaczę rodzinie. A on na to, że teraz wszyscy tak chodzą. I jak nie wierzę, to żebym sobie włączył telewizję. »Co drugi łysy z brodą« – mówił". Krzysztof W. zaczął przyjmować leki, po których znacząco przybrał na wadze. Postanowił też chodzić w okularach.

Wtedy otrzymał nową tożsamość złożoną z prawdziwych danych obcych osób. Jako Mirosław Duda został zatrudniony w firmie ochroniarskiej w Łodzi. Dwa miesiące przed kradzieżą został przeniesiony do Poznania.

Od początku dbał, by nie zostawiać po sobie żadnych śladów, pracował w rękawiczkach, aby nie było odcisków palców. Jeździł w konwojach rozwożących pieniądze do bankomatów. Był milczący, kolegom z pracy mówił, że ma chorego ojca. Nie nawiązywał relacji, nie rzucał się w oczy, starał się, by jak najmniej osób go zapamiętało. Kilka razy o mały włos nie doszło do spalenia akcji. Na przykład wtedy, gdy jego bankowóz uczestniczył w kolizji drogowej. W. nie siedział za kierownicą, ale policja mogła chcieć go przesłuchać jako świadka. „Zadzwoniłem do Adama. On powiedział, że to załatwi. Jeszcze zanim przyjechała policja, na miejsce przyjechała inna furgonetka firmy ochroniarskiej i mnie zgarnęła. Wtedy uwierzyłem, że ci ludzie mogą wszystko" – zeznał fałszywy konwojent.

eprasa.pl 13086b07b7

W dniu kradzieży poprosił jeżdżących z nim ochroniarzy, by to on prowadził. Powiedział, że boli go kolano i nie będzie mógł dźwigać toreb z pieniędzmi. Jego współpracownicy i kierownik zgodzili się na to, choć Krzysztof W. do tej pory nigdy nie siadał za kierownicą. Wcześniej zabrał swoje rzeczy z firmowej szafki i dokładnie ją wyczyścił. „Szafkę spryskałem dezodorantem i wytarłem wszystko papierem. Na koniec poszedł proszek od Adama. Pamiętałem dobrze jego słowa. Mówił, że wie, jak będą po skoku wyglądały czynności kryminalne i czego będą szukać, jak już będę ścigany. »Rób, co mówię, a będzie OK.« – mówił Adam. Więc robiłem" – zeznał konwojent.

Krzysztof W. ukradł bankowóz, gdy pozostali ochroniarze z konwoju weszli z pieniędzmi do jednego z banków. Pilotował go Dariusz D. Na skraju lasu przerzucili worki z pieniędzmi. Nie wszystkie, co potem złodzieje wytłumaczyli dużą adrenaliną. Potem zniknęli, a Krzysztof W. wrócił do rodziny, zgolił brodę, zaczął zapuszczać włosy. Wrócił do normalnego życia. Został zatrzymany dopiero w lutym 2016 r.

Krzysztof W. jako konwojent nazywał się Mirosław Duda. Miał brodę i golił się na łyso

Grzegorz Ł., były policjant, był poszukiwany od początku 2016 r. Mylił tropy, sugerował, że pływa na statkach. Zatrzymano go na Ukrainie

Oprócz Krzysztofa W. i Dariusza D. w kradzież zamieszani byli trzej „architekci" skoku: Marek K., Adam K. oraz zatrzymany niedawno Grzegorz Ł.

Wszyscy – oprócz Krzysztofa W. – zeznali, że po napadzie łup podzielono na cztery równe części. Dariusz D. za pomoc miał otrzymać 100 tys. zł. Do dziś odzyskano tylko niewielką część skradzionej gotówki.

Zatrzymany 15 listopada na Ukrainie Grzegorz Ł. to były policjant i wiceprezes firmy ochroniarskiej, w której zatrudniono Krzysztofa W. Poszukiwany był od początku 2016 r., jego tropieniem zajęli się funkcjonariusze specjalnego zespołu poznańskiej policji. Cały czas mylił tropy. W Internecie publikował zdjęcia mające sugerować, że przebywa na Zachodzie i pływa na statkach handlowych. Policjanci ustalili jednak, że najprawdopodobniej już od 2015 r. ukrywał się na Ukrainie.

Na wolności wciąż pozostaje Adam K. To on wpadł jako pierwszy m.in. przez próbę „wyprania" części pieniędzy przez jego żonę i teścia oraz używanie karty lojalnościowej przy zakupie telefonów. Dzięki jego zeznaniom zatrzymano fałszywego konwojenta i innych skazanych. Prokuratura wnioskowała o nadzwyczajne złagodzenie kary dla K., który zresztą podczas procesu nie został tymczasowo aresztowany. Sąd nie był tak łaskawy jak prokuratura i skazał go na sześć lat i dwa miesiące więzienia. Adam K. nie przyszedł na ogłoszenie wyroku. Od tamtej pory jest poszukiwany przez policję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ULTRAKOBIECA ELEGANCJA

Za oknem szaro, buro i ponuro? Dodaj sobie blasku szwajcarskim zegarkiem **HANOWA z kolekcji PURE!** Koperta i bransoleta w odcieniu różowego złota oraz metaliczna tarcza tworzą uwodzicielskie połączenie aktualnych trendów i szwajcarskiej jakości. Wolisz skórzany pasek?
Do wyboru masz odcienie delikatnego beżu, pudrowego różu a nawet szampańskiego złota. Ultrakobiece zegarki **HANOWA** skierowane są do właścicielek wyrafinowanego stylu, które doskonały wygląd uzupełniają perfekcyjnie wykonanymi akcesoriami.

Olśniewający efekt gwarantowany!

swiss.com.pl
cena 490 zł / 590 zł

eprasa.pl 13086b07b7

Głos wolnej Polski

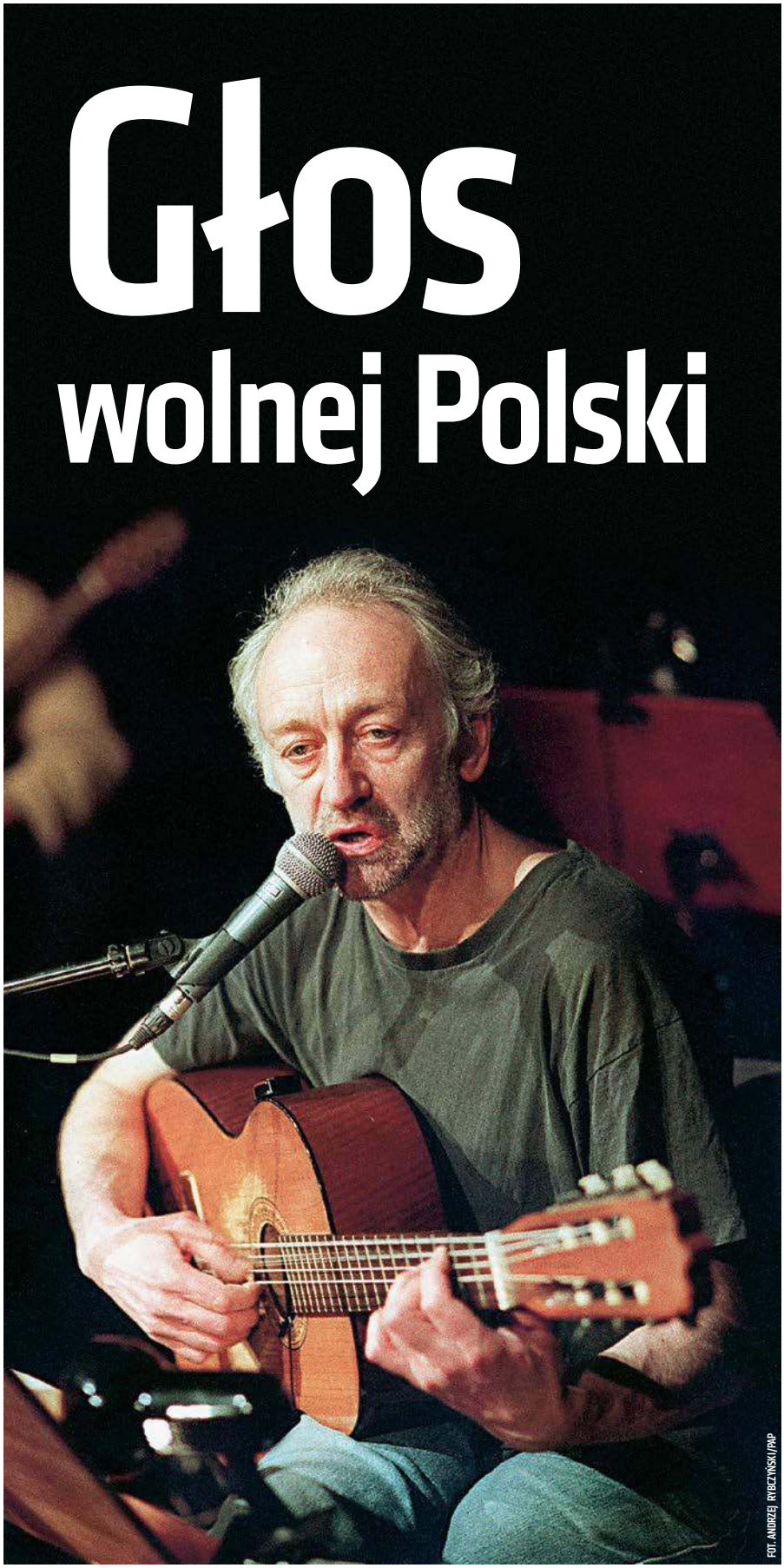

FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

11 grudnia w Teatrze Polskim w Warszawie odbędzie się koncert „Gintrowski – a jednak coś po nas zostanie…" połączony z wręczeniem przyznawanych już po raz drugi nagród imienia tego wyjątkowego artysty i wyjątkowego człowieka, świetnego kompozytora, muzyka, piosenkarza, opozycjonisty ściśle związanego z kulturą niezależną, niezrównanego interpretatora poezji Zbigniewa Herberta

Krzysztof Masłoń

Przemysław Gintrowski nie tylko komponował, grał i śpiewał. Nigdy nie krył swoich, bardzo wyrazistych, poglądów politycznych. Już kilka miesięcy po odsunięciu komuny od władzy zauważał: „Nie poznaję wypowiedzi Adama Michnika i wielu innych", „Ci nasi ludzie, którzy doszli do władzy i mieli coś zrobić, na razie sami się zmieniają". Później otwarcie popierał rząd Jana Olszewskiego, a następnie politykę Jarosława Kaczyńskiego, choć członkiem Prawa i Sprawiedliwości nigdy nie był i w wyborach 2005 r. głosował na PO. Do PiS przekonał się w trakcie jego pierwszych rządów, które – jak mówił – przynajmniej usiłują coś zmienić na lepsze, a Kaczyńskiego zwyczajnie polubił „za to, że nie jest salonowcem i nie »ślini się« do mediów". Na rządy Platformy patrzył ze zgrozą, „Gazety Wyborczej" nie brał do ręki, TVN24 usunął z pamięci telewizora, a portale w rodzaju Onetu omijał „szerokim łukiem". I powtarzał, że Joanna Szczepkowska 4 czerwca 1989 r. ogłaszając koniec komunizmu w Polsce, powiedziała jedną z największych bzdur, jakie kiedykolwiek dane mu było usłyszeć. „Okrągły Stół" nazywał wprost – „zdradą narodową".

Podczas gdy po stanie wojennym koncertował bardzo rzadko – był nawet czas, że w ogóle zawiesił wszelkie występy, zaś w innym okresie grywał niekiedy tylko w Muzeum Archidiecezji w Warszawie (była to – jego zdaniem – jedna z nielicznych wtedy oaz wolności) – po czerwcu 1989 r. jeździł po kraju, grając, śpiewając i… rozmawiając z publicznością. A wściekał się wtedy m.in. na brak niezbędnych zmian w Telewizji. „Co w niej robią – pytał publicznie – tacy ludzie jak I zastępca nowo mianowanego przez Mazowieckie-

eprasa.pl 13086b07b7

go prezesa (przypomnę, że był to Andrzej Drawicz) – Lew Rywin czy Krzysztof Teodor Toeplitz?". Kiedy w wywiadzie, który przeprowadzałem z nim dla „Rzeczpospolitej", zapytałem, jak ten gniew ma się do głoszonej przez niego, za tekstem Natana Tenenbauma, potrzeby unikania pogardy i nienawiści, odparł wyraźnie zniecierpliwiony: „Nie chodzi mi o żadne polowania na czarownice, od nienawiści jestem daleki. Uważam jednak, że zasłanianie etyką chrześcijańską klikowości czy wspólnoty interesów, w które nie chcę wnikać, jest głębokim nieporozumieniem". Oczywiście miał rację.

Z tamtej rozmowy zapamiętałem też jego, nie waham się użyć tego określenia, wykład, jaki zaserwował mi na temat historii buntów młodzieży polskiej przeciw władzy narzuconej ojczyźnie. Pretekstem był tu śpiewany przez Przemka do tekstu Jerzego Czecha utwór o Karolu Levittoux, który w 1841 r., więziony w Cytadeli Warszawskiej, dokonał aktu samospalenia. Wstyd się przyznać, ale moja wiedza o tym męczenniku sprawy polskiej, była wówczas znikoma. I choć pisali o nim przecież i Norwid, i Syrokomla, i Mieczysław Romanowski, to dopiero Gintrowski przybliżył mi tę postać. I już, pewnie na zawsze, zapadły mi w pamięć te słowa:

Zbrodniczy spisek w gimnazjalnej klasie
Zagraża państwu, w jego spokój godzi
Inspiratorów wkrótce wykryć da się
Wciąż niepoprawni Polaczkowie młodzi.

W latach 80. po którejś demonstracji pierwszo- czy trzeciomajowej Zbigniew Herbert powiedział mu: „»No i co, panie Przemysławie, znowu się pan chuliganił na ulicach«. Przytaknąłem, a on stwierdził: »Szkoda was, młodych, na to. Wszyscy musimy czekać. Tu nie wytrzyma materia. Ona pierwsza odmówi współpracy«".

Znał już wtedy Przemek autora „Pana Cogito", został przez niego zaakceptowany, co wcale nie było ani łatwe, ani oczywiste. Jeśli chodzi o piosenkę, to Herbert był człowiekiem innej estetyki, o czym świadczą m.in. jego poetyckie hołdy dla Ireny Santor, Haliny Kunickiej czy Dalidy. Gintrowski ze swoją chrypą i długimi włosami musiał budzić w nim co najmniej mieszane uczucia. A jednak w końcu z właściwym sobie poczuciem humoru podpisywał dla niego kartki: „Tekściarz pana Gintrowskiego".

Chociaż wykonywał teksty także innych autorów, przede wszystkim Jacka Kaczmarskiego, z którym przez pewien czas stanowili nierozłączny niemal duet (a następnie trio, ze Zbigniewem Łapińskim), to Herbert był dla niego najważniejszy. „Cesarz" i „Mur" znajdowały się w jego repertuarze już w latach 70. Potem tych wierszy autora „Pana Cogito" było coraz więcej, nad niektórymi pracował lata całe, tak jak nad „Trenem Fortynbrasa", do którego przymierzał się, zanim go nagrał, bagatela, 16 lat.

We wzajemnych stosunkach poety i młodszego od niego o 27 lat muzyka co raz odzywała się nuta komizmu, o czym przekonuje to, co się stało, gdy w ręce Przemka trafił „Raport z oblężonego miasta" w formie maszynopisu nieopatrzonego nazwiskiem. „Poetyka i styl Herberta – opowiadał Gintrowski – są tak wyraziste, że od razu pomyślałem, że to jego utwór. Traf chciał, że parę dni potem byłem z nim umówiony. Wziąłem ten wiersz. Rozmawialiśmy o czymś i w pewnej chwili mówię: »Panie Zbigniewie, wydaje mi się, że mam wiersz, który pan napisał«. Herbert przeczytał ten, długi zresztą, wiersz i orzekł: »Nieźle napisane, ale to nie ja«.

REKLAMA

Prestige MJM
NOVOTEL HOTELS & RESORTS
Jedynka POLSKIE RADIO
TYGODNIK POWSZECHNY wprost RZECZY VIVA! GAZETA BANKOWA Presto T3 Multikino
GOLD HITS TOYA TV onet cgm.pl DlaWas.info VIXON STRÖER

eprasa.pl 13086b07b7

No, skoro tak mówi, to położyłem uszy po sobie, myśląc, że komuś udała się genialna podróbka. Spotkanie nasze trwało jeszcze jakiś czas, w końcu pożegnaliśmy się i pan Zbigniew zamknął za mną drzwi. Mieszkał na parterze, więc schodzę jeszcze te pięć schodków, gdy otwierają się drzwi od mieszkania, ukazuje się głowa pana Zbigniewa i słyszę: »Panie Przemysławie, a o tym wierszu to pomyślę, bo może jednak to ja go napisałem«".

i jeśli Miasto padnie a ocaleje jeden
on będzie niósł Miasto w sobie po drogach wygnania
on będzie Miasto
patrzymy w twarz głodu twarz ognia twarz śmierci
najgorszą ze wszystkich – twarz zdrady

i tylko sny nasze nie zostały upokorzone

Przemysława Gintrowskiego nazywano często „bardem Solidarności". Zżymał się na to określenie. Nie chodziło o Solidarność; źle się czuł z etykietą „barda". Cóż, Władimir Bukowski ukuł kiedyś taką definicję: „Bard to człowiek z gitarą". Przemkowi tej gitary było z czasem za mało. Zaistniał wtedy jako kompozytor muzyki filmowej (do 31 produkcji). Świetnie się w niej odnalazł. Skomponował przecież muzykę m.in. do: „Dziecinnych pytań" i „Matki Królów" Janusza Zaorskiego, filmów Wiesława Saniewskiego: „Sezon na bażanty", „Nadzór", „Dotknięci", do „Ostatniego promu" Waldemara Krzystka, szalenie popularnego filmu „Tato" Macieja Ślesickiego. Oczywiście do kultowego serialu Stanisława Barei „Zmiennicy", a i do sitcomowego „13 posterunku".

Nie dożył zmiany sytuacji politycznej w Polsce, a to, co widział, napawało go smutkiem. Obawiał się, że ojczyzna brnie ku upadkowi

Jego muzyczne początki były rockowe, w czasach szkolnych – ukończył Liceum im. Tadeusza Reytana, był harcerzem „Czarnej Jedynki" – grywał Stonesów i Doorsów. Pierwsze zawodowe czy też półprofesjonalne występy miały miejsce na estradzie studenckiej, w warszawskich klubach, przede wszystkim w Sigmie i Remoncie. Ukończył MEL (Wydział Mechaniczny Energetyki i Lotnictwa Politechniki Warszawskiej), by następnie studiować fizykę na Uniwersytecie Warszawskim, choć tego drugiego dyplomu nie uzyskał – nazbyt już pochłaniała go muzyka.

W 1976 r. zwyciężył w akademickim Jarmarku Piosenki, wykonując „Epitafium dla Sergiusza Jesienina" z tekstem Krzysztofa Marii Sieniawskiego, w którego trudnym, biednym życiu okres współpracy z Przemkiem był jedynym, napawającym go radością i dumą. Na tym samym Jarmarku Piosenki Gintrowski poznał Jacka Kaczmarskiego, zresztą laureata tego przeglądu w roku następnym. Obaj znaleźli się w studenckim „Piosenkariacie", szybko jednak się usamodzielnili. Jednak piosenki Sieniawskiego, przynajmniej niektóre („Pokolenie", „Śmiech", „Przyjaciele, których nie miałem"), pozostawił Przemek w swoim repertuarze na dłużej.

Po mlecznej drodze wóz się toczy
Turkocze za nim piąte koło
Spośród zodiaku o północy
Ze mną ptak, ryba i dziwoląg.

Na przełomie lat 70. i 80. nazwiska Przemka Gintrowskiego, tak jak Jacka Kaczmarskiego, z trudem przedzierały się przez sito cenzury. Sytuacja diametralnie się zmieniła po strajkach 1980 r. i powstaniu Solidarności, dla której grane przez Jacka i Przemka „Mury" (taki był tytuł ich pierwszego wspólnego programu) stać się miały nieoficjalnym hymnem. W czerwcu 1981 r. wespół z Jackiem otrzymał II nagrodę na Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu za „Epitafium dla Wysockiego". Nagrodzony też został na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. W apogeum karnawału Solidarności zagrali na I Przeglądzie Piosenki Prawdziwej „Zakazane Piosenki" w gdańskiej hali Olivii, gdzie wbili publiczność w krzesła brzmiącym niesłychanie współcześnie „Zesłaniem studentów" i „Wigilią na Syberii". Publiczność zapamiętała ich białe koszule i kołnierzyki à la Słowacki. Byli młodzi i piękni.

Nad Sekwaną Gintrowski, Kaczmarski i Łapiński zjawili się na zaproszenie Konfederacji Francuskich Związków Zawodowych CFDT. Zagrali koncerty w większych skupiskach Polaków, otrzymali również propozycję nagrania płyty dla Le Chant du Monde – firmy, w której nagrywał zmarły ledwie rok wcześniej ich idol, Władimir Wysocki.

Ponieważ językiem francuskim z całego tercetu władał jedynie Jacek, postanowiono, że tylko on zostanie we Francji, negocjując warunki nagrania, a pozostała dwójka dojedzie z kraju, gdy wszystko będzie już dopięte na ostatni guzik. Plany zespołu pokrzyżował gen. Wojciech Jaruzelski – 13 grudnia 1981 r. Do 1989 r. Przemka mogliśmy słuchać na cichaczem urządzanych występach, nierzadko w mieszkaniach prywatnych, od czasu do czasu w klubach czy też z nielegalnie nagrywanych kaset. Głos Jacka przebijał się z konsekwentnie zagłuszanych audycji Radia Wolna Europa. Wbrew krążącym opiniom artyści wcale się nie poróżnili. Byli sobie wzajemnie potrzebni i choć nie szczędzili sobie cierpkich słów, to szanowali się wzajemnie. Tyle że politycznie ich drogi miały się rozejść: Kaczmarskiemu po drodze było – może bardziej towarzysko niż ideowo – ze środowiskiem Unii Wolności, a Gintrowski, cóż, powtarzał słowa „Kołatki" Zbigniewa Herberta, swojego ulubionego wiersza, który oczywiście też wykonywał, i to ze swoją córką Marią.

moja wyobraźnia
to kawałek deski
a za cały instrument
mam drewniany patyk

uderzam w deskę
a ona mi odpowiada
tak – tak
nie – nie

Samodzielnie nagrał dziewięć płyt, pięć kolejnych z Kaczmarskim i Łapińskim. Z początku śpiewał jedynie przy akompaniamencie gitary, później mało mu było orkiestry. U jego boku zdobywali umiejętności Piotr Rubik (program „Kamienie") i Adam Sztaba („Odpowiedź").

Nie dożył zmiany sytuacji politycznej w Polsce, a to, co widział, napawało go smutkiem. Obawiał się, że ojczyzna brnie ku upadkowi, choć pocieszał swoich słuchaczy, a także siebie samego: „Ufam, że jeszcze mamy szansę wygrania tego, co stworzyliśmy, co wywalczyliśmy sobie sami".

Przemysław Gintrowski zmarł 20 października 2012 r. Miał 61 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13086b07b7

Prezentowe inspiracje

Najważniejsze znajdziesz w środku

& tylko w empiku

~~101,97~~ **79,99** pakiet

Regina Brett
Pakiet: Kochaj / Bóg nigdy nie mruga / Jesteś cudem

& tylko w empiku

99,00 oprawa twarda

Jacek Kurowski
Polska. Biało-Czerwoni

& tylko w empiku

~~104,60~~ **79,90** pakiet

Mario Puzo
Pakiet mafijny

Zapraszamy do salonów **empik** i na **empik.com**

empik

eprasa.pl 13086b07b7

Piotr Gociek

Stephen King i jego syn Owen wspólnie napisali powieść. Pozornie thriller apokaliptyczny, a tak naprawdę jednostronny wywód o wojnie płci

Chłopy precz!

FOT. CHRISTOPHER LANE/FORUM

W tym domu wszyscy piszą prawie wszyscy: żona Tabitha, synowie Joseph i Owen oraz oczywiście ojciec rodziny, autor międzynarodowych bestsellerów – Stephen. Mowa o rodzinie Kingów. Wyłamała się tylko córka państwa Kingów, Naomi.

Stephen King, choć sam zaangażowany przede wszystkim w rozmaite projekty autorskie, znajduje czas, by rodzinne projekty wspierać własnym piórem. Z Owenem napisał powieść, która właśnie ukazała się po polsku. „Śpiące królewny” to książka obszerna (700 stron), ale jak na swój rozmiar stosunkowo prosta, oparta na jednym pomyśle, który zręcznie i konsekwentnie został zrealizowany. Nie mnie dociekać, ile jest w niej ojca, ile syna – sam Stephen King mówi, że oryginalny koncept należy do Owena. Podejrzewam jednak, że najmłodszy z piszących Kingów mógł mieć wątpliwości, czy poradzi sobie z tak wielowątkowym, dużym przedsięwzięciem.

KOBIETA W KOKONIE

Pomysł bowiem jest jeden, ale wątków wiele, bo cała historia utkana jest z doświadczeń licznych bohaterów (kilkadziesiąt postaci wyliczonych pracowicie we wstępie do książki). Rzecz rozgrywa się współcześnie, a wydarzeniem, które uruchamia akcję, jest tajemnicza epidemia, która dotyka ludzkość. Z nieznanych powodów na całym świecie kobiety zaczynają zapadać w śpiączkę: młode, stare, białe, kolorowe. Wszystkie.

To dopiero początek. Naukowcy są bezradni. Wraz z zapadnięciem w głęboki, podobny do hibernacji sen pacjentki zaczynają się zmieniać. Obrastają dziwnym białym włóknem. Proces postępuje błyskawicznie. Wkrótce niemal wszystkie kobiety na Ziemi śpią, każda otulona w coś, co przypomina kokon. Tam, gdzie kokon, tam poczwarka. Tam, gdzie poczwarka – tam przemiana. Jednak w co? „Gdy Gregor Samsa obudził się pewnego rana z niespokojnych snów, stwierdził, że zmienił się w łóżku w potwornego robaka” – opowiadał Franz Kafka w swoim słynnym opowiadaniu. Co stwierdzą wszystkie kobiety świata, kiedy się obudzą? Jeśli się obudzą…

Jednocześnie w zapadłym prowincjonalnym mieście Dooling (hrabstwo Dooling) pojawia się tajemniczy gość. To piękna kobieta, która każe się zwać Evie. Jej przybycie ma charakter tyleż spektakularny co krwawy: gołymi rękami morduje miejscowych bandziorów handlujących narkotykami. Obdarzona nadludzką siłą wydaje się także czytać w myślach – w każdym razie wie o każdym dużo więcej, niż powinna. Nie boi się policji (szczerze mówiąc, nie boi się nikogo) i co – najważniejsze – nie zasypia. Kim zatem jest: pacjentem dziwnej epidemii, genetycznym fenomenem, w którego krwi kryje się antidotum, czy może jest związana z całym zamieszaniem w jeszcze inny sposób?

Chociaż pierwsze rozdziały wskazują na to, że czeka nas wielgachna powieść o końcu świata, coś na kształt apokaliptycznego „Bastionu” (tyle że z epidemią śpiączki zamiast zabójczej grypy), to jednak książka okazuje się czymś innym: opowieścią o wojnie płci. A dokładniej opowieścią o tym, jak jedna płeć, dzika, okrutna, szalona i bezwzględna – czyli mężczyźni – krzywdzi płeć drugą, czyli kobiety. Zastanawiam się więc, na ile można mówić tu o powieści feministycznej, bo przecież feministki przeciw określeniu „słabsza płeć” ostro protestują. Tych paradoksów jest więcej. Z jednej strony bohaterki książki do mężczyzn o to, jacy są, mają wielkie pretensje, ale z drugiej zauważają, że przyczyna odmienności jest wrodzona: inny układ chromosomów. Ciekawa sprzeczność – skoro nie można mieć do kogoś pretensji o to, że urodził

eprasa.pl 13086b07b7

się blondynem, to chyba w takim razie nie można mieć i za to, że jest mężczyzną. Nie miał na to żadnego wpływu. Zatem: winny czy niewinny?

Odpowiedź brzmi „winny” i to dosłownie wszystkiego. To mężczyźni – zdaniem autorów – ponoszą wyłączną odpowiedzialność za wojny, zbrodnie i przemoc, przy czym szczególnie mocno dostaje się zwolennikom szerokiego dostępu do broni palnej. To mężczyźni rozpijają kobiety, to oni wciągają je w narkotyczne nałogi, to z powodu mężczyzn kobiety robią głupie i szalone rzeczy. Jeśli kobieta robi coś niewłaściwego, to stoi za nią niewłaściwy mężczyzna. Albo prościej: po prostu jakiś mężczyzna. Bohaterki powieści „Śpiące królewny” mogłyby więc wznieść okrzyk zapożyczony z „Seksmisji” Juliusza Machulskiego: „Samiec twój wróg!”.

Gwoli ścisłości: pojawiają się w tej książce także refleksje innego rodzaju, głównie pod koniec. Niektóre panie przyznają, że może i one same nie są bez winy, inne przypominają sobie, iż samiec może być kochającym mężem oraz dobrym ojcem. Te wywody są jednak króciutkie i brzmią bardzo słabo, ogólne wrażenie, jakie pozostaje po lekturze, to przerażenie ogromem zła wyrządzanego światu przez panów. Para Kingów, tata i syn, napisała więc książkę, która najbardziej ucieszy kobiety. Widzę w tym zresztą także zimną biznesową kalkulację, bo dziś to właśnie one stanowią większość czytelniczego rynku. A dobór argumentów za rodzajem męskim i przeciw niemu jest bardzo stronniczy, bo o tych panach, którzy kobiety wielbią, bronią i stawiają na piedestale, a wojny toczą, by zapewnić ich domom bezpieczeństwo, nie dowiadujemy się niczego.

MĘŻCZYZNA – SAMO ZŁO

Wspomniałem wcześniej o „Bastionie”, jednej z najlepszych powieści Kinga seniora. Jest jedna rzecz, która łączy tę powieść ze „Śpiącymi królewnami” – jedna i druga to thrillery nadnaturalne. Tak jak w „Bastionie” za apokalipsą stoi demoniczny Randall Flagg (pojawia się zresztą także w innych powieściach Kinga jako symbol zła), tak i tajemnicza Evie w „Śpiących królewnach” okazuje się istotą dosłownie nie z tej ziemi, a rozwiązanie „problemu złych mężczyzn” okaże się bardzo fantastyczne. Związane zresztą z cyklem „Mroczna wieża” tegoż autora, bo mamy tu wątek „świata, który poszedł naprzód” – czyli dziwacznego miejsca rozpadu starej cywilizacji i narodzin nowych społeczeństw. Taka jest scenografia w najbardziej fantastycznych scenach powieści. Co do sedna proponowanego rozwiązania (co zrobić z chłopami) znów kłania się nieśmiertelna „Seksmisja”. Nie powiem więc, by nie psuć czytelnikom zabawy.

★★★★☆☆

STEPHEN KING, OWEN KING „ŚPIĄCE KRÓLEWNY” PRÓSZYŃSKI I S-KA 2017

Wszystko to napisane jest bardzo zgrabnie i gładko, powiedziałbym nawet, że nazbyt gładko, bo mniej więcej od połowy książki uważny odbiorca będzie doskonale wiedział, ku jakiemu przesileniu wszystko zmierza i gdzie te zmagania się odbędą. Pozostaje jednak uczucie niedosytu, bo tak naprawdę całe 700 stron książki służy tylko po to, by przypomnieć morał znany z co drugiego odcinka amerykańskich sitcomów – skaranie boskie z tymi chłopami, ale żyć bez nich ciężko. I vice versa, drogie panie, i vice versa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Prestige MJM 10 lat · DoubleTree by Hilton Kraków · RMF · RMF MAXXX · wprost · Do Rzeczy · STYL · PANI · T3 · Multikino · WP · cgm.pl · empik · 4FUN TV · VIXON

eprasa.pl 13086b07b7

Piłsudski i wojna prewencyjna

FOT. IRENEUSZ SOBIESZCZUK/TVP SA

Z Wojciechem Tomczykiem, dramaturgiem i scenarzystą
rozmawia
Tomasz Zbigniew Zapert

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dlaczego polska scena tak długo musiała czekać na Józefa Piłsudskiego?

WOJCIECH TOMCZYK: Nie wiem i nie umiem pojąć tej zdumiewającej absencji. Przygotowując swą sztukę, zgłębiałem dokumentację dotyczącą Marszałka, utwierdzając się w przekonaniu, jak bardzo barwnym i wielowymiarowym był człowiekiem. Niemniej przez ponad 80 lat, jakie upłynęły od jego zgonu, nie stał się pożywką dla twórców kultury. A jest przecież postacią wyjątkowo krwistą, plastyczną, a przy tym nieprzeciętnego formatu: czołowym Polakiem ubiegłego wieku. Wymarzonym bohaterem dla teatru, literatury, komiksu, filmu. 11 listopada sobie wprawdzie o nim przypominano, lecz funkcjonował wtedy jako element warszawskiego folkloru. Sztuka go ignorowała. Z rozmaitych powodów.

W PRL był objęty cenzorską anatemą. A u progu III RP „wybraliśmy przyszłość".

Istotnie, kultywowanie polskich dziejów – najnowszych w szczególności – nie było wtedy w modzie, toteż Zachód sam zafundował sobie ich wizję i rozpowszechnia ją do dziś. Nawiasem mówiąc, o projekcie wojny prewencyjnej Piłsudskiego dowiedziałem się od obcokrajowca. W połowie lat 80. zeszłego stulecia przyjechał on z transportem darów do Polski, gdzie właśnie zniesiono stan wojenny. Przy okazji poszukiwał materiałów do swojej pracy magisterskiej, poświęconej próbie poskromienia Adolfa Hitlera. Kilka miesięcy po objęciu przez niego władzy w Niemczech Piłsudski proponował obalić jego reżim akcją zbrojną. „Nawet gdybyśmy my napadli na Hitlera, to też byłaby to wojna obronna" – akcentował, usiłując przekonać do swego pomysłu Francję. Niestety, bezskutecznie.

Było dla mnie upokarzające, że dowiedziałem się czegoś odkrywczego i tak istotnego o historii mojej ojczyzny od cudzoziemca. A przecież komuna nie miała już wówczas monopolu informacyjnego. Został złamany pod koniec lat 70., wraz z narodzinami drugiego obiegu wydaw-

eprasa.pl 13086b07b7

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Premiera 4 grudnia

W przededniu 150. rocznicy urodzin Józefa Piłsudskiego, w poniedziałek 4 grudnia o 20.25 w TVP1, Teatr Telewizji zaprasza na premierę „Marszałka" Wojciecha Tomczyka w reżyserii Krzysztofa Langa. W roli Piłsudskiego fenomenalny Mariusz Bonaszewski.

niczego, z którego dorobku wielokroć korzystałem. Podobnie jak z przemycanej do PRL oferty oficyn emigracyjnych. Toteż kiedy otrzymałem propozycję napisania sztuki z okazji 150. rocznicy urodzin Piłsudskiego (5 grudnia 2017 r.), właśnie ów epizod z jego bogatego życiorysu wydał mi się szczególnie wart upublicznienia.

Zwłaszcza że, podobnie jak w międzywojniu, i dziś znajdujemy się między młotem a kowadłem.

Nasza sytuacja geopolityczna w zasadzie niewiele się zmieniła. Wciąż graniczymy z Niemcami i Rosją. Przeprowadzka na Madagaskar nam nie grozi.

W przeciwieństwie do historycznych przekłamań...

Nie potrafimy zaprezentować światu własnej historii – w wielu punktach kłócącej się z przekazem naszych sąsiadów. Tym bardziej należy ją zatem nagłaśniać. Mamy się czym chwalić! Weźmy choćby przykład z Czechów systematycznie przenoszących na ekran swoje wojenne przewagi – nieporównywalne z naszymi. Tymczasem w Polsce nie powstał film ani o Narwiku, ani Tobruku czy Monte Cassino.

Względnie o próbach uniknięcia II wojny światowej.

Pierwsza miała miejsce w roku 1933. Zakończyła się fiaskiem, ponieważ Europa – inaczej niż profetyczny Piłsudski – nie dostrzegła, a może nie chciała zauważyć, śmiertelnego zagrożenia ze strony narodowego socjalizmu. Rozczarowany Komendant nakazał więc podpisanie umowy o nieagresji z III Rzeszą, pragnąc zagwarantować ojczyźnie jeszcze kilka lat pokoju. Może myślał, że w tym czasie znajdzie albo wychowa godnego kontynuatora swej politycznej strategii. Tak się nie stało. Umierając, powtarzał: „Oni na nas napadną".

Jak rozumieć pomysł dotyczący przekształcenia Polski w królestwo, zasygnalizowany z przymrużeniem oka przez Piłsudskiego?

Chciałem pokazać, co się dzieje po śmierci wybitnego przywódcy, otoczonego przez jednostki wierne i lojalne, lecz ustępujące mu intelektualnie. Odchodząc, nie wskazał następcy, być może było to zasadnicze zaniedbanie. Doprowadziło do ostrych sporów i podziałów pośród sanacji. Roztrwoniono spuściznę Dziadka, a jego polityczny testament nie doczekał się realizacji.

Gdyby dożył do września 1939 r., zdołałby przekonać Francuzów i Brytyjczyków do umierania za Gdańsk?

Tutaj wchodzimy w modną ostatnimi czasy historię alternatywną. Kto wie? Uwodzicielski dar Piłsudskiego mógł chyba zastopować Hitlera, znajdującego się pod jego wielkim urokiem. W maju 1935 r. pojawił się przecież na mszy żałobnej za duszę Marszałka w berlińskiej katedrze. Podobno była to ostatnia wizyta Hitlera w kościele.

Pisząc dialogi, posiłkował się pan archiwaliami?

Jak najbardziej. Jestem wierny relacjom świadków. Korzystałem przede wszystkim z fundamentalnego „Diariusza" Kazimierza Świtalskiego oraz „Pamiętnika" Mieczysława Lepeckiego, adiutanta Marszałka. Czytałem również publicystykę, np. Stanisława Cata-Mackiewicza.

Miał pan wpływ na obsadę?

Dyskretny. Zaufałem reżyserowi (Krzysztof Lang). W obiektywie operatora Adama Sikory wokół rezydującego razem z żoną (Dorota Landowska) i córkami w Belwederze Piłsudskiego (Mariusz Bonaszewski) ogniskuje się jego kamaryla. Walery Sławek (Mirosław Baka), Aleksander Prystor (Andrzej Grabowski), Kazimierz Bartel (Adam Woronowicz), Kazimierz Świtalski (Grzegorz Mielczarek), Bolesław Wieniawa-Długoszowski (Rafał Królikowski), Józef Beck (Wojciech Zieliński). W obliczu czerwonego i brunatnego totalitaryzmu deliberują, jak zachować pokój na Starym Kontynencie, który nie otrząsnął się jeszcze z wojennej traumy.

Europa wciąż jest bardzo bojaźliwa.

Z niepokojem i lękiem spoglądam na jej apatię, niespójność, gnuśność, brak solidarności. To jest trudne do zaakceptowania. I wróży nieciekawie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Oni grali Piłsudskiego

- **Jerzy Duszyński,** „Śmierć prezydenta", reż. Jerzy Kawalerowicz (1977)
- **Janusz Zakrzeński,** „Polonia Restituta", reż. Bohdan Poręba (1981)
- **Ryszard Filipski,** „Zamach stanu", reż. Ryszard Filipski (1981)
- **Mariusz Bonaszewski i Zbigniew Zapasiewicz,** „Marszałek Piłsudski", reż. Andrzej Trzos-Rastawiecki (2001)
- **Mirosław Baka,** „1920. Wojna i miłość", reż. Maciej Migas (2011)
- **Daniel Olbrychski,** „1920. Bitwa Warszawska", reż. Jerzy Hoffman (2011)

Wojciech Tomczyk – rocznik 1960; absolwent PWST i PWSFTviT; dramaturg („Norymberga", „Inka 1946", „Zaręczyny"), scenarzysta („Zaginiona", „Oficer", „Sprawiedliwi"), krytyk. W swej twórczości często odwołuje się do najnowszej historii Polski.

eprasa.pl 13086b07b7

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Jak udawać Greka

Czy we współczesnym świecie mogłaby się wydarzyć tragedia w stylu Eurypidesa? Woody Allen chyba w to wątpi, skoro akcję swego nowego filmu osadził w latach 50. minionego wieku. Wtedy ludziom zdarzało się jeszcze rozmyślać – a nawet dyskutować – o winie, karze oraz przeznaczeniu. Wrodzona przewrotność kazała mu jednak umieścić nękanych przez fatum bohaterów w samym środku kurortu, do którego nowojorczycy masowo zjeżdżali latem, by zażyć kąpieli morsko-słonecznych oraz rozrywki w wesołym miasteczku.

Zmyłką jest również, powtarzana z maniackim uporem, beztroska piosenka „Coney Island Washboard". Po raz pierwszy słyszymy ją, zanim na scenie pojawią się dramatis personae: przeżywająca kryzys wieku średniego kelnerka Ginny, jej poczciwy małżonek Humpty i jego marnotrawna córka Caroline. Narratorem i – jak się wkrótce okaże – mimowolnym sprawcą tragedii jest Mickey, ratownik i literat, szukający na plaży tematu do sztuki teatralnej (podrywanie na „Hamleta" – tylko Allen mógł wymyślić coś takiego).

Chociaż reżyserowi „Zeliga" już wieki temu przypięto łatkę mądrali i snoba, to w jego filmach dość często pojawiają się figury rodem ze społecznych nizin. Pogodzone z losem lub sfrustrowane. Do tych drugich należy Ginny – niezrealizowana aktorka, zła matka i żona. Przyziemny Humpty kocha bejsbol i wędkarstwo. Ona pocieszenia szuka w kinie, lecz to nie „Purpurowa róża z Kairu"– żaden przystojniak nie zejdzie dla niej z ekranu.

Kate Winslet miała niewdzięczne zadanie: zagrać kobietę antypatyczną, lecz zarazem godną pożądania mężczyzn i współczucia widzów, w dodatku kiepską aktorkę. Gdy się łapie tyle srok za ogon, jedna z nich może się wymknąć. Uciekła bodaj najważniejsza. Nie ma w tym winy Winslet, która robi, co może, a potrafi naprawdę wiele. To Allen ma problem z udawaniem Greka. Wymyślił fabułę bazującą na gwałtownych emocjach. Tymczasem zamiast wzniecić pożar zmysłów, rozpalił zimne ognie.

Nie tą drogą na Parnas! – chciałoby się krzyknąć. 22 lata temu helleńskie motywy nie zaszkodziły komedii „Jej wysokość Afrodyta". Wręcz przeciwnie – były jej atutem. Tym razem nowojorski weteran założył maskę tragika, ze skutkiem niezbyt satysfakcjonującym. Film uratowali współpracownicy, przede wszystkim Vittorio Storaro. Zdjęcia włoskiego mistrza to czysta poezja.

Storaro skończył 77 lat. Allen jest od niego prawie pięć lat starszy. Jeżeli nakręcił „Na karuzeli życia" tylko po to, by za skromną sumę 25 mln dol. wskrzesić wspomnienie z dzieciństwa, gdy Coney Island wydawało mu się pępkiem świata, to można uznać, że jednak było warto. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. WOODY ALLEN
„NA KARUZELI ŻYCIA" („WONDER WHEEL")
USA 2017

wyst. Kate Winslet, Jim Belushi, Justin Timberlake

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „WOJNA PŁCI"

Kolejna kinowa wycieczka w lata 70. Reżyser Jonathan Dayton (komplementowany za film „Mała miss") przypomina postać znakomitej tenisistki Billie Jean King (dobra rola Emmy Stone) i przedstawia jej zmagania z Bobbym Riggsem (ekszawodowcem, który ogłosił w 1973 r., mając wtedy 55 lat, że jest w stanie pokonać dowolną tenisistkę świata). ©℗

Piotr Gociek

- ***„Wojna płci" („Battle of the Sexes"), reż. Jonathan Dayton, Valerie Faris, wyst. Emma Stone, Steve Carell, Andrea Riseborough, USA 2017***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Reakcja łańcuchowa", reż. Jakub Pączek, Polska 2017*** *(recenzja na str. 51)*
- ***„Redwood", reż. Tom Paton, Wielka Brytania 2017***
- ***„Mikołaj i spółka" („Santa & Cie"), reż. Alain Chabat, Francja 2017***

eprasa.pl 13086b07b7

Dzieci Czarnobyla

Zaczyna się od wybuchu bomby atomowej, ale potem fabuła skręca w stronę typowej nadwiślańskiej psychodramy.

Martę dręczą koszmary. Jej rozmemłany narzeczony Adam jest uosobieniem „warszawki" – synem telewizyjnej sekutnicy i seksuologa, również notorycznie udzielającego się w mediach. Ich przyjaciel, Paweł, chciałby nakręcić film o tym, że Polska nie jest krajem dla młodych ludzi, na razie jednak zarabia na pornosach. Podoba mu się siostra Marty, nad wyraz rozwinięta maturzystka.

Bohaterów, oprócz niedojrzałości, łączy fascynacja awarią elektrowni w Czarnobylu, reklamowaną tutaj jako doświadczenie generacyjne ważniejsze niż upadek systemu sowieckiego. Polityka pojawia się w nieco innym kontekście: starszacy usprawiedliwiają się, że nie mieli czasu dobrze wychować dzieci, bo obalali komunę. Zamieszanie potęguje wątek kryminalny związany z zaginięciem poprzedniej dziewczyny Adama.

★★☆☆☆☆
REŻ. JAKUB PĄCZEK
„REAKCJA ŁAŃCUCHOWA"
POLSKA 2017

wyst. Małgorzata Mikołajczak, Tomasz Włosok, Bartosz Gelner

„Reakcja łańcuchowa" to dzieło epigońskie. Mentalnie osadzone w nie tak odległej epoce, gdy nasi debiutanci sfrustrowani brakiem kasy oraz perspektyw, dorwawszy się do kamer, strzykali żółcią. Sugerując przy tym, że są głosem pokolenia. Może to i lepiej, że film Pączka szybko zniknie z ekranów, bo ktoś mógłby potraktować poważnie rewelacje o trucicielskich właściwościach płynu Lugola. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZYGZAK MCQUEEN RZĄDZI!

★★★★☆☆
REŻ. BRIAN FEE
„AUTA 3" („CARS 3")
USA 2017, GALAPAGOS

wyst. Owen Wilson, Cristela Alonzo, Chris Cooper

Nie podzielam narzekań części krytyków na rozmaite kontynuacje wielkiego hitu Pixara, jakim były „Auta". Animowany film o Zygzaku McQueenie sprawił, że powstały już dwa podobne w wymowie dziełka o małym dzielnym samolociku (wkrótce będzie też coś o wyścigach w kosmosie), no i przede wszystkim pojawiły się „Auta 2" oraz „Auta 3". Co z tego, że niezbyt odkrywcze, skoro to wciąż świetna rodzinna rozrywka z przesympatycznymi bohaterami, perfekcyjnie dopieszczona od strony graficznej. W części trzeciej Zygzak u szczytu kariery musi zmierzyć się z nowocześniejszymi przeciwnikami – nikt nie jest mistrzem na zawsze. Łatwo nie będzie, a lekcja pt. „To nic złego przegrać, ale źle jest nie próbować wygrać" okaże się dopiero początkiem nauki. Jednym z najzabawniejszych momentów jest samochodowy wiejski wyścig w błocie (wszystkie chwyty dozwolone). Coś mówi mi także, że sympatyczna Cruz Ramirez (nowe auto na scenie!) może doczekać się własnego filmu. ©℗

LEGENDĘ TEŻ MOŻNA ZABIĆ

★★☆☆☆☆
REŻ. GUY RITCHIE
„KRÓL ARTUR: LEGENDA MIECZA" („KING ARTHUR: LEGEND OF THE SWORD")
USA 2017, GALAPAGOS

wyst. Charlie Hunnam, Àstrid Bergès-Frisbey, Jude Law

Guy Ritchie poradził sobie świetnie z filmami o Sherlocku Holmesie, zamieniając klasykę w zabawne kino akcji. Próbował tego samego z legendą o królu Arturze i poległ sromotnie. Artur wychowuje się w burdelu i jest ulicznikiem. Opowieści o buncie przeciw jego złemu wujowi brak własnego tonu, scenariusz jest zlepkiem pomysłów pożyczonych z cudzych opowieści, a Charlie Hunnam w roli głównej wykazuje się znikomą charyzmą. Współczesna muzyka i charakterystyczne dla Ritchiego zabawy montażem tym razem nie pomagają, już po kilkunastu minutach widz dochodzi do wniosku, że nie obchodzi go to, co się dzieje na ekranie, a im bliżej końca, iż właśnie zmarnował dwie godziny swojego życia. Z całej gwiazdorskiej obsady w pamięci zostaje jedynie Jude Law jako występny Vortigern. Trochę mało jak na 175 mln dol. budżetu. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „THE EVIL WITHIN 2"

„Evil Within 2" to kontynuacja ciepło przyjętego survival horroru z 2014 r. oraz dalsze losy detektywa Sebastiana Castellanosa. Tym razem główny bohater dowiaduje się, że córka Lilly, która miała zginąć w pożarze domu, w rzeczywistości żyje. Uwięziona jest jednak w systemie wirtualnej rzeczywistości STEM, który wymknął się spod kontroli, zamieniając utopijne miasteczko Union w koszmarną wersję Matrixa. Oczywiście, aby ją uratować, musimy zmierzyć się z tym koszmarem, pokonując po drodze setki monstrów oraz bossów żywcem wyjętych z obrazów Hieronima Boscha.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

Przyjemny powrót do klasyków gatunku rodem z PlayStation 2. ©℗

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *TPP/Horror*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XOMNE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Tango Gameworks/Cenega*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *18+*

eprasa.pl 13086b07b7

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Biełomor, eta prosta sigariet

Jan Krzysztof Kelus w swoich „Papierosach Biełomor" śpiewał: „Kanał Białomorski – / nie ma co się łudzić – / tam zginęło tak najmarniej / pół miliona ludzi". W rzeczywistości budowa ta prawdopodobnie pochłonęła życie 50 tys. więźniów, których siłami zbudowano ów pomnik niewolniczej pracy. Pomnik, który unieśmiertelnić miała jedna z najbardziej haniebnych książek kiedykolwiek napisanych. Trzydziestu sześciu pisarzy sowieckich – z Maksymem Gorkim na czele, a i z naszym Brunonem Jasieńskim – przyczyniło się do powstania gigantycznej, 600-stronicowej „Historii budowy Kanału Bałtycko-Białomorskiego". Dzisiaj białego kruka, gdyż nakład księgi, po rozstrzelaniu szefa GPU Gienricha Jagody, który nadzorował budowę, został zniszczony. Nawiasem mówiąc, wcześniej Jagodę, za ten sam Biełomor, odznaczono Orderem Lenina.

Marian Sworzeń w swej wydanej właśnie świetnej pracy „Czarna ikona – Biełomor" z dociekliwością historyka zrekonstruował rejs statkiem „Anochin" po Kanale Białomorskim, jaki sowieckim pisarzom zafundowało GPU latem 1933 r. Przedstawiając sylwetki nie tylko autorów niesławnej księgi, lecz także innych uczestników tej „wycieczki", którzy nie dostąpili wtedy zaszczytu popisania się swym literackim kunsztem. Wszystkich ich w sumie było ponad 100, a trafiali się wśród nich, obok stalinowskich błaznów i lizusów w rodzaju Demiana Biednego czy Aleksandra Biezymieńskiego, także pisarze mający – czy zasłużenie? – całkiem dobrą opinię. Jak choćby Borys Pilniak czy Izaak Babel. Tak, tak, autor sławnej „Armii Konnej" i „Opowiadań odeskich" też znalazł się pośród płynących „Anochinem" po kanale. „Może Babel – zastanawia się Sworzeń – patrząc na wielkie śluzy, tamy i kamienne brzegi

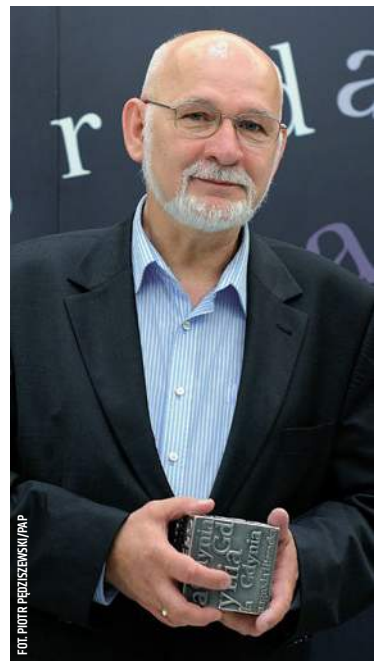

FOT. PIOTR PĘDZISZEWSKI/PAP

kanału, przypomniał sobie, jak to w roku 1920 opowiadał Żydom na Wołyniu o wielce robotnych armiach pracy – był to wszak utopijny pomysł Dezamy'ego, wedle którego po zniesieniu wojen cała energia świata miałaby skupić się w ruchomych armiach dobrowolnych robotników?".

Pisząc o czynownikach literatury, nie zapomniał autor „Czarnej ikony – Biełomoru" o najważniejszych i najbardziej godnych uwagi bohaterach tamtych wydarzeń: więźniach białomorskiego łagru. To o nich rozmawiał podczas swej wyprawy do Karelii w 2013 r. O tych, którzy z łopatami i kilofami w rękach wpatrywali się w majestatycznie przepływający statek z orkiestrą na pokładzie i elegancko ubranymi, objadającymi się – bo to nie były posiłki, ale niekończąca się wyżerka – „inżynierami dusz". I mogli powiedzieć jedynie tak jak Grisza z „Czarnej ikony – Biełomoru": „Odpłynęli i chuj z nimi. Oni są tak wolni, jak ja jestem zabójcą matki".

We współczesnej Rosji wciąż ponawiane są próby rekonstrukcji kanału, obumierającego w tempie jednostajnie przyspieszonym, w praktyce od dawna już będącego jedynie ponurą pamiątką obłędnej komunistycznej gospodarki. A jednak usiłuje się zrehabilitować Biełomor, tym samym rehabilitując historię zbrodniczego systemu. „Ekskagebista Putin – powiada Marian Sworzeń – zadeklarował przed kilku laty znaczące nakłady na renowację dzieła wychowanków Feliksa Dzierżyńskiego wcale nie po to, by statki znów woziły kanałem towary, lecz dla pokazania społeczeństwu, że idea budowy kanału była z gruntu racjonalna i potrzebna". Tymczasem transport kolejowy i samochodowy wciąż jest i szybszy, i tańszy. Cóż, w idei Biełomoru nigdy nie chodziło o ekonomię, nawet socjalistyczną, nawet nie o połączenie Morza Bałtyckiego z Morzem Białym, ważna była „pieriekowka" dusz ludzkich. Ot co!

Mniej więcej co trzeci z budowniczych kanału stracił życie. Ginęli w wypadkach, byli rozstrzeliwani, mordowani, umierali z wycieńczenia, czego zresztą statystyki nie odnotowywały. Jakież to miało znaczenie w obliczu przemiany dokonującej się we wrogach klasowych, których „izolujemy, by nie mogli szkodzić, i wciąż dajemy im szansę. […] Oto w jedynym na świecie państwie wolności pracy trud więźniów stał się źródłem entuzjazmu dla tysięcy".

Czyż w tej sytuacji kanał mógł otrzymać inne imię jak Józefa Stalina, „genialnego teoretyka i praktyka bolszewizmu, największego mistrza socjalistycznego budownictwa, sternika światowej rewolucji proletariatu"? Także patrona innego, pomniejszego, ale jakże ważnego dla nas pomnika tej samej epoki: Pałacu Kultury i Nauki. W Warszawie. ©℗

★★★★★★

MARIAN SWORZEŃ „CZARNA IKONA – BIEŁOMOR. KANAŁ BIAŁOMORSKI. DZIEJE, LUDZIE, SŁOWA"
SIC! 2017

eprasa.pl 13086b07b7

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Inżynier na Księżycu

Nie podzielałem entuzjazmu kolegów pisarzy fantastów wobec debiutanckiej powieści Andy'ego Weira „Marsjanin", bo uważam, że literatura powinna mówić o konstrukcji duszy, a nie o konstrukcji śluzy powietrznej. Doceniam, ile główkowania wymagała opowieść o tym, jak naprawdę można rozwiązać problemy rozbitka na Marsie. Jednak gdy minęła fascynacja researchem, lektura zrobiła się nużąca. Co do ekranizacji – sami widzieliście, Ridley Scott zrobił z tego bardzo wystawną wersję „Apollo 13".

Nowa powieść Weira – „Artemis" – cierpi na tę samą chorobę co „Marsjanin". Autor sprawdza się jako inżynier, ale o pisaniu wie niewiele. Dlatego ciekawe są kawałki (jeśli kogoś interesują) o tym, co, z czego i jak można produkować na Księżycu, jak powinno być zbudowane księżycowe miasto i jakie są sekrety spawania w próżni. Jednak gdyby fabułę wyjąć z tej futurystycznej historii i sprzedać w formie, powiedzmy, filmu sensacyjnego (a wyczytałem w recenzji magazynu „SciFiNow", że „Artemis" to świetny thriller), wyszłaby z tego produkcja mocno B-klasowa.

Rzecz się dzieje w niedalekiej przyszłości, tytułowe Artemis to księżycowa kolonia, w której żyje 2 tys. osób – w tym Jazz Bashara, córka muzułmańskiego spawacza. Ambicje ma wielkie, talentów też sporo, ale marnuje swoje życie jako drobna przemytniczka. Pewnego dnia lokalny król przestępczego podziemia proponuje jej interes życia: za sabotaż w fabryce aluminium (dostarczającej także tlen) dostanie okrągły milion. Drugim elementem napędzającym akcję jest pewien niezwykły wynalazek, który wart jest krocie i może odmienić przyszłość Księżyca.

Fabuła jest wątła i służy bardziej jako szkielet do technicznych rozważań kolejnego, po bohaterze „Marsjanina", pomysłowego Dobromira w Kosmosie: Jak unieruchomić księżycową ciężarówkę? Jak wysadzić hutę? Ile powietrza w rezerwowych zbiornikach potrzeba, żeby usunąć z miasta skażoną atmosferę? I tak dalej. Tam, gdzie autor odchodzi od nauki, gubi się natychmiast. Skąd pomysł, że najbardziej typowe ukraińskie nazwisko to Martin Svoboda? Dlaczego Artemis jest za mała, by mieć szpital, ale wystarczająco duża, by pełnić funkcję wielkiej kosmicznej pralni brudnych pieniędzy? Czemu dorosłe postacie rozmawiają ze sobą językiem 14-latków? No i najważniejsze pytanie: Dlaczego przejmować się losem bohaterki, która jest bardziej irytująca niż sympatyczna? ©℗

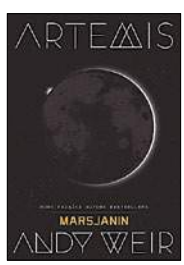

★★★☆☆☆
ANDY WEIR
„ARTEMIS"
AKURAT 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Dwieście najważniejszych utworów w dziejach polskiego rocka opisanych tak szczegółowo, jak tylko można – historia powstania, recepcja, wpływ na innych. Wielki ładunek wiedzy wzbogacony ogromnym materiałem ilustracyjnym.

JAN SKARADZIŃSKI, KONRAD WOJCIECHOWSKI
„PIOSENKA MUSI POSIADAĆ TEKST"
IN ROCK

Wolność nie jest permisywizmem ani chaosem, najpierw to obowiązek, dopiero potem prawo – przypomina słynna dziennikarka w książce, która jest zbiorem jej autobiograficznych tekstów, w tym niepublikowanych dotąd notatek.

ORIANA FALLACI
„TYLKO JA MOGĘ NAPISAĆ SWOJĄ HISTORIĘ"
ŚWIAT KSIĄŻKI

Powieść autorki bestsellerowej „Pary zza ściany". Kryminał skrzyżowany z psychologicznym thrillerem, w duchu powieści Gillian Flynn czy „Dziewczyny z pociągu" Pauli Hawkins – najmroczniejsze tajemnice kryją serca najbliższych.

SHARI LAPENA
„NIEZNAJOMA W DOMU"
ZYSK I S-KA

Te rody kształtowały historię Polski: mowa m.in. o Potockich, Branickich, Krasickich, Zamoyskich, Czartoryskich. Bogato ilustrowana książka skupia się na powojennych losach słynnych rodzin, w PRL i na emigracji. ©℗

poleca Piotr Gociek

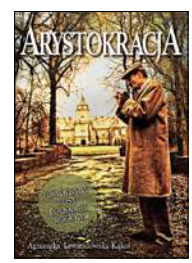

AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL
„ARYSTOKRACJA"
ZONA ZERO

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Regina Brett „Kochaj" (Insignis) – nowa książka autorki m.in. bestsellerów „Bóg nigdy nie mruga" i „Jesteś cudem". Poradnik krzepiący i motywacyjny.***
2. ***Neil deGrasse Tyson „Astrofizyka dla zabieganych" (Insignis) – zręcznie napisany przewodnik autorstwa amerykańskiego popularyzatora nauki.***
3. ***Jarosław Grzędowicz „Azyl" (Fabryka Słów) – zbiór wczesnych, niewznawianych dotąd opowiadań autora „Pana Lodowego Ogrodu".***
4. ***Lee Child „Adres nieznany" (Albatros) – 12 opowiadań kryminalnych, których głównym bohaterem jest Jack Reacher.***
5. ***Autorzy różni „Mistrz. Absolutnie" (Czerwone i Czarne) – Wojciecha Młynarskiego wspominają m.in. Bralczyk, Daukszewicz czy Irena Santor.***

(Najchętniej kupowane książki w hurtowni Olesiejuk FK)

eprasa.pl 13086b07b7

JAN POSPIESZALSKI

Ogień i deszcz

Formacja Gospel Rain w roli głównej

FOT. GOSPELRAIN.PL

Artyści muzyki chrześcijańskiej, traktujący poważnie swój fach, muszą pogodzić sprzeczność – ewangelizację i popularność. Muzyka chrześcijańska nie istnieje w próżni. Jeśli chce być profesjonalna, musi uwzględniać prawa, które narzuca show-biznes – walczyć o popularność, oglądalność, liczbę odsłon. Pełna przekroczonych barier współczesna kultura masowa i tworząca ją branża to nie miejsce dla grzecznych dziewczynek i chłopców. Coś o tym wiem.

Muzycy chrześcijańscy, którym marzy się sukces, startują zwykle w tych samych zawodach co ich koledzy ze sceny rozrywkowej. Za sukcesem idzie pokusa gwiazdorstwa – upodobnienia się do otaczającego celebryckiego świata. Wtedy walkę między sacrum i profanum wygrywa to drugie.

W niedzielę Chrystusa Króla w warszawskiej Arenie Ursynów na zakończenie festiwalu Chrześcijańskie Granie wystąpił Gospel Rain, zespół, który moim zdaniem ten konflikt rozstrzygnął na rzecz sacrum. Trudno mi zmierzyć jego popularność, ale profesjonalizm istniejącej już ponad dwie dekady lubelskiej formacji potwierdzają nie tylko znakomite kompozycje lidera Grzegorza Głucha, lecz także z wielką energią zagrany koncert.

Zwolennicy amerykańskiego bogatego brzmienia powinni być zachwyceni. Świetny chór, pulsująca sekcja i wartko, dynamicznie ułożony program koncertu sprawiły, że po powrocie do domu natychmiast sięgnąłem po ich płytę „Ogień" (2016). I tu zaskoczenie. Album to zapis koncertu z udziałem publiczności, gdzie obok zespołu pojawia się wyjątkowe grono przyjaciół. W roli sekcji dętej (uwaga!) bracia Golec, a wokalne wsparcie zapewniły: Kasia Dereń, Olga Szomańska oraz Mate.O. Najważniejszy jest jednak przekaz. W nasz niespokojny, pełen zamętu świat Grzegorz przeniósł z Księgi Izajasza biblijne proroctwo. Wołanie o światło nadziei, które 27 wieków temu zapisał „piąty ewangelista", dziś w ustach młodych muzyków brzmi poruszająco i bardzo aktualnie. Wspaniały materiał do adwentowych rozważań. „Emmanuel jest blisko" proklamuje Gospel Rain. ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Nowoczesne retro

Marcin Masecki (35 lat) i Jan Emil Młynarski (38 lat) przypominają fenomen orkiestr tanecznych polskiego międzywojnia. Stroniąc od pastiszu, oprowadzają nas po najlepszych lokalach Warszawy, Krakowa czy Lwowa. Co więcej, stworzyli najciekawszy muzyczny projekt mijającego roku.

Jazz Band M-M nie gra w tak dobrze nam znanej swingowej manierze orkiestry Glenna Millera. Jak pisze w znakomitym tekście dołączonym do albumu Tomasz M. Lerski: „[Oni] grają w stylu roku 1930". Pierwsze, co uderza, to kapitalne oddanie brzmienia ówczesnych orkiestr znanych z płyt wytwórni Syrena i Columbia. Sekcja dęta jest „zgłuszona", perkusja stonowana, tuba „pompuje" z przodu, a całość prowadzi kinowy fortepian. Jest to wysmakowane, stereofoniczne retro pełne pokory dla dokonań orkiestry Henryka Golda.

Młynarski, absolwent Drummers Collective w Nowym Jorku, odstawił perkusję i… zaśpiewał piosenki w duchu wykonań Adama Astona. Dodatkowo akompaniuje na zapomnianej bandżoli. Masecki jako pianista i aranżer dokonuje cudów. Podporządkowany konwencji, jednocześnie bawiąc się każdym dźwiękiem, nie odmawia sobie skoków w bok, a mimo to klimat pozostaje nienaruszony.

Dowcipne teksty wywołują uśmiech na twarzy, nogi same rwą się do tańca, bo: „Życie na dancingu tym, jak bajka jest / I krótki, piękny sen / Dni mijają pośród czarujących sjest / I pełnych wrażeń scen". ©℗

★★★★★★

JAZZ BAND MŁYNARSKI-MASECKI
„NOC W WIELKIM MIEŚCIE"
LADO ABC

★★★★★☆

RÓŻNI WYKONAWCY
„KRONIKI FILMOWE 1963–78"
GAD

DJ-e z Soul Service złożyli piękny naszyjnik z niepublikowanych pereł nagranych dla Polskiej Kroniki Filmowej. Ilustracyjnego jazzu, bujającego rocka, funkującej elektroniki autorstwa m.in. Sadowskiego, SBB i Klanu słucha się wyśmienicie. ©℗

★★★★☆☆

RÓŻNI WYKONAWCY
„MĘSKIE GRANIE 2017"
POLSKIE RADIO

Kronika ósmej trasy z udziałem m.in. Brodki, Nosowskiej, Roguckiego, Voo Voo, Pink Freud. Świetna atmosfera, stylistyczna różnorodność, covery rodzimej klasyki. Wielka muzyczna rodzina pod dyrekcją Tomasza Organka. ©℗

eprasa.pl 13086b07b7

WSPÓŁORGANIZATOR

FINA

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

MECENAT KONCERTU

PGNiG

LOTOS

Enea

PARTNERZY WYDARZENIA

Lotto

centrum historii zajezdnia

Ośrodek Pamięć i Przyszłość

PARTNERZY WYDARZENIA

Poczta Polska

pwc

Wrocław the meeting place

PATRONI MEDIALNI

wprost

Do Rzeczy

TVP 1

WSPÓŁPRACA REDAKCYJNA

Classic

eprasa.pl 13086b07b7

Z dr. Józefem Orłem, prezesem Klubu Ronina i koordynatorem Ruchu Kontroli Wyborów
rozmawia Wojciech Wybranowski

Wpływy Nowogrodzkiej zmalały

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

eprasa.pl 13086b07b7

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Sejm pracuje nad budzącym sporo kontrowersji projektem zmiany ustawy Kodeks wyborczy. Wprowadzić ma on m.in. dwukadencyjność wójtów, burmistrzów i prezydentów miast, likwidację JOW w mniejszych gminach, zniesienie głosowania korespondencyjnego i nowy sposób wyboru członków Państwowej Komisji Wyborczej.

DR JÓZEF ORZEŁ: To bardzo potrzebna ustawa, potrzebna nawet bardziej, niż PiS sobie to wyobraża. Niestety, jeden zapis w niej jest katastrofalny. Zmiana całego aparatu wyborczego, jaką projekt przewiduje – poczynając od PKW, przez komisarzy okręgowych, a kończąc na aparacie gminnym, czyli komisjach obwodowych – miałaby nastąpić dopiero po wyborach parlamentarnych w 2019 r.

Chodzi nie tylko o przygotowanie się do realizacji zmian, lecz także – jak tłumaczą pomysłodawcy – by uniknąć zarzutów, że robiona jest pod konkretną partię, na konkretne wybory.

To „będzie po ptakach". Po 2019 r. nie będzie już czego zmieniać i komu, bo PiS te wybory przegra. Jeżeli przypomnimy sobie, jak zostały sfałszowane wybory samorządowe w 2014 r., gdy głosów nieważnych było: na poziomie gminnym – 4–5 proc., na poziomie powiatowym – 12 proc., a na poziomie wojewódzkim – 18 proc., to obawiam się, że ten proces się powtórzy w kolejnych wyborach. Cały aparat nie uległ bowiem żadnej zmianie: PKW bez zmian, Krajowe Biuro Wyborcze, komisarze okręgowi i aparat wyborczy gminnego poziomu też bez zmian. PiS w takiej sytuacji ma wybory samorządowe przegrane jak w banku. Dlatego uważam projekt nowelizacji w punkcie odkładającym realizację go do 2019 r. za samobójczy.

Nie niepokoi pana, że członkowie PKW byliby w większości wyznaczeni przez Sejm i nie będą już musieli być sędziami?

Nie niepokoi mnie to absolutnie, aczkolwiek myślę, że powinni być powoływani z grona urzędników państwowych. Jednak to naprawdę nie ma znaczenia, można powołać połowę z sędziów, połowę z policjantów i to naprawdę nie jest żaden problem. Problemem jest to, jak zrobić, by jedna korporacja nie rządziła systemem wyborczym. Dzisiaj rządzi nim korporacja sędziów i na najniższym poziomie korporacja wójtów. Dlatego proponowałem jedną zmianę – by to wojewodowie ustalali skład okręgowych komisji wyborczych z grona urzędników państwowych, działaczy społecznych i przedstawicieli partii. Wtedy te wybory byłyby uczciwe.

Od kilku miesięcy słyszymy o rekonstrukcji rządu, a jednocześnie zmiany są odkładane. Kolejny termin to styczeń. To może wskazywać na poważne konflikty w obozie rządzącym i chyba mu nie służy.

Przede wszystkim rekonstrukcja rządu jest bardzo potrzebna. Pewnie za chwilę powie pan, że nie zmienia się koni w trakcie przeprawy, że notowania rządu są bardzo wysokie itd. Jednak, jak rozumiem, celem każdej władzy jest nie tylko wygranie kolejnych wyborów, lecz także stworzenie podstaw do wygrania następnych i następnych, a by to osiągnąć, niezbędna jest poprawa sytuacji w Polsce. Tymczasem wydaje mi się, że władza PiS po dwóch latach stoi na rozdrożu, co bierze się z kilku przyczyn. Po pierwsze: aparat PiS i ludzie tej partii po ośmiu latach bycia w opozycji walczą o zdobycie jak najwyższej pozycji w domenie państwowej, a to oznacza, że trzeba zapobiec i zapobiegać pewnej demoralizacji. Przypomnę, że w lipcu ubiegłego roku Jarosław Kaczyński powiedział: „Odsuwamy ministra Dawida Jackiewicza za budowanie imperium politycznego", a już następnego dnia premier Beata Szydło przekonywała, że „Jackiewicz był dobrym ministrem, a odchodzi, bo skończył swoją misję i więcej zmian nie będzie". To spowodowało, że ministrowie przestali się obawiać, iż ktoś będzie zapobiegał budowie – naturalnej przecież – ich własnych imperiów w resortach. Dostali wolną rękę. Pozostawienie tej sytuacji bez zmian groziłoby prędzej czy później aferą w stylu Sowa i Przyjaciele, może byłoby na rachunkach mniej zer, ale język rozmów byłby podobny, co mogłoby się źle skończyć dla PiS.

Po drugie: łatwe opanowanie mediów publicznych pozostających pod kontrolą większości parlamentarnej. Mamy do czynienia z sytuacją, gdy język używany w programach informacyjnych, politycznych w telewizji publicznej jest niesłychanie toporny. I jakby PiS się w tej sprawie nie bronił, należy zwrócić uwagę, że telewizji publicznej i Polskiemu Radiu dramatycznie spadają oglądalność oraz liczba słuchaczy. A to oznacza, że Polakom taka propaganda nie odpowiada...

Tyle że za media publiczne odpowiada nie rząd, a Rada Mediów Narodowych, powoływana przez Sejm i prezydenta.

Odpowiada za to obóz rządzący, to podkreślam, i nie warto wchodzić w takie drobiazgi, czy Rada Mediów Narodowych, czy ktoś inny i kto personalnie...

Nie bardzo widzę związek między rekonstrukcją rządu a rzeczywiście niskimi ocenami poziomu programów informacyjnych czy publicystycznych emitowanych w mediach publicznych.

Pan nie widzi, a ja widzę związek między zwycięskim wynikiem wyborów

REKLAMA

Nagroda IDENTITAS

Fundacja Identitas ma przyjemność poinformować, że nominacje do tegorocznej Nagrody Identitas dla najlepszej polskiej książki roku otrzymali:

Elżbieta Cherezińska | Wojciech Chmielewski | Krzysztof Koehler

Agnieszka Kołakowska | Paweł Rojek

Wręczenie nagrody w tym roku odbędzie się 8 grudnia, w Sali Kameralnej NOSPR w Katowicach.

Szczegóły na Identitas.pl

Honorowy Patronat Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej **Andrzeja Dudy**

Darczyńca nagrody głównej: PZU FUNDACJA

Partnerzy Gali: TVP KULTURA, DO RZECZY, POLSKIE RADIO, Fundacja, media partner

eprasa.pl 13086b07b7

dla PiS a tym, kto i w jaki sposób rządzi telewizją publiczną. Albo przychodzi nowy premier i mówi: „Musimy zwracać uwagę na uczciwość, efektywność i profesjonalizm, musimy zwrócić uwagę na prawdę, a prawda bywa niełatwa", albo poziom oglądalności i tym samym zaufanie będą spadać.

Powtórzę: poprawa wiarygodności mediów publicznych to zadania, które stoją przed panią Lichocką, panem Czabańskim, panią Kruk, czyli Radą Mediów Narodowych, a nie przed premier Beatą Szydło czy zrekonstruowanym rządem.

Jednak dlaczego pan tak po nazwiskach? To jest element obozu rządzącego, bo powstał w wyniku decyzji politycznych tego obozu, a nie w wyniku działań opozycji. Wpływ na to obozu rządzącego jest i nie mówię, że oczekuję zmian z dnia na dzień.

Mówi pan o wpływie politycznym, który na RMN ma tzw. Nowogrodzka, czyli centrala partii rządzącej, a nie „mały pałac"

To niech ten wpływ będzie wywierany nie na Nowogrodzkiej, tylko przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów. Na tym właśnie polega konieczność zmiany, tu dochodzimy do sedna problemu. Moim zdaniem czas sterowania z tylnego fotela, z biura na Nowogrodzkiej, już się skończył, wyczerpała się skuteczność takiego sposobu rządzenia. Oczywiście może dalej być tak, że pani premier zostaje na swoim stanowisku, PiS może dalej próbować działać w ten sposób, ale w mojej ocenie skończyła się efektywność takiego sposobu funkcjonowania. Od samego początku, czyli od zwycięskich dla PiS wyborów w 2015 r., było jasne, że kiedyś taki moment nadejdzie. Podróże ministrów na Nowogrodzką przestają być skuteczne, oczywiście nie dla ministrów, którzy tam jeżdżą, bo dla nich są pozytywne, tylko dla centrali partii i Jarosława Kaczyńskiego.

Jeżeli ministrowie jeżdżą na Nowogrodzką po instrukcje, to trudno mówić, że sposób sterowania przez Jarosława Kaczyńskiego z tylnego fotela przestał się sprawdzać.

Prędzej czy później w większym stopniu pani premier będzie się zasłaniać, otaczać się procedurami, władzą, którą tam sprawuje, informacją, którą ma codziennie. Premier Szydło ma wszystkie narzędzia rządzenia, a na Nowogrodzkiej zostaje pośredni wpływ polityczny. Podkreślam – to przestaje działać! A skoro przestaje działać, to pojawia się pytanie: Czy wracamy do systemu kanclerskiego lub mieszanego, czy też likwidujemy ten wpływ z tylnego fotela, poprzez przesunięcie się prezesa partii na miejsce kierowcy?

Jest jeszcze trzeci istotny problem, a mianowicie konflikt z Brukselą i Berlinem, który w mojej ocenie nie jest przypadkowy, tylko kierowany, jest wspomagany przez wewnętrzną opozycję i nie skończy się w najbliższych miesiącach. Sygnałem jest choćby ta niesprawiedliwa, niesłuszna, niebazująca na prawdzie kampania w Parlamencie Europejskim, której autorzy dążą do uruchomienia sankcji wobec naszego kraju. Cel tych działań jest prosty: albo zmuszą „PiS-owską Polskę", by upadła na kolana przed Berlinem i Brukselą, albo by przegrała wybory. Przy tym konflikcie z Berlinem i Brukselą polski rząd musi być bardzo twardy, bardzo profesjonalny, musi mieć jasną taktykę, wiedzieć, o co musimy walczyć w pierwszej kolejności. To jest niesłychanie trudne i wymaga sprawnego rządu również w części analitycznej, a ta obecnie jest na słabym poziomie.

Nie mam wrażenia, by wielomiesięczna kampania w mediach „Szydło odejdzie – zostanie", spinowana w części przez niektórych ministrów, wzmacniała w jakikolwiek sposób obóz rządzący.

Powiem tak: pani Beata Szydło jest dobrym premierem na zwykłe, normalne czasy. Nie rozumiem, dlaczego tę kampanię zmiany czy ewentualnej zmiany – bo przecież nie jest to przesądzone – trzeba pokazywać jako krytykę pani premier. Powtórzę: na zwykłe czasy Beata Szydło byłaby bardzo dobrą panią premier. Tyle że zwykłe czasy się kończą albo już dawno się skończyły, nie bardzo chcieliśmy to widzieć. Nie bardzo zauważali też to politycy, bo analityka jest słaba i ciągle jesteśmy zaskakiwani antypolskimi akcjami Berlina czy Brukseli.

Wracając do tego, co panu się wydaje, że jest ważne: za bardzo się ten czas wydłuża, za dużo jest tu gadania i biegania po mediach tych polityków, którzy w ten sposób chcą przechylić szalę na stronę decyzji: premier Szydło zostaje lub – alternatywnie – premierem zostaje Jarosław Kaczyński. Mnie się to też nie podoba, natomiast nie zmienia to faktu, że według mnie rekonstrukcja jest potrzebna. Jednak przy okazji dotknął pan ważnego szczegółu, czyli tych biegających po mediach ministrów, którzy akcją publiczną próbują wywrzeć nacisk, przeforsować swoje interesy w obozie rządzącym. Pokazuje to, że władza Nowogrodzkiej tak się osłabiła, iż nie jest w stanie przeprowadzić swoich decyzji w pięć minut, co dla mnie jest kolejnym dowodem, że rekonstrukcję trzeba przeprowadzić szybko. Za kilka miesięcy nie będzie to już możliwe, rząd obroni się taki, jaki jest, i zostanie bez kontroli zewnętrznej, a przecież ta, tak jak w każdym kraju, jest niezbędna.

„Geriatryczne stowarzyszenie fanów jednego ugrupowania" – to słowa Łukasza Warzechy o sytuacji w Klubie Ronina, który przecież miał być klubem dyskusyjnym „rycerzy bez wodza".

Czy Łukasz ma coś przeciwko starszym ludziom? Starsi ludzie co najwyżej nie mogą laską sprać jakiegoś dziennikarza czy polityka, ale poza tym są tyle samo warci co ludzie młodsi, a bywają mądrzejsi doświadczeniem. Prawda, że Klub Ronina stał się towarzystwem sympatyków jednej partii. Jednak to wymaga wyjaśnienia. My uważamy, że podział polityczny w Polsce jest taki: jeden obóz polityczny walczy o interesy polskie, a drugi o niemieckie. Ten podział jest bardzo głęboki, zero-jedynkowy, w środku stoi tylko Łukasz Warzecha. A skoro ktoś myśli dobrze o Polsce, to stoi po jednej, ściśle określonej stronie. Chcesz być Polakiem, chcesz reprezentować interesy polskie, to musisz stać gdzieś niedaleko obozu PiS-owskiego. To oczywiście nie znaczy, że trzeba do niego należeć czy z nim współpracować, ale przynajmniej myśleć podobnie, a na pewno nie tak jak obóz opozycyjny. Problemem jest to, że nie ma środka.

Tyle że gdy wszyscy mówią i myślą to samo, to mamy do czynienia z bezkrytycznym towarzystwem wspierania władzy, a nie z kreatywną, twórczą dyskusją.

Nieprawda, że bezkrytycznym. Nie ma poniedziałku, żebyśmy w jakichś sprawach nie skrytykowali rządu. Proszę sobie posłuchać tego, co ja do pana mówię w tym wywiadzie. Przecież było bardzo dużo rzeczy krytycznych. Na Klubie Ronina krytykujemy wiele, właśnie w interesie Polski. Łukasz Warzecha by to wiedział, gdyby na spotkania klubu przychodził. Niedawno Witold Gadowski w „Przeglądzie Tygodnia" godzinę poświęcił polityce kulturalnej Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego i to, co mówił, było praktycznie wyłącznie ostrą krytyką działań tego resortu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13086b07b7

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Oby cię zaktualizowali!

Nie wiem, czy to spisek, złośliwość czy po prostu tak jest, ale zawsze, kiedy muszę coś ważnego zrobić za pomocą komputera, ten zaczyna się aktualizować.

No weźmy ostatnią sytuację. Zarezerwowałem jakiś wyjazd zimą, a płacić miałem dopiero, gdyby cena wzrosła. Tak sobie sprytnie wykombinowałem. No i dzwoni do mnie znajomy z biura podróży i mówi: „Słuchaj, musisz wykonać przelew i przesłać dowód wpłaty. Dzisiaj do 13!". Dobra. Dzwonił o godz. 12, mam więc kupę czasu.

Siadam do laptopa, odpalam, czekam, a tam informacja: „Nie wyłączaj komputera! Instalujemy właśnie 1476 aktualizacji!". No trudno, rozumiem, że komputery to takie urządzenia, które muszą być na czasie jeszcze bardziej niż ludzie. Po kwadransie jednak ustrojstwo pobrało 5 proc. nowinek. Chciałby człowiek popędzić jakoś, ale nie da rady. Przerwać też nie można. Kiedyś przerwałem, wyłączyłem, bo musiałem pilnie coś napisać, ale laptopowi się pomerdało zupełnie w głowinie. Coś tam mu zostało z nowych rzeczy, ale wielu zabrakło i kompletnie oszalał. Zachowywał się, jakby na klawiaturę wylał mu się litr spirytusu. Miałem z tym mnóstwo problemów i od tej pory, jak komputer mi się aktualizuje, to chodzę przy nim na paluszkach. Głaszczę, dbam, żeby mu prądu nie zabrakło, czuwam, żeby – broń Boże – się nie wyłączył. Pełna pokora, którą przykrywam nienawiść i wściekłość, ale on chyba tego nie wie. No, chyba że czyta, co teraz na nim piszę, i to rozumie. Jeśli tak, to wie. A ja mam przechlapane.

No dobra, wreszcie się załadował, już chcę robić ten przelew, czas płynie, a on mi mówi, że się musi zrestartować. No to się wyłączył, a jak się włączył, znowu się zaczął aktualizować. Tak na drugą nóżkę. One już tak mają.

To ja już nie wiem, co zrobić. Może pójdę do banku i zrobię przelew po staremu? To jednak na nic, bo i tak potem muszę wysłać e-mailem potwierdzenie zapłaty. Może jakiś stary laptop jest w domu? Jest! Odgruzowuję go, odpalam, ale… no tak – po długim letargu na dnie szuflady musi się oczywiście zaktualizować. Więc się aktualizuje. A ja mam dwa bezużyteczne komputery, zajęte swoim życiem wewnętrznym.

Dobra, w końcu jeden doszedł do siebie i chce współpracować. Zostało mi już tylko 5 minut, znajomy dzwoni, co z tym przelewem, już go mam robić, ale wtedy… przeglądarka internetowa mówi mi, że ona też się chce zaktualizować. Ale za to, jak to już uczyni, będzie szybka jak nigdy. Na razie jednak utrudnia mi życie.

W końcu wszystko się odpala. W ostatnich sekundach robię przelew, przesyłam dowód wpłaty, a potem padam wyczerpany i spocony na kanapę. Uff, na jakieś dwa dni mam spokój, a potem dopadnie mnie jakaś aktualizacja. Kiedy będę się spieszył, oczywiście. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Spalone mosty

Do polskich sportów narodowych należy palenie mostów. Za sobą, ale coraz częściej przed sobą. Człowiek żyje 70 lat, a nie potrafi przestać się dziwić ludzkim zachowaniom. Szczególnie gdy nie dotyczą one zdeklarowanych wrogów, z tymi można sobie łatwo poradzić, ale gdy chodzi o niedawnych przyjaciół. O, pierwszy z brzegu kolega. Artystyczne zero. No może nie zero, parę miejsc po przecinku pojawiają się jakieś cyferki. W mojej orbicie pojawia się wiele lat temu jako człowiek skrzywdzony, odrzucony przez stado (nie przychodzi mi do głowy, że może słusznie), więc przyjmuję go do zespołu, poprawiam jego teksty, przymykam oczy na knajacką stylistykę, hołubię. Tym bardziej że choć pisze marnie, myśli dobrze i przejawia pewne zdolności organizacyjne. Kolega, nie powiem, odwdzięcza się jak może, pisze o mnie na klęczkach, co wywołuje pewne zażenowanie. Jednak kto nie lubi komplementów? I wreszcie przychodzi dobra zmiana. Oczywiście jestem za tym, żeby wykorzystać wszystkich, którzy na to zasługują – niestety kolegi nie interesują posady administracyjne, parcie na szkło ma silniejsze niż instynkt samozachowawczy. Chce komentować na wizji, tworzyć programy. Sęk w tym, że do pierwszego się nie nadaje, a co do drugiego, jeśli chodzi o skalę obciachu, dokonania wołają o pomstę do nieba. Jednak na różnych forach próbuję go bronić, nie odtrącać całkowicie. Ale to tylko go rozjusza. Atakuje mnie gdzie popadnie, odmawiając talentu, dorobku, uczciwości. A przecież nie osiągnie tym niczego, poza wyrzuceniem z siebie jakiejś małej części frustracji.

> **Oczywiście jestem za tym, żeby wykorzystać wszystkich, którzy na to zasługują**

Jeszcze ciekawszy jest przykład koleżanki, można rzec – „z jednego okopu", zawsze miłej, życzliwej. Kiedyś dałem jej pracę w radiu, popierałem w telewizji, forsowałem w stowarzyszeniu twórczym. Koleżanka awansowała wysoko, co mogło tylko cieszyć, choć coraz częściej temperament brał u niej górę nad rozwagą. Nieoczekiwanie, bezpodstawnie, bez poznania faktów, bez rozmowy ze mną, atakuje mnie mocniej niż cały mainstream przez długie lata. Z furią, zacietrzewieniem, bez opamiętania, mimo że jej ciosy tną powietrze. Dlaczego? Po co? Gdyby powiedziała mi, że ma chętnego na moje stanowisko albo sama chce wskoczyć na fotel mojego szefa, z pewnością bym jej nie przeszkadzał. A tak? Tak pozostają jedynie smutna zaduma nad ludzkimi charakterami, żal wielu lat znajomości i dokuczliwy swąd spalonych mostów. ©℗

eprasa.pl 13086b07b7

Błażej Sajduk

Cyfrowy dylemat

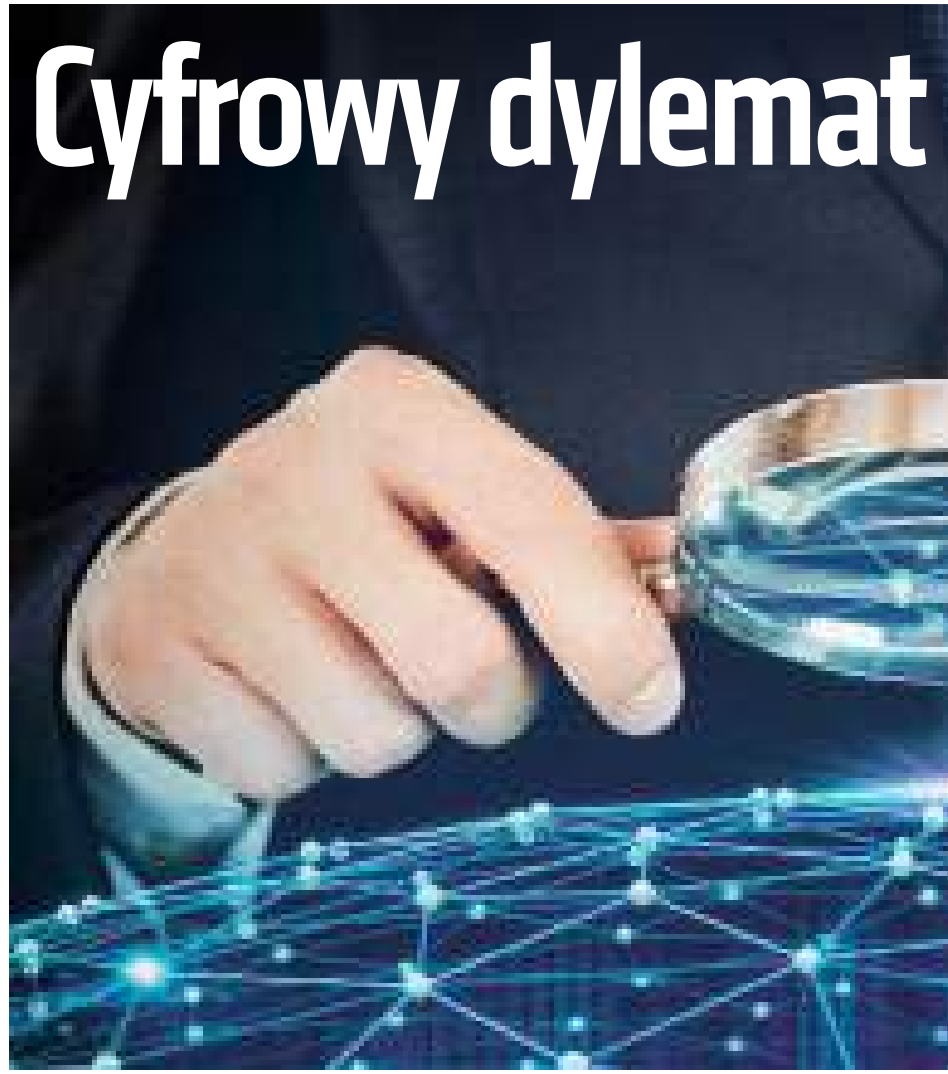

Świat zbliża się do momentu, w którym trzeba będzie wybrać między wolnością indywidualną a wzrostem efektywności gospodarczej

Miesiąc temu zakończył się XIX zjazd Komunistycznej Partii Chin, na którym m.in. doprecyzowano ideę socjalizmu o chińskiej specyfice. Jednak obok prezentowanych na samym zjeździe idei i myśli Xi Jinpinga szczególną uwagę warto zwrócić na sposób, w jaki wspomniana chińska specyfika jest dopełniana technologią XXI w. Na końcu tego procesu transformacji ustrojowej znajduje się bowiem nowy model relacji gospodarka – społeczeństwo – państwo. To model, który już niebawem zmusi inne państwa na świecie, w tym kraje zachodnie, do postawienia fundamentalnego pytania o przyszłość nie tylko gospodarczą, lecz także ustrojową. Świat bowiem powoli zbliża się do punktu, w którym trzeba będzie wybrać jedną z dwóch trudnych do pogodzenia opcji. Po jednej stronie znajdzie się ceniona w kręgu kultury zachodniej wolność indywidualna, po przeciwnej stronie wyższa efektywność gospodarcza. Jak do tego dojdzie?

Oto bowiem wielkie zbiory danych, uczenie maszynowe, druk 3D i robotyzacja, generalnie rzecz ujmując – tzw. czwarta rewolucja przemysłowa będzie kształtowana podług socjalistycznej wschodnioazjatyckiej optyki. Znane ze słusznie minionych czasów centralne planowanie jest rewitalizowane poprzez wykorzystanie nowych technologii. Jednak tym razem może się okazać, że algorytmiczny socjalizm będzie dużo bardziej efektywny, ponieważ sterować będzie nie abstrakcyjnym nierozpoznanym rynkiem, ale cyfrowo zmapowanym i zarządzanym społeczeństwem. Namacalnym przykładem tego procesu może być wzmacnianie oraz rozwijanie dyskutowanego i testowanego od końca lat 90. w Państwie Środka systemu oceny wiarygodności obywateli, a także osób prawnych (ang. Social Credit System, SCS). Decyzja władz w Pekinie o stworzeniu rankingu zaufania obywateli jest czymś, co wykracza poza ramy ciekawostki technologicznej i niesie ze sobą niezwykle poważne skutki. Ten informatyczny system będzie bowiem narzędziem prowadzenia inżynierii społecznej i odgórnego sterowania nią, narzędziem, które budzi naturalne skojarzenia z „Rokiem 1984" George'a Orwella.

OCENIANIE OBYWATELI

Najludniejsze państwo świata planuje od roku 2020 wprowadzić obowiązkowy system oceny poziomu zaufania/wiarygodności, jakim może się cieszyć każdy obywatel. Już od 2014 r. na dużo mniejszą skalę testowane są dwa prototypowe i nieobligatoryjne rozwiązania, w których rozwój zaangażowane są podmioty powiązane m.in. z serwisami Alibaba (jeden z największych na świecie serwisów e-sprzedażowych) oraz WeChat (największy chiński serwis społecznościowy). Ponadto na połowę 2018 r. planowano integrację systemów 44 firm z branży finansów, prawdopodobnie dlatego, że jednym z głównych podsystemów docelowej platformy służącej do oceny wiarygodności obywateli będzie ocena ich historii finansowej. Docelowo to, jak dana osoba radzi sobie np. z terminowym spłacaniem rat kredytu, może mieć wpływ na różnego rodzaje bonusy i upusty (np. wynajmowanie samochodu bez konieczności zostawiania kaucji czy niższe oprocentowanie kredytu).

Innymi słowy – reputacja będzie miała wymierną wartość. Sama koncepcja nie jest nowa, w cyfrowym wydaniu w grach wideo i na forach internetowych budowanie prestiżu stanowi fundament mechanizmów grywalizujących, których celem

eprasa.pl 13086b07b7

FOT. FOTOLIA

jest zwiększanie zaangażowania użytkowników. Na pierwszy rzut oka sama idea wspierania pozytywnych i prowspólnotowych zachowań przez ich wzmacnianie wydaje się interesująca, jednak równocześnie komunistyczne władze stworzyłyby odgórny mechanizm samokontroli.

W planach Pekinu każdy obywatel gromadziłby punkty za różnego rodzaju aktywność. Szczegółowo monitorowane byłyby zachowania w sieci, na ich podstawie algorytm dokonywałby oceny danej osoby. Ujemne punkty mogłoby przynieść spędzanie zbyt dużej ilości czasu na e-rozrywce, podczas gdy np. zachowania wskazujące na bycie rodzicem (regularne kupowanie pieluch, zabawek i kosmetyków dziecięcych) oceniane byłyby pozytywnie i dawałyby wyższe miejsce w rankingu, a zatem i wymierne ekonomiczne korzyści. Najwięcej kontrowersji budzi jednak pomysł uwzględniania w punktacji treści zamieszczanych w komentarzach (np. oceny, czy są one pozytywne dla władzy) oraz opinii innych osób, w tym rodziny i znajomych, na temat różnych kwestii – jeśli byłyby krytyczne wobec decyzji władzy, to wówczas mogłyby oznaczać ujemne punkty dla ocenianej osoby.

Łatwo wyobrazić sobie sytuację, w której naciska się na członków własnej rodziny, by ci powstrzymali się od publicznego krytykowania władzy, ponieważ może to negatywnie wpłynąć na nasze miejsce w rankingu „zaufanych" obywateli, a tym samym przyczynić się do tego, że np. spadnie prędkość naszego Internetu, wzrośnie rata kredytu, nasze dzieci będą mogły skorzystać wyłącznie z prywatnej, droższej edukacji, czy spowodować, iż podczas zakupów w centrum handlowym będziemy mogli zostawić samochód tylko na gorszym miejscu parkingowym.

WNIOSKI DLA WARSZAWY

Jeśli Chiny wprowadzą opisywany mechanizm i jeśli wpłynie on pozytywnie na wyniki ekonomiczne Państwa Środka, to będzie to oznaczać poważny dylemat dla społeczeństw oraz rządów państw demokratycznych. Oto bowiem pojawi się bardziej efektywna forma zorganizowania społeczeństwa, w której wolność zostanie ograniczona w imię racjonalizacji procesu wytwarzania dobrobytu. Wówczas społeczeństwa Zachodu staną przed dylematem – naśladować nowe rozwiązania czy bronić wolności? Sytuacja wydaje się w wielu punktach zbieżna z naszym doświadczeniem historycznym, gdy I Rzeczpospolita była osaczona przez silne państwa o ustrojach absolutystycznych, które w tamtych okolicznościach historycznych były organizmami lepiej zorganizowanymi, przystosowanymi i zdolnymi do wysiłków na dużo większą skalę od naszego.

Ponieważ żyjemy już w czasach po śmierci prywatności, ważne jest, by w przyszłości nie dać się zwieść fałszywym opiniom i pamiętać, że tak jak kapitał, surowce energetyczne, również informacja „ma narodowość". Chcąc zachować w przyszłości podmiotowość i suwerenność, czyli swobodę w kształtowaniu położenia własnej wspólnoty politycznej, i uniknąć losu cyfrowej „neokolonii", polskie państwo (i polskie przedsiębiorstwa) muszą być właścicielami gromadzonych w sposób bezpieczny i przetwarzanych legalnie danych o polskich obywatelach. O ten aspekt bezpieczeństwa aktywnie zatroszczyć się już zdążyły m.in. Stany Zjednoczone, Chiny i Federacja Rosyjska. Na szczęście widać również determinację i proaktywną postawę władz Unii Europejskiej (jedynej na razie instytucji wystarczająco silnej, aby przeciwstawiać się ponadnarodowym korporacjom). Troska o ten wymiar bezpieczeństwa informatycznego jest kluczowa, jeśli za kilkanaście lat chcemy dysponować rzeczywistym wyborem – gdy już nadejdzie czas podjęcia decyzji, w jakim ustroju chcemy żyć. Jeśli nawet, metaforycznie rzecz ujmując, wybierzemy algorytmy, a nie wolność, to niech przynajmniej wykorzystywane w nich dane będą pod rodzimą kontrolą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego.

eprasa.pl 13086b07b7

Ślepi na jedno oko

Tomasz P. Terlikowski

Sprowadzenie sukcesu PiS do „500+" dowodzi kompletnej ślepoty opozycji i jej analityków na rzeczywistość

Od jakiegoś czasu z rosnącym rozbawieniem czytam kolejne analizy intelektualistów, dziennikarzy i publicystów, którzy znajdują się obecnie na wojnie z PiS. I nie chodzi mi o zaangażowane tweety Tomasza Lisa, bo one budzą raczej współczucie, ani o teksty Tomasza Piątka, bo te rodzą pytanie o stan poczytalności owego dziennikarza, ale o analizy osób, które – przez lata – uchodziły przynajmniej za interesujących analityków rzeczywistości i były w stanie na nią realnie wpływać. Teraz jednak oślepli na jedno oko, a niekiedy na oboje oczu, i nie są w stanie nie tylko wykrzesać z siebie ciekawej analizy, lecz nawet trafnie opisać rzeczywistości.

BĘDĘ WYDAWAĆ „WYBORCZĄ" W PODZIEMIU

Niezwykłym przykładem tego zjawiska jest tasiemcowy wywiad, jakiego Adam udzielił Sławkowi w „Krytyce Politycznej". Celowo używam jedynie imion, bo panowie Michnik i Sierakowski nieustannie się „tykają", manifestując zblatowanie środowisk starej i nowej lewicy, a także jej kompletne niezrozumienie otaczającej ich rzeczywistości. Propaganda, jaką od lat sieją, oślepiła ich samych w dziedzinie historii, a założenia filozoficzne, jakie przyjmują, sprawiają, że nie są w stanie zrozumieć teraźniejszości. I tak biadolą jak staruszkowie nad tym, jak to strasznie Polska się zmieniła i jak to bardzo szybko trzeba ją odmienić z powrotem, bo jeśli nie, to zaraz nadejdą faszyści i zakażą im działania. Tak, tak, jednym z zagrożeń, jakie rozważają Sławek z Adamem, jest… zamknięcie „Wyborczej". „Co zrobisz, jak zamkną »Gazetę«?" – pyta z pasją Sierakowski. A Michnik odpowiada: „Będę wydawał w podziemiu". Sierakowski nie ustępuje: „Adam, przecież nie będziesz samizdatu wydawał"?, a Michnik odpowiada: „Będę wydawał samizdat. Nie poddam się".

Wizja „Wyborczej", jako samizdatu, może oczywiście cieszyć prawicowców, ale tak się składa, że nikt nie zamierza „Gazety Wyborczej" zamykać. Nie miałoby to zresztą, z perspektywy Prawa i Sprawiedliwości czy rządzącej w Polsce prawicy, najmniejszego sensu, ponieważ – tak się składa – nieustanne ataki tego medium na rząd, a także coraz niższy poziom propagandy „GW", w połączeniu z szarżami publicystycznymi Tomasza Lisa i Cezarego Michalskiego, są najlepszym argumentem na rzecz PiS. Likwi-

FOT. FOTOLIA

dacja tych mediów byłaby więc błędem, nawet z prawicowego punktu widzenia, szczególnie że spadające nakłady obu dają nadzieję, że w niedługiej przyszłości padną one same i nikt nie będzie ich musiał zamykać ani likwidować.

Jednak wbrew pozorom nie jest to najbardziej absurdalny fragment tego wywiadu. Panowie budują bowiem wizję, w której PiS wygrał dzięki ich zaniedbaniom komunikacyjnym (gdyby ktoś nie wiedział, Michnik nie ruszył wówczas w Polskę z wykładami i dlatego nie zatrzymano marszu prawicy), a także dlatego, że oni wcześniej nie przyznali ludziom wykluczonym „500+", co sprawiło, że w klasowej walce „wykluczeni", „biedni", „niewykształceni" opowiedzieli się po stronie partii prawicowej i próbują obecnie „buntu mas", który zmiecie stare elity i zastąpi je nowymi, „PiS-owskimi". Teza ta, prezentowana wcześniej w „Polityce" przez Sławomira Sierakowskiego, a także przez Andrzeja Miszka (to ten jezuicki diakon, który głodował przez nieco ponad miesiąc pod kancelarią premiera) w Studiu Opinii, zakłada, że w Polsce toczy się walka klas, w której klasy niższe występują przeciwko klasom wyższym i próbują im odebrać z trudem zapracowane przez nie środki. Jednym słowem – z jednej strony mamy sfrustrowaną biedotę, a z drugiej światłych intelektualistów; z jednej frustratów, z drugiej ludzi sukcesu; z jednej ciemnotę, a z drugiej ludzi wykształconych i z dobrych domów.

MATERIALIZM JAKO ŹRÓDŁO ŚLEPOTY

Bzdura? No pewnie, że bzdura, tak jak bzdurą jest przekonanie, że jedynym powodem zwycięstwa PiS w wyborach była zapowiedź wprowadzenia „500+", a jedynymi przyczynami wzrastającego wsparcia dla tej formacji są wprowadzenie transferu środków publicznych (istniejącego zresztą w niemal wszystkich krajach zachodnich) i systemu wsparcia rodzin, a także nieumiejętności komunikacyjne liderów opozycji. Jednym słowem – jedynym powodem, dla którego wygrywa prawica, są kwestie finansowe. W ten sam sposób rozumuje zresztą także lewica (niekiedy liberalna) na Zachodzie. Oni także nie rozumieją, dlaczego w ich krajach zwyciężają populiści czy prawicowcy, i za jedyną przyczynę tego zjawiska uznają problemy finansowe, braki adaptacyjne biedoty czy nieumiejętność dotarcia z przekazem liberalnym do ludności zamieszkującej biedniejsze regiony Stanów Zjednoczonych czy Wielkiej Brytanii.

Tyle że to bzdura. Człowiek nie jest i nigdy nie był tylko homo economicus, jego decyzje nie są zależne tylko od tego, ile mu kto da i czy pozwoli realizować swoje materialnie umotywowane aspiracje. Oczywiście każda z tych rzeczy jest ważna, ale nie może być zabsolutyzowana czy uznana za najważniejszą. Istnieją bowiem także wartości nieekonomiczne, niezwiązane z materialnością, które sprawiają, że ludzie podejmują takie, a nie inne decyzje. Co ciekawe, analizując sytuację w krajach zachodnich, „Krytyka Polityczna" zdecydowała się zamieścić tekst prof. Roberta Skidelsky'ego, który świetnie to uchwycił, wykazując, że u źródeł sprzeciwu wobec masowej imigracji leżą nie tylko i nie przede wszystkim problemy ekonomiczne oraz społeczne z nią związane, lecz także leżące u podstaw tożsamości narodowej poczucie przynależności. „Dla większości ludzi obywatelstwo to coś, do czego się rodzimy. Wartości wyrastają z konkretnej historii i geografii. Jeśli struktura ludności danej społeczności zmienia się zbyt szybko, to odcina ludzi od własnej historii, sprawia, że zaczynają dryfować i tracą korzenie. Liberalny lęk przed wyjściem na rasistę ukrywa przed nimi te prawdy. Nieuchronnym skutkiem tego wszystkiego jest to, co nazywa się teraz populizmem. Wniosek, jaki z tego wynika dla polityki państwa, jest banalny, ale wart powtórzenia. Nie należy naciągać poza granice wytrzymałości tolerancji ludzi na zmianę i adaptację, chociaż w różnych krajach będzie ona różna. Nie powinno się przesadzać zwłaszcza z masową imigracją, bo z pewnością rozbudzi ona w końcu nastroje wrogości" – wskazuje Skidelsky.

I aż zaskakuje, że tych samych analiz nie są w stanie zastosować lewicowcy i liberałowie do analizy sytuacji w Polsce. To, że Polacy odwrócili się od Platformy Obywatelskiej i liberalnych pomysłów na nasz kraj, nie wynika tylko z błędów komunikacyjnych, z bezczelności poprzedniej władzy ani nawet z odkrycia, iż istnieją przestrzenie zaniedbane w procesie transformacji. Powody były także inne, a szukać ich trzeba w silnej polskiej tożsamości narodowej, w dumie z własnego pochodzenia i wreszcie z odmiennych od zachodnich modeli rozwojowych.

OTWORZYĆ OCZY

Tak się składa, że – o czym wielokrotnie pisała prof. Jadwiga Staniszkis – Polska nie przeżyła rewolucji nominalistycznej, a to oznacza, że rozumuje, działa i rozwija się inaczej. Symbole i – co za tym idzie – polityka symboliczna mają u nas o wiele większe znaczenie niż na Zachodzie (choć i tam, wbrew opiniom lewicy, odgrywają one swoją rolę). Odmienne jest także, czego nie są w stanie zrozumieć ani Michnik, ani Sierakowski, ani nawet Michalski, miejsce religii w naszym systemie wartości. I wcale nie chodzi tu o jakieś endeckie jej wykorzystywanie, lecz o to, że dla wielu Polaków ataki na Kościół, mimo że często nawet sami nie chodzą ma msze św., wcale nie przyczyniają się do wzmocnienia partii. Lekceważenie własnej tożsamości narodowej, pomniejszanie jej znaczenia, osłabianie rodziny czy ośmieszanie Kościoła wcale więc nie pomagają opozycji, a często jej szkodzą. Donald Tusk, co trafnie diagnozował Rafał A. Ziemkiewicz, zdecydował się na skręt w lewo, by budować własną pozycję w strukturach europejskich (co mu się zresztą udało), ale to, że totalna opozycja i jej medialni patroni nadal nie widzą, iż jest to droga do pogrzebania na wiele lat ich własnych aspiracji politycznych, naprawdę zadziwia.

A zadziwia tym bardziej, że gdy naprawdę jest to konieczne, to nawet najwięksi lewicowi doktrynerzy są w stanie dostrzec znaczenie narodu, religii czy zakorzenienia. Niemożliwe? A jednak. Gdy Niemcy zaatakowali Związek Sowiecki, Józef Stalin zdecydował się nie tylko na powrót do części symboliki carskiej Rosji, lecz także nawet na otworzenie się na Cerkiew prawosławną. To był jeden z powodów (niejedyny, bo doszły do tego błędy Hitlera), dla których wygrał wojnę. I jeśli lewica chce jeszcze kiedyś w Polsce dotrzeć do realnej władzy, to musi o tym pamiętać. Niepodległość, wolność, religia to wartości o wiele istotniejsze dla Polaków niż gender, europejskość i imigracja. Dopóki Donald Tusk o tym pamiętał, dopóty PO wygrywała wybory. Gdy zdecydował się o tym zapomnieć dla własnej kariery, to je przegrała. Nie, żeby mnie to martwiło, ale dla debaty publicznej ślepota na jedno oko jest naprawdę szkodliwa. A bezalternatywność rozzuchwala Prawo i Sprawiedliwość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13086b07b7

SZEWACH WEISS

Faszyści i komuniści

Jesteśmy świadkami procesu powrotu do ostrego języka. Polityczny słownik wraca do lat 50., 60. i 70. XX w., a zwłaszcza do czasów II wojny światowej i lat ją poprzedzających. To ubogi słownik, w którym każdy, kto nie jest prawicowcem, jest komunistą, a prawie każdy prawicowiec jest faszystą. To powrót do języka, który w historii doprowadził do wielu tragedii i nieszczęść, zwłaszcza w XX w. Każdy proces brutalizacji życia politycznego prowadzi w końcu do brutalizacji życia, do wojen domowych i międzynarodowych, do strachu. Brudny język jest zawsze drogą do brudnych, a później krwawych działań. Mam w tym osobiste doświadczenie i odwołując się do niego, chciałbym zwrócić się do czytających te słowa z apelem: „Uwaga, uwaga!".

Gdy w latach 90. izraelski rząd z Icchakiem Rabinem na czele doprowadził do umowy pokojowej z Jasirem Arafatem i Palestyńczykami, prawica w Izraelu rozpoczęła mocną krytykę skierowaną przeciwko Icchakowi Rabinowi, Szymonowi Peresowi i koalicji, z którą Partia Pracy utworzyła rząd. W Knesecie padały mocne słowa, np. „zdrajca". Na plakatach pokazywano Icchaka Rabina w mundurze gestapo lub z kefią typową dla Jasira Arafata na głowie. Skończyło się to 4 listopada 1995 r., kiedy prawdziwy rasista i faszysta (a tacy byli, są i będą w każdym kraju) Jigal Amir, student prawa, zamordował Icchaka Rabina. To była wojna domowa, mimo że była tylko jedna ofiara. Ten mord zmienił historię Izraela i prawdopodobnie całego Bliskiego Wschodu, a nadzieja na zawarcie pokoju nie ziściła się do dziś.

Okropne doświadczenia lat 1930–1945 pokazały, jak wygląda faszyzm. Pokazuje to historia Argentyny za czasów Peróna i jego małżonki, a później Videla, lub Chile za rządów Pinocheta. Czym jest realny komunizm, pokazali Lenin czy Chruszczow i wydarzenia w Kambodży za rządów Pol Pota. Lata 90. w Jugosławii przypominają nam, jak wygląda rasizm. Czy Państwo Islamskie jest komunistyczne lub faszystowskie? Nie można go nazwać ani tak, ani tak, ale jego polityka oparta jest na szatańskiej nienawiści do wszystkiego, co żyje. To, co się zdarzyło niedawno na Półwyspie Synajskim, gdzie w zamachu zamordowano prawie 400 ludzi, w tym całe rodziny z dziećmi, to kolejny przykład efektów nienawiści, która wciąż się nie skończyła i szybko się nie skończy. A jeszcze niedawno wydawało się, że wracamy do normalnego, merytorycznego, ludzkiego języka i zachowania się. System demokratyczny rozszerzył się i pogłębił. Pojawiła się ogromna nadzieja. U mnie narodziła się ona, gdy Barack Obama został prezydentem USA. Czułem, że ten może nie najlepszy dyplomata, ale „prorok" ma szanę coś zmienić. Przyczynić się do walki z rasizmem.

Jako Izraelczyk pamiętam jak w latach 60. i 70. ze strony Moskwy i państw komunistycznych padały oskarżenia pod adresem syjonizmu, że jest to imperializm, rasizm, a nawet ruch faszystowski. To były bzdury, ale już doskonale wiemy – nie tylko od Goebbelsa – że ludzie zaczynają wierzyć w kłamstwa powtarzane wielokrotnie.

Pamiętam, kiedy prawie 17 lat temu przyjechałem do Polski na służbę ambasadorską i w drodze do ambasady na ścianie jednej z kamienic zobaczyłem napis: „Kwaśniewski Żyd". Prawdę mówiąc, poczułem się nie najgorzej, pomyślałem sobie: „To mamy już dwóch prezydentów Żydów – jeden w Izraelu, drugi w Polsce. Właśnie w tych dwóch tak bliskich mi krajach". Gdy przejeżdżaliśmy obok tego miejsca następnego dnia, mój kochany kierowca Wojtek powiedział: „Panie ambasadorze, proszę spojrzeć w lewo". Pod napisem pojawił się dopisek: „No to co, rasisto?". To była mądra, moralna odpowiedź. I poprawna politycznie.

Jednak teraz poprawność polityczną ukazuje się w złym świetle – w Stanach Zjednoczonych, w Polsce czy w Izraelu.

Jeśli prawica będzie nazywać każdego, kto jest trochę na lewo od niej (nawet z centrum), komunistą, to każda siła polityczna, nawet centrum, określi siły polityczne będące na prawo od niej faszystami. Tak to się skończy. A w takiej atmosferze trudno prowadzić dialog na bazie faktów. Każdą państwowość należy budować na bazie solidarności. Każda demokracja musi bronić się przed ekstremistycznymi, skrajnymi siłami, które nie wierzą w demokrację i zniszczą ją przy pierwszej okazji, nawet będąc w nielicznej mniejszości. Demokracja musi się bronić, używając demokratycznych metod, i nie uciekać od poprawności politycznej. Polityczna poprawność jest bowiem potrzebna kulturowo i politycznie, a na końcu przyniesie dobre owoce. Ona broni wartości człowieka, praw kobiet, obniża potencjał ksenofobii i nienawiści do innych. Ona uczy tolerancji i zwalcza również antysemityzm. Bo każdy rasista i każdy ksenofob albo staje się antysemitą, albo już nim jest. ©℗ ***oprac. raw***

„Do Rzeczy" poleca:

- Najbardziej osobista książka **Szewacha Weissa**
- Za co najmocniej **kocha Polskę?**
- Jak toczyć bitwę o **prawdę historyczną,** by ją wygrać?
- Kulisy spotkań z najwybitniejszymi **politykami świata** w XX w.

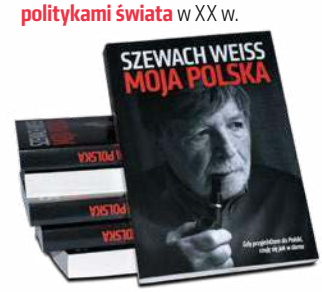

Książka dostępna w placówkach Poczty Polskiej oraz u wydawcy: prenumerata@pmpg.pl, tel. 22 529 12 00

eprasa.pl 13086b07b7

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

PRAWDA O MARSZAŁKU!

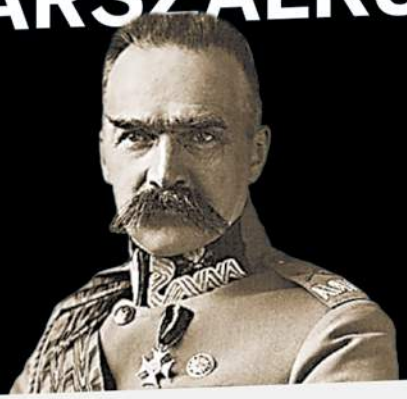

DODATEK NA 150. ROCZNICĘ URODZIN JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Piotr Zychowicz – **Konstanty na króla Polski**
Maciej Rosalak – **Mogliśmy pokonać Rosję!**
Adam Zamoyski – **Powstanie czy rewolucja**
Josh Dean – **Sowieckie rakiety z dna oceanu**
Marian Zacharski – **Komunistyczne ciągoty Joliot-Curie**
Sławomir Koper – **Romanse gen. Kasprzyckiego**
Tomasz Stańczyk – **Ukraiński zamach na Potockiego**
Mikołaj Iwanow – **Polak bolszewickim admirałem**
Arkadiusz Karbowiak – **Spór o mord w Wierzchowinach**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 13086b07b7

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Piotr Semka

Nie brakuje pod jego adresem zarzutów, ale legenda Józefa Piłsudskiego jest mocno zakorzeniona w Polakach. Jakie są powody tego fenomenu?

Kult Marszałka

Jaki był najważniejszy dzień w XIX w.? – pytał, hen w pierwszej połowie lat 80., mój „solidarnościowy" nauczyciel historii. Gdy biedni uczniowie ryzykowali różne odpowiedzi – od powstania Księstwa Warszawskiego, poprzez detronizację cara w 1831 r., do powstania styczniowego – autor zagadki tylko uśmiechał się ironicznie. W końcu, gdy już wszyscy spasowali, ogłaszał z emfazą – chodzi o dzień 5 grudnia 1867 r., dzień, w którym na świat przyszedł Józef Piłsudski.

Teraz, gdy przypada 150. rocznica tego dnia, krytycy kultu Marszałka są nieporównanie aktywniejsi niż zwolennicy postaci, która – jak twierdzi Rafał A. Ziemkiewicz – „odzyskała Polskę, ale zniszczyła polskość". Mocne słowa, sugerujące, że Piłsudski przy swoich rozległych winach mógł wśliznąć się do polskiego panteonu tylko jakimś podstępem.

Skoro tak, to rocznica półtora wieku od urodzin Marszałka Polski jest dobrą okazją do próby odpowiedzi, dlaczego mimo wielu zarzutów pamięć o Piłsudskim jest tak powszechna. Czy fetowany jest wyłącznie jako „historyczny geniusz, który wszystko wiedział, wszystko przewidział, wszystkim genialnie pokierował"? A może mieszkańcy kraju na Wisłą kierują się czymś więcej niż tylko „lizusostwem" i „baranim pędem"?

Dlaczego jego legenda tak mocno trafia do Polaków?

KULT BEZ NARZUCANIA

Czas rozstrzyga siłę legend. A Polacy legendę Piłsudskiego „kupili". Widać do czegoś jest im potrzebna. Do czego?

Zacznijmy od konstatacji, że pamięć o Marszałku jest w większości oddolna. Owszem, na 5 grudnia zapowiedziano Zgromadzenie Narodowe i przemowę prezydenta, ale to wyraz kultu ogólnonarodowego, bez ścisłego związku z ideologią którejkolwiek partii. Przyznająca się do Marszałka Konfederacja Polski Niepodległej wyzionęła ducha ponad dwie dekady temu. W roli nowej sanacji obsadzany jest PiS, ale nie znam żadnych centralnych obchodów piłsudczykowskich tej partii. Jarosław Kaczyński może się wielu publicystom jawić jako „nowy naczelnik", ale nie sypie w swych przemówieniach cytatami z Marszałka ani nie spieszy z otwieraniem w polskich miastach alei Piłsudskiego, stadionów Piłsudskiego czy portów lotniczych jego imienia. Jeśli któremuś z najsłynniejszych polskich bliźniaków zdarzało się przyznawać do tradycji piłsudczykowskiej, to głównie nieżyjącemu już Lechowi. Owszem, PiS ma wrażliwość socjalną, ale AWS miała podobne cechy, a nikt jej „neopiłsudczyzną" nie nazywał. A IPN poza ogólnopolskim konkursem dla młodzieży o Piłsudskim nie jest jakoś specjalnie aktywny.

To pamięć dużej części narodu, ale bardzo określona.

Piłsudski nie funkcjonuje w zbiorowej pamięci ani jako socjalista, ani jako prawicowiec, ani nawet jako skuteczny przywódca z lat międzywojnia, ale jest symbolem odzyskania niepodległości. I zgodnej współpracy z liderami Narodowej Demokracji, ruchu ludowego i socjalistów w chwili nawały 1920 r. To dlatego najczęściej przywołuje się jego zdjęcia w prostym, szarym uniformie z 1918 r., a nie jego portrety w znacznie bogatszych mundurach z lat 30. I szanuje się go za wygraną z 1920 r., nie za Berezę czy proces brzeski.

Zbiorowa pamięć sprawnie odróżnia to, co ważne, wzniosłe, od tego, co kiepskie i kontrowersyjne. Jednak w wyborze pomaga malowniczość szczegółów. Zwycięski wódz ma większe szanse na pamięć niż mądry dyplomata – stąd przewaga legendy „Dziadka" nad Romanem Dmowskim.

Jednocześnie – co ciekawe – nikt po 1989 r. nie zrobił filmu o samym Piłsudskim. Owszem, mignął w filmie „1920. Bitwa Warszawska" czy w paru widowiskach telewizyjnych. Dwa poświęcone mu seriale – „Marszałek Piłsudski" z 2001 r. i „1920. Wojna i miłość" – nie odbiły się szerszym echem.

> **Powszechny kult Marszałka oznacza amnestię dla błędów. To nic nowego. W XIX w. z taką samą dozą dowolności czczono Tadeusza Kościuszkę**

Film „Legiony" w dużych bólach dopiero powstaje. A polemiki z książką „Złowrogi cień Marszałka" podjął się jeden Romuald Szeremietiew, ułatwiając zresztą sytuację autorowi przyznaniem się, że książki nie czytał.

Ten powszechny kult Marszałka oznacza też amnestię dla błędów. To również nic nowego.

Kiedyś z taką samą dozą dowolności czczono w XIX w. Tadeusza Kościuszkę czy ks. Józefa Poniatowskiego. Bez debat, czy Kościuszko postąpił honorowo, przyjmując uwolnienie z twierdzy z łaski cara Pawła za cenę przysięgi wiernopoddańczej. Tak samo nasi pradziadowie machnęli ręką na dyskusję, czy Poniatowski miał prawo pod naciskiem Napoleona wysyłać polskich żołnierzy na śmierć w odległej Hiszpanii. Bohater spełnia rolę symbolu i po iluś latach po jego śmierci wszyscy pamiętają tylko jego momenty chwały. A walkę z nadmiarem lukru zostawia się historykom.

PIŁSUDSKI PIĘKNY

Można setki razy zżymać się na siłę legendy, ale rzadko kiedy daje się ją zbudować na kimś, kto nie miał rzeczywistych zalet.

Stanisław Cat-Mackiewicz w swojej książce „Był bal" zaprotestował kiedyś przeciw porównywaniu Napoleona do Hitlera. Jak pisał: „Owszem, Napoleon też podbijał państwa, okupował Europę, stawiał interes Francji ponad wolę narodów". Jednak, jak wskazywał Mackiewicz, jest bardzo istotna różnica. Hitler był plugawy, a Napoleon był piękny. Potrafił obok brutalnej siły militarnej poruszyć uczucia patriotyzmu, wielkości i zdrowego rozsądku, które sprawiały, że nawet wielu jego adwersarzy nie odmawiało mu wielkości. Z Piłsudskim też tak jest. Kojarzy ze sobą pragnienie niepodległości Polski i niezgodę na tchórzostwo oraz prywatę ubraną w realizm i hasło pracy u podstaw.

W ocenie Piłsudskiego jego krytycy na zasadzie przekory zbyt idealizują ugodowców. Było wśród nich nieco patriotów, ale było też wielu „użytecznych idiotów".

Można sypać tytułami profesorskimi znanych ugodowców, stańczyków i lojalistów. Nie zrobi to na mnie wrażenia. Mam za sobą doświadczenie Okrągłego Stołu i pierwszych lat III RP, kiedy to siwe głowy z piękną, wojenną przeszłością firmowały bez żadnych rozterek najbardziej wstrętne scenariusze dogadywania się z Kiszczakiem i Jaruzelskim.

Podejrzewam, że gdyby ład Berlina i Wiednia z lat I wojny światowej trwał na ziemiach polskich przez lata, lojaliści ugrzęźliby w rozmaitych radach regencyjnych i grach na wyniesienie Karola Habsburga na księcia Polski. Jak bardzo się z nimi nie liczono, pokazuje traktat brzeski z 1918 r., kiedy to Austria lekką ręką oddała Ukrainie Chełmszczyznę w zamian za zboże.

Piłsudski bywał politycznym ryzykantem, niekiedy ocierał się o awanturnictwo, ale walczył o niepodległość. I zrealizował

eprasa.pl 13086b07b7

ten cel, wypełniając przy okazji testament pomszczenia powstańców styczniowych, w których kulcie wychowała go matka.

Nie był w stanie uratować Polski przed katastrofą końca lat 30. Jednak nikt w naszej strefie geograficznej tego nie potrafił.

Legenda 1920 r. nie pozwalała oddać Gdańska Hitlerowi. Jednak inna legenda – oporu antyniemieckiego – nie pozwoliłaby podjąć takich kroków endekom, gdyby w 1939 r. byli u władzy.

Zarzuca się Piłsudskiemu, że nie wychował godnych następców. To prawda, ale był to problem nie tylko polski. Czeski prezydent Tomáš Masaryk namaścił na następcę przeciętniaka Edvarda Beneša, a wielcy zwycięscy marszałkowie Francji – Ferdinand Foch i Joseph Joffre – nie zwiastowali nędzy Philippe'a Pétaina.

Nie było wtedy w Europie mądrych na agresję Hitlera i rozpad ładu wersalskiego wobec paraliżu Francji oraz Wielkiej Brytanii.

ROZLICZENIA SPÓŹNIONE O PÓŁ WIEKU

Powróćmy teraz do obecnej fali rozrachunków z Piłsudskim. Dlaczego te wykłady, pełne bardzo daleko posuniętej pasji demaskatorskiej, nie zmieniają masowego wyobrażenia o Marszałku?

Dlatego, że spóźniły się o około pół wieku. Pisałem już, że upływ czasu wymywa niegdyś gorące kontrowersje.

Odbrązawiacze Piłsudskiego spóźnili się ze swymi zarzutami – choć nie ze swojej winy. Był na to czas 10–20 lat po wojnie. Ten czas został zagarnięty przez wojnę, a potem przez zamrażarkę PRL.

Gdyby nie zagłada II RP, pewnie doszłoby w końcu do odsunięcia od władzy marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza i generacji legionowych pułkowników. Nie wiadomo, czy nastąpiłoby to w 1946 czy góra 1955 r. I wtedy jakaś specjalna komisja sejmowa złożona z ludowców, chadeków, socjalistów i endeków badałaby okoliczności śmierci gen. Włodzimierza Zagórskiego i to, kto wybił oko Adolfowi Nowaczyńskiemu. Może nawet odkryto by nieznane nam ofiary? W Berezie Kartuskiej można by było urządzić takie same muzeum, jakie dzisiaj turyści mogą zwiedzać w Lizbonie, w więzieniu PIDE – tajnej policji Antónia de Oliveirę Salazara. Jednak los potoczył się inaczej.

W szarzyźnie Polski Ludowej Marszałek stał się wspomnieniem niepodległej, przedwojennej Polski. Potem – w latach 70. i 80. – hasło odzyskania niepodległości spod sowieckiej kontroli uczyniło z Komendanta idealnego bohatera. A okres po 1989 r. był już tylko dojściem do władzy ludzi, którzy wychowali się na sylwetce Piłsudskiego. Był tak uniwersalny, że pasował zarówno lewicy laickiej, jak i prawicy.

Spyta ktoś: Dlaczego on, a nie inni dowódcy? Dlaczego nie Józef Haller, Roman Dmowski, Ignacy Paderewski, Wincenty Witos, Wojciech Korfanty czy Ignacy Daszyński?

Zacznijmy od wojskowych. Czy obóz narodowców czcząc Romana Dmowskiego – polityka i człowieka unikającego wojennego munduru – sam nie miał apetytu na własnego wodza? Owszem, miał. Próbowano w tę rolę wcisnąć gen. Józefa Hallera i w mniejszym stopniu gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego. Nie udało się, bo obaj mieli różne słabości i znacznie mniejszą charyzmę.

A teraz przypatrzmy się okresowi lat 1918–1922. Pięć lat wcześniej, w 1913 r., Piłsudski wcale nie miał uprzywilejowanej pozycji, aby aspirować do roli wodza naczelnego w razie wojny o wolną Polskę. Jednak wyczuł, że wielka wojna nadejdzie i najwięcej zdziałać może synteza polityka oraz wojskowego. Dlatego zamienił cywilny strój konspiratora na uniform strzelca, a potem zaczął dowodzić Pierwszą Brygadą. Dmowski wzruszał na to ramionami i śmieszyły go pewnie wtedy te przebieranki. Można do woli kpić z przeceniania bitwy pod Kostiuchnówką, ale nauczyła ona Komendanta, jak walczyć w 1920 r. Można przypominać, że gen. Władysław Sikorski i Juliusz Leo faktycznie stworzyli Legiony, ale to w Pierwszej Brygadzie powstał zwarty team oficerski, który w czasie wojny o polskie granice w latach 1918–1922 był bezcenny.

> **W szarzyźnie Polski Ludowej** Marszałek stał się wspomnieniem niepodległej, przedwojennej Polski

W kluczowym momencie, w 1918 r., to wojskowe umiejętności były w cenie i to Piłsudskiego, a nie Dmowskiego wybrano na naczelnika państwa.

Na dzieje historycznych legend składają się niekiedy drobiazgi. Ot, choćby np. popularność i łatwość wpadania w ucho skocznych piłsudczykowskich pieśni typu „My Pierwsza Brygada". Wiem, usłyszę zaraz, że wbiła ją Polakom w głowę propagandowa maszyneria sanacyjna w latach 30. Czy jednak endecy mieli równie skoczne pieśni budujące ich tożsamość?

Piłsudski potrafił wykreować swoją legendę. A narodowcom szło to znacznie gorzej.

A teraz porównajmy Marszałka z Paderewskim, Dmowskim i Korfantym.

Paderewski nie miał duszy polityka i był użyteczny tylko z racji swych amerykańskich koneksji. Korfanty jest godzien najwyższego szacunku, ale był liderem lokalnym, śląskim. Pozostaje Dmowski. Prawda jest taka, że zawiódł on jako skuteczny lider. Nie wywalczył władzy w latach 1920–1926, a potem nie był w stanie zatrzymać zamachu stanu. Być może decydujący wpływ na taki rozwój wydarzeń miało załamanie zdrowotne po 1921 r. Także potem Dmowski nie zbudował jednej silnej partii opozycji wobec sanacji i tylko jako widz przyglądał się sporom „starych" endeków z „młodymi".

I wreszcie ostatni argument na rzecz odbrązawiania Piłsudskiego – wpływ sanacyjnych wzorców na PiS.

Czy model jednego dominującego lidera to tylko cecha PiS? A jak wyglądała Platforma pod rządami Donalda Tuska? W jaki sposób rządzi niemiecką chadecją Angela Merkel? Jak dyryguje swoim ugrupowaniem Emmanuel Macron? Czy to znaczy, że kanclerze Niemiec i prezydent Francji wychowali się na legendzie Piłsudskiego? Inny zarzut to rzekome podobieństwo legionowej sitwy z „zakonem PiS" przy obsadzaniu stanowisk w państwie. W sąsiednich Czechach i na Słowacji podobne skargi są na „chłopców Roberta Fico", a od niedawna na nominatów Andreja Babiša. We Francji od dziesięcioleci narzeka się, że składy zarządów firm państwowych ustala się na spotkaniach lóż masońskich. Czy to też są ludzie, na których padł „złowrogi cień Marszałka"?

Piłsudczyzna miała swoje patologie i nikt ich nie broni. Jednak dziś wygrzebywanie argumentów z przedwojennych pism do wyjaśniania aktualnej polityki jakoś mnie nie przekonuje. I dlatego właśnie 150. urodziny Józefa Piłsudskiego spędzę, myśląc o nim jako o pięknym symbolu, a nie demiurgu polityki dobrej zmiany. Kimś, kogo przyjście na świat w podwileńskim Żułowie być może było największym polskim wydarzeniem XIX w.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13086b07b7

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Piekło Sołówek

Zdecydowana większość wspomnień łagrowych pochodzi z lat 30. A więc okresu wielkiego terroru, gdy Stalin za druty wpakował wielu swoich towarzyszy z partii komunistycznej. Po 1956 r. pisali oni książki o „błędach" dyktatora, który miał „wypaczyć" rzekomo piękną ideę Marksa i Lenina.

Jako antykomunista – a nie antystalinista – podobne książki uważam za bałamutne i szkodliwe. Dlatego też bardzo się ucieszyłem, gdy na naszym rynku wreszcie pojawiły się głośne wspomnienia Borysa Szyriajewa.

Szyriajew nie był bolszewikiem, tylko wrogiem bolszewizmu. A w obozie zamknięto go nie w 1937 r., ale już na początku lat 20. Za nielegalną próbę przekroczenia granicy sowieckiej Rosji zamknięto go na słynnych Wyspach Sołowieckich. W pierwszym łagrze bolszewików.

„W pierwszej połowie lat 20. – pisze Szyriajew – do czasu ustabilizowania się systemu obozu koncentracyjnego na Sołówkach nie było ani jednego więźnia, który miałby w sposób prawomocny, nawet według sowieckiego prawa, udowodnioną winę. Katorżnicy wszystkich kategorii, od zwykłego kryminalisty do najwyższego hierarchy Kościoła, zostali zesłani tu z pominięciem sądów. Jedynie na podstawie decyzji OGPU".

Co więcej, zarówno funkcjonariusze bezpieki, jak i ich ofiary doskonale wiedzieli, że wszystkie zarzuty stawiane uwięzionym to „lipa". A do łagru trafiają całkowicie niewinni ludzie. Mimo to więźniowie byli traktowani jak najgorsi zbrodniarze. Zmuszano ich do katorżniczej pracy, bito, głodzono, rozstrzeliwano.

Wszystko dlatego, że jako przedstawiciele starego reżimu nie pasowali do nowych, wspaniałych czasów. Na Sołówkach siedzieli duchowni, byli carscy oficerowie i urzędnicy. Kupcy i pisarze. Każda próba ucieczki była karana śmiercią.

Gdy autor wyszedł po 10 latach na wolność, komuniści nie dali mu spokoju. Przeszedł przez kolejne aresztowania, kolejne obozy. Jego los odmienił się dopiero po wkroczeniu Niemców.

Szyriajew rozpoczął działalność antybolszewicką, wydawał gazetę. Niestety, nadzieje pokładane w Niemcach się nie sprawdziły. Front się załamał, bolszewicy przeszli do kontrofensywy i autor wspomnień musiał wyjechać do Berlina. Zmarł w 1959 r. w San Remo we Włoszech. Do końca pozostał nieprzejednanym antykomunistą. Co za ciekawe życie, co za ciekawa książka. ©℗

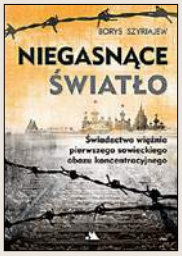

★★★★★★

BORYS SZYRIAJEW „NIEGASNĄCE ŚWIATŁO" WYDAWNICTWO AA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wieszcz bez egzaminu

Jesienią 1825 r. Adam Mickiewicz dostał polecenie wyjazdu z Odessy do Moskwy, którą wyznaczono mu na nowe miejsce osiedlenia. Podczas podróży dotarła do niego informacja o śmierci cara Aleksandra I (1 grudnia 1825 r.), a potem o krwawo stłumionym powstaniu dekabrystów. Więzienia zapełniły się uczestnikami sprzysiężenia, za Ural powędrowali zesłańcy, a przywódcy rebelii stanęli przed sądem. Pół roku później pięciu z nich powieszono (wśród nich był dobry znajomy Adama z Petersburga – poeta Konrad Rylejew). Pamięci dekabrystów wieszcz poświęcił przejmujący wiersz z III części „Dziadów" – „Do przyjaciół Moskali".

Pobyt w Odessie uratował poetę przed aresztowaniem

Uczciwie trzeba jednak przyznać, że po raz kolejny Opatrzność czuwała nad Adamem i polską literaturą – pobyt w Odessie uratował poetę przed aresztowaniem. Carska policja zatrzymywała niemal każdego podejrzewanego o kontakty z dekabrystami, a zesłaniec z Wilna zapewne wzbudziłby zainteresowanie. Był jednak wówczas daleko i po przybyciu do Moskwy mógł spokojnie zgłosić się do kancelarii generała – gubernatora miasta, księcia Dymitra Golicyna. Został zaklasyfikowany jako urzędnik XII rangi, a chociaż nie było wolnych etatów, otrzymywał jednak część wynagrodzenia. Nie przeszkadzało mu to jednak jak zwykle użalać się na sytuację finansową i oczekiwać należności za wydane wcześniej tomiki poezji:

„Tam [w Odessie – przyp. S.K.] żyłem jak basza – narzekał w liście do przyjaciół z Wilna – tu jak ostatni janczar. Nie mam osobnej kwatery, stół najlichszy, wina nie słychać, kawy nawet dobrej nie ma. Nadzieja poprawy jest w waszych obrotach bankowych".

Niepokój Mickiewicza wzbudzał także fakt, że urzędnicy kancelarii księcia Golicyna wysłali do Wilna zapytanie o kwalifikacje poety (chodziło o potwierdzenie faktu ukończenia studiów). Wprawdzie wieszcz nie obronił pracy magisterskiej, ale twierdził, że zdał wszystkie wymagane egzaminy. Nie było to prawdą, gdyż brakowało mu egzaminu z drugiego roku zajęć (z algebry), i gdyby sprawa wyszła na jaw, nie otrzymałby zaszeregowania w kancelarii gubernatora. Na szczęście bałagan na Uniwersytecie Wileńskim dorównywał współczesnym nam porządkom na polskich uczelniach. Nie odnaleziono śladu brakującego egzaminu i nic nie stało na przeszkodzie, aby został „czynownikiem XII rangi". Jak widać, pewne tradycje akademickie nie uległy zmianie przez półtora wieku, a niemal każdy, kto miał przyjemność studiować w latach 80. (np. na Uniwersytecie Warszawskim, jak niżej podpisany), może to potwierdzić. ©℗

eprasa.pl 13086b07b7

Sebastian Ligarski

Ogłaszając referendum, władze liczyły na poparcie społeczeństwa dla zmian gospodarczych i ustrojowych. Nie przewidziały jednak zachowań ludzi i lokalnych uwarunkowań w pierwszych od 40 lat prawdziwie tajnych wyborach

Spektakularna porażka władz PRL

Z powodu narastającego kryzysu gospodarczego władze, szukając dróg wyjścia z trudnej sytuacji ekonomicznej, propagowały wśród Polaków politykę II etapu reformy gospodarczej. Dla legitymizacji tej drogi postanowiono odwołać się do głosu społeczeństwa. Ogłoszono więc referendum, w którym zadano dwa pytania dotyczące reformy gospodarczej:

1. Czy jesteś za pełną realizacją przedstawionego Sejmowi programu radykalnego uzdrowienia gospodarki, zmierzającego do wyraźnego poprawienia warunków życia, wiedząc, że wymaga to przejścia przez trudny dwu-, trzyletni okres szybkich zmian?

2. Czy opowiadasz się za polskim modelem głębokiej demokratyzacji życia politycznego, której celem jest umocnienie samorządności, rozszerzenie praw obywateli i zwiększenie ich uczestnictwa w rządzeniu krajem?

INNE OBLICZE PARTII?

Według Pawła Kowala miało ono charakter demonstracji politycznej i próby uzyskania alibi dla dalszych działań rządu Zbigniewa Messnera. On sam twierdził po latach, że był to tragiczny pomysł gen. Wojciecha Jaruzelskiego, który godził w przygotowany przez jego rząd projekt reform. Czarę goryczy przelała ustawa zatwierdzona przez Sejm, która wymagała uzyskania ponad połowy głosów wszystkich uprawnionych, a nie głosujących, co według Messnera z góry skazane było na porażkę. Podobne odczucia miał Władysław Baka, stojący wtedy na czele Narodowego Banku Polskiego, członek Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa.

Projekt referendum wpisywał się w szeroko pojętą i realizowaną przez Jaruzelskiego koncepcję konsultacji społecznych, które miały pokazać inne oblicze partii: otwartej, słuchającej i włączającej społeczeństwo w proces podejmowania najważniejszych decyzji. Postulaty organizacji referendum wysuwano już od lipca 1984 r. W październiku 1986 r. członek Grupy Operacyjno-Sztabowej Szefa Służby Bezpieczeństwa, mjr Wojciech Garstka, proponował przeprowadzenie takowego, a jego celem miało być de facto ośmieszenie przeciwnika politycznego. Do tej koncepcji powrócono we wrześniu 1987 r. w analizie przygotowanej przez Zespół Analiz MSW, wskazując, że jedynym doświadczeniem referendalnym w PRL był czerwiec 1946 r. i oparcie się na nim było niezbędne do przeprowadzenia tego aktu w 1987 r. Proponowane rozwiązania miały doprowadzić do osiągnięcia celu, jakim były legitymizacja władzy, ożywienie atmosfery społecznej i politycznej, uwiarygodnienie polityki demokratyzacji życia publicznego oraz uzyskanie „znaczących efektów psychologiczno-propagandowych w postaci odpowiedniego wysokiego procentu społecznego wspierającego działania władz".

Zwracano uwagę, że należało się do tego referendum przygotować nie tylko propagandowo, lecz także merytorycznie, np. poprzez odpowiedni zestaw pytań. Te ostatnie, jak przypuszczał Messner, zostały przygotowane przez Edwarda Szymańskiego, kierownika Biura Spraw Sejmowych KC PZPR.

„REFERENDUM I ODNOWA"

Problem referendum wysuwany był też przez tzw. zespół trzech (Jerzy Urban, Stanisław Ciosek, Władysław Pożoga), tyle tylko że miałoby ono dotyczyć spraw ustrojowych (wprowadzenie drugiej izby parlamentu, urzędu prezydenta), nie zaś gospodarczych. Jaruzelski i Biuro Poli-

eprasa.pl 13086b07b7

Zbigniew Messner (z lewej) i gen. Wojciech Jaruzelski (w środku), 1 maja 1988 r.

FOT. MACIEJ BILLEWICZ/PAP

tyczne postąpili jednak inaczej. Trzeba również pamiętać, że wprowadzenie idei referendum oznaczało zmianę konstytucji. Podczas dwóch posiedzeń Sejmu w marcu i maju tego roku sprawa ta była przedmiotem rozważań posłów, a ich wynikiem – zmiana ustawy zasadniczej 6 maja 1987 r.

Dodano do niej art. 2 ust. 3 o następującej treści: „Sprawowanie władzy przez lud pracujący następuje także poprzez wyrażenie woli w drodze referendum. Zasady i tryb przeprowadzania referendum określa ustawa". Jak pisał Paweł Fiktus: „Z wykładni art. 2 konstytucji jednoznacznie wynikało, że podstawową formą sprawowania władzy jest forma przedstawicielska (Sejm i rady narodowe), uzupełniana formą bezpośrednią, jaką jest referendum". Oczywiście władze przeprowadziły szeroką akcję propagandową w postaci wieloformatowych instalacji, plakatów, afiszy, spotów reklamowych, artykułów prasowych oraz propagowania chwytliwego hasła w stylu: „Zapamiętaj te dwa słowa: referendum i odnowa".

Przewidując wyniki referendum, frekwencję oraz jego wynik dla władz, w tym konsekwencje polityczne, wizerunkowe, propagandowe i gospodarcze, nigdzie nie formułowano jakiejkolwiek przesłanki dotyczącej manipulacji przy referendum. W rozmowach z władzami kościelnymi Stanisław Ciosek i Kazimierz Barcikowski dosyć dokładnie prognozowali frekwencję wyborczą na ok. 68 proc. (była 67,3 proc.). Władza, ustanawiając jednak zasadę uzyskania ponad połowy głosów wszystkich uprawnionych do głosowania, sama doprowadziła do jego fiaska. Ogłoszone wyniki liczące wszystkich uprawnionych do głosowania mówiły o 44-procentowym poparciu dla pierwszego pytania oraz 46-procentowym poparciu dla drugiego, (było to odpowiednio 66,04 proc. i 69,03 proc. oddanych głosów) co spowodowało, że owych 11 mln ludzi popierających władze nie wystarczyło do wygranej.

Przegrane referendum było zaskoczeniem dla władz. Kazimierz Cypryniak, referując wyniki referendum, podkreślał duże różnice lokalne. Starał się na chłodno analizować sytuację i wyciągać z niej wnioski, szukając przyczyn porażki w sformułowanych pytaniach oraz postawach społecznych, często trudnych do zdefiniowania dla władz partyjnych.

Interesująco przedstawiał się wywód Cypryniaka odwołujący się do wcześniejszych doświadczeń z głosowań. Referent stwierdzał, że we wcześniejszych wyborach ludzie głosowali stereotypowo, wrzucając tylko kartę do urny, w dodatku bez skreśleń. Gdy musieli wybrać, okazało się, że zachowali się zupełnie inaczej, niż przewidywano w prognozach. W dodatku uwidoczniło się silne zróżnicowanie lokalne, na które wpływ miały miejscowe czynniki, np. braki paliwa czy opału. Według niego potwierdziły się dane o frekwencji, natomiast nie o zachowaniach i wyborach społeczeństwa, co musiało zaowocować zmianami w metodologii badań.

W dyskursie o fałszerstwach wyborczych niezwykle ciekawie brzmiała uwaga wypowiedziana przez Jaruzelskiego. I sekretarz KC PZPR stwierdził, że: „Przecież, towarzysze, wynik jest nieporównywalny z jakimkolwiek innym głosowaniem na przestrzeni czterdziestolecia. Przecież to jest pierwsze głosowanie w pełni tajne. Kiedy każdy musiał wchodzić do kabin. W tym sensie było ono tajne, myśmy faktycznie do tych kabin zmuszali". Jaruzelski w tym zdaniu podważył prawdziwość wszystkich dotychczasowych wyborów, negując nie tylko ich wyniki, lecz także sam przebieg tych aktów. Skonfundowany, zdając sobie sprawę z tego, co powiedział, natychmiast się poprawił i zaczął tłumaczyć, co miał na myśli, wskazując, że wcześniejsze wybory nie były tajne, gdyż niewiele osób z kabin korzystało, bo nie miało po co. Tym samym I sekretarz przyznał, że wcześniejsze wybory (jak mniemam jednak: w domyśle do 1980 r.) były sfałszowane.

CZAS NA USTĘPSTWA

Dalsza dyskusja na tym posiedzeniu Biura Politycznego była nie mniej interesująca. Marian Woźniak proponował opublikować wyniki dla Polski bez podziału na województwa. Z jego opinią nie zgadzał się Kazimierz Barcikowski, dowodząc, że partia obiecała dziennikarzom wyniki również z podziałem na województwa. Mieczysław F. Rakowski w swoim dzienniku pominął kwestię, którą podniósł na Biurze Politycznym, a mianowicie wyeksponowania w mediach tajności głosowania jako zdobyczy demokratyzacji życia politycznego w Polsce. Nawiasem mówiąc, dla badaczy propagandy dyskusja na tym posiedzeniu Biura Politycznego zawiera wręcz modelowe rozwiązania, które zamierzano wprowadzić, aby zdyskontować wyniki referendum.

Na posiedzeniu Rady Państwa 18 grudnia 1987 r. Jaruzelski, powracając do wyników referendum, raz jeszcze podkreślał, że miało ono stanowić o dalszym poszerzaniu demokratyzacji procedury wyborczej w Polsce, Aleksander Legatowicz zwracał zaś uwagę, że było ono „dodatkową formą uwiarygodniania władz". Nie od rzeczy zapewne było to, że referendum odbywało się w toku kontaktów dyplomatycznych z USA (we wrześniu 1987 r. z wizytą w Polsce przebywał George Bush) i dyskusji o zniesieniu sankcji gospodarczych. Sygnały reorientacji polityki zagranicznej wysłane były także do innych państw zachodnich. Gospodarka wymagała reanimacji za cenę ustępstw.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13086b07b7

Teresa Stylińska

W rankingu zadowolenia z życia Finowie są na drugim miejscu w Europie i piątym w świecie. Aż trudno uwierzyć, że kraj ten powstał zaledwie 100 lat temu

Musimy stać się

Finowie kochają przyrodę, a prawdziwe umiłowanie natury dochodzi do głosu nawet w takich sytuacjach, które nie mają z nią nic wspólnego. Nie powinno więc dziwić, że stulecie powstania swego kraju uczcili powołaniem do życia nowego, 40. już parku narodowego – położonego w Północnej Ostrobotni parku Hossa, oazy lasów i jezior.

To niekonwencjonalny sposób świętowania wielkiej rocznicy, dalece wykraczający poza zwyczajne przy takich okazjach wystawy i prelekcje czy też nawet stawianie budowli „ku czci" – czego sztandarowymi przykładami są wieża Eiffla z 1889 r. czy otwarta równo 100 lat później Opéra Bastille. Czym jednak jest natura bez ludzi doceniających jej piękno? „Wątpię, by wielu z nas spędziło kiedyś noc w igloo czy na własne oczy ujrzało dzika w lesie" – dowodził minister gospodarki Mika Lintilä. Jego resort namawia Finów, by 100-lecie niepodległości zechcieli uczcić spędzaniem wakacji w kraju, a nie za granicą. „Jeśli każdy Fin choć raz wyruszy w podróż po kraju, to zyskamy 800 mln euro i 7 tys. miejsc pracy" – podkreśla minister.

Prezydent Sauli Niinistö ma do rodaków inne przesłanie czy też raczej prośbę. Pragnie, jak to wyłuszczył w orędziu do narodu u progu obecnego roku, by rocznicy przyświecały dwie idee: „rozsądnej odpowiedzialności", przynajmniej za samego siebie, i „pomocy dla innych", bo „każdemu dobrze będzie się wiodło, jeżeli innym nie będzie źle".

Niewiele brakowało, by Finlandia w prezencie urodzinowym otrzymała dar iście królewski. To góra Halti, której zboczem biegnie granica z Norwegią. W Norwegii bowiem pojawił się pomysł, by granicę przesunąć ok. 200 metrów na zachód, tak by niższy z wierzchołków Halti, o wysokości 1331 metrów, znalazł się na terenie Finlandii. W ten sposób zyskałaby ona nowy najwyższy punkt i w dodatku byłby to szczyt, a nie – tak jak teraz – zwykła linia na zboczu. Niestety, dobra wola władz lokalnych i rządu w Oslo przegrała z zawartym w konstytucji stwierdzeniem, że „Norwega jest niepodzielna". Dobre wrażenie jednak pozostało.

WEJŚCIE W NIEZNANE

Finlandia to przypadek szczególny. Nie odrodziła się bowiem, nie odzyskała utraconej przed wiekami państwowości tak jak zdecydowana większość państw, które powstały w następstwie I wojny światowej lub jeszcze przed jej wybuchem – tak jak Norwegia, Polska, Węgry czy Czechosłowacja, spadkobierczyni królestwa czeskiego. Finlandia nie mogła się odrodzić z tej prostej przyczyny, że nigdy wcześniej państwo fińskie nie istniało. 6 grudnia 1917 r., gdy parlament w Helsinkach proklamował powstanie suwerennego państwa fińskiego, był więc w istocie wejściem w nieznane.

Finowie przez wieki żyli pod rządami Szwecji jako jej odległa, wschodnia prowincja. W 1809 r. na ponad 100 lat przeszli pod władzę Rosji, stając się Wielkim Księstwem Finlandii. Carowie potraktowali Finów łaskawie, bo księstwo szybko otrzymało autonomię i cieszyło się sporą swobodą. To władze rosyjskie zdecydowały, że język fiński został wprowadzony do użycia w sferze publicznej na równi ze szwedzkim i z rosyjskim. Rosjanie z tamtych czasów nie pozostawili po sobie najgorszej pamięci, skoro do dziś w centrum Helsinek stoi pomnik cara Aleksandra II. Jego obecność nie budzi sprzeciwu – w Polsce rzecz nie do pomyślenia.

Faktem jest, że Finowie nie przysparzali Rosji większych kłopotów. Nie wzniecali buntów, koncentrowali się na swoich sprawach. U progu niepodległości z terenu Finlandii usunięto wprawdzie rosyjskich żołnierzy, ale ze strony młodego państwa było to działanie oczywiste. Prawdziwa wojna, która przeszła do historii pod nazwą wojny zimowej, wybuchła ponad 20 lat później, w listopadzie 1939 r. W starciu z sowiecką potęgą opór, jaki stawiła mała armia fińska pod dowództwem marszałka Mannerheima, wzbudził podziw świata.

Wśród ojców niepodległej Finlandii najważniejszy jest właśnie Carl Gustaf Emil Mannerheim – potomek szwedzkiej rodziny, carski generał, dowódca wojsk nowego państwa. Gdy w 2004 r. widzowie publicznej telewizji YLE wybierali 100 Finów wszech czasów, Mannerheim zajął pierwsze miejsce i dla wszystkich było to oczywiste. Dla Finów Mannerheim jest tym, kim Piłsudski dla nas czy Atatürk dla Turków. Analogie między tą trójką są zresztą bardzo wyraźne: wszyscy trzej

eprasa.pl 13086b07b7

FOT. ZUMA/FORUM

Finami

potrafili zarówno budować swe państwa, jak i skutecznie ich bronić.

NA WYŻYNACH

Podsumowania rocznicowe niosą ze sobą, oprócz oczywistej dumy, nutę nieskrywanego zdumienia. Jak to możliwe, że mały, zaledwie pięciomilionowy naród, któremu los przydzielił odległe miejsce na Ziemi i trudny, surowy klimat, naród ludzi biednych, żyjących wśród lasów, w ciągu zaledwie 100 lat przebył trudną drogę od biedy do bogactwa? Jak mógł odnieść sukces tak spektakularny, i to na każdym właściwie polu?

Z okazji 100-lecia narodowy urząd statystyczny pokusił się o podsumowanie, jak wypada Finlandia w analizach 41 światowych ośrodków i organizacji – od OECD, Eurostatu i UNICEF, przez Uniwersytet Harvarda, do Transparency International. I okazało się, że Finlandia pod każdym względem jest w ścisłej czołówce, nierzadko na czele. Jest najbardziej stabilna, najbezpieczniejsza, zielona (w sensie dosłownym i przenośnym), najmniej skorumpowana (drugie miejsce), najlepsza dla dzieci i kobiet, ma też najlepsze szkolnictwo podstawowe, największą wolność prasy i stolicę prawdziwie dla ludzi. W dodatku Finowie darzą zaufaniem nie tylko instytucje swego państwa, lecz także siebie wzajemnie. Nic dziwnego, że w rankingu zadowolenia z życia są na drugim miejscu w Europie i piątym w świecie. Ani długa zima, ani niedostatek słońca nie stoją temu na przeszkodzie.

Finlandia wspięła się na wyżyny, choć ma mały potencjał terytorialny oraz demograficzny i nie posiada złóż cennych surowców. Jedynym jej prawdziwym bogactwem naturalnym są nieprzebrane lasy, dzięki którym stała się potentatem w przemyśle papierniczym. Dostatku nie oparto też na pracy imigrantów, bo Finlandia zawsze prowadziła bardzo restrykcyjną politykę imigracyjną. Gdzie zatem szukać źródeł sukcesu?

Do Finów jak ulał pasuje powiedzenie, że „cierpliwością i pracą...". Do tego należałoby dorzucić powszechność edukacji. Prezydent Sauli Niinistö uważa też, że prawdziwą receptą na sukces było wyzwolenie kobiet, ich dostęp do oświaty, pracy i działania na niwie publicznej. Finki otrzymały pełne prawa wyborcze jako pierwsze na świecie, już w 1906 r., za czasów Wielkiego Księstwa.

Dodałabym do tego pragmatyzm. To bardzo istotna cecha, widoczna w podejściu Finów do spraw wielkich i małych. Właśnie pragmatyzm sprawił, że Finowie potrafili ułożyć sobie stosunki ze Związkiem Sowieckim mimo dwóch stoczonych z nim wojen i poniesionych strat terytorialnych: Karelii, której miejsce w fińskiej historii i kulturze da się porównać z miejscem Krakowa w Polsce, i Pieczengi na północy. Termin „finlandyzacja" na określenie układu, w którym Finlandia zachowuje sporą niezależność w sprawach wewnętrznych za cenę respektowania wymogów ZSRS w polityce zagranicznej, to wkład Finlandii w język polityki.

POD HASŁEM „RAZEM"

Wspomniany konkurs telewizji pokazuje zresztą czarno na białym, jak wielką wagę przywiązują Finowie do państwa i jak bardzo cenią tych, którzy najwięcej dla niego zrobili. Drugie miejsce za Mannerheimem zajął Risto Ryti, premier w trudnym okresie wojny zimowej i wojny kontynuacyjnej. Był najwyżej postawioną osobistością w gronie ośmiu przedstawicieli władz, którzy – jako „odpowiedzialni za wojnę" (tak to określono, choć to ZSRS napadł na Finlandię) – w 1945 r. stanęli przed sądem. Ryti otrzymał wyrok najwyższy – 10 lat więzienia, odsiedział cztery. Trzeci był prezydent Urho Kekkonen, ucieleśnienie idei finlandyzacji, czwarty – gen. Adolf Ehrnrooth, dowódca pułku podczas wojny zimowej i prawdziwy obrońca weteranów w czasach, gdy wielu fińskich polityków najchętniej zapomniałoby o ich istnieniu.

Trudno nie dostrzec, że do narodzin Finlandii w ogromnej mierze przyczynili się przedstawiciele szwedzkiej mniejszości, poczynając od samego Mannerheima. Szwedzkojęzycznych Finów, jak się ich określa, jest zaledwie 300 tys., nieco ponad 5 proc. ogółu ludności, ale ich prawa to niedościgniony wzór dla reszty świata, a wkład w rozwój i kulturę Finlandii – nieproporcjonalnie duży. Z mniejszości szwedzkiej, która od wieków zamieszkiwała południowy wschód kraju, wokół miasta Turku, dawniej Abo, wywodzili się m.in. kompozytor Jean Sibelius, autorka „Muminków" Tove Jansson i prezydent Juho Kusti Paasikivi, twórca finlandyzacji, który przyszedł na świat jako Johan Gustaf Hellsten.

Gdyby nie świadomość i starania fińskich Szwedów, to – jak zauważył publicysta Janne Stang – „dzisiaj wszyscy mówilibyśmy po rosyjsku". To Szwedzi, jako ówczesna elita, zamożna i lepiej wykształcona od Finów, w pierwszej połowie XIX w. zainicjowali fiński ruch narodowy. Powrót pod władzę Szwecji był niemożliwy, a zakusy Rosji, która nie rezygnowała z mocniejszego podporządkowania Finlandii, nie do przyjęcia. Co należało zrobić? Właściwą drogę lapidarnie ujął pisarz Adolf Ivar Arwidsson: „Szwedami już nie jesteśmy, Rosjanami być nie chcemy, bądźmy zatem Finami".

To oczywiście nie znaczy, że stosunki między Finami i Szwedami zawsze układały się gładko. Wraz z powstaniem państwa nastąpiła eksplozja przywiązania do wszystkiego, co fińskie, a to nie wszystkim Szwedom się podobało. Już wcześniej zresztą wielu z nich miało poczucie, że uwolnili siły, nad którymi nie są w stanie zapanować. Dochodziło więc do sporów i konfliktów, a nawet starć ulicznych. Szwedów i Finów pogodziły dopiero wojna zimowa i walka ze wspólnym wrogiem.

Tak przynajmniej, według Janne Stranga, głosi wspólny narodowy mit. Co doskonale wpisuje się w obchody 100-lecia. Hasło, które im przyświeca, głosi bowiem jasno: „Razem".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13086b07b7

Janusz Waluś podczas składania zeznań przed Komisją Prawdy i Pojednania w 1997 r.
FOT. REUTERS/FORUM

Z Michałem Zichlarzem, autorem książki „Zabić Haniego. Historia Janusza Walusia"
rozmawia Piotr Włoczyk

Sprawa Walusia jest polityczna

PIOTR WŁOCZYK: Czy Janusz Waluś, Polak, który ćwierć wieku temu niemal wywołał wojnę domową w RPA, ma szansę kiedykolwiek wyjść na wolność?

MICHAŁ ZICHLARZ: Trudne pytanie. Janusz Waluś, który w 1981 r. wyemigrował do RPA, a od 1993 r. odbywa tam karę dożywocia, spełnia kryteria niezbędne do warunkowego zwolnienia. Półtora roku temu orzekł tak południowoafrykański sąd. Tymczasem na początku listopada okazało się, że minister sprawiedliwości RPA odrzucił jego podanie. Ta sprawa jest tak kontrowersyjna, tak bardzo rozgrzewa emocje w RPA, że właściwie można się było tego spodziewać. Kiedy rozmawiałem ostatnio z Januszem Walusiem, było to kilka dni przed ogłoszeniem tej decyzji, przeczuwał, że nie skończy się to pozytywnie. Polak zapowiada składanie kolejnej apelacji, ale sprawa jest skomplikowana.

Trochę trudno się dziwić ministrowi sprawiedliwości RPA – wypuszczając Walusia na wolność, ryzykuje wybuch niezadowolenia milionów czarnych obywateli RPA, dla których Chris Hani to bohater niemal równy Nelsonowi Mandeli.

Gdy Polak, w wielkanocną sobotę 1993 r., zabił Chrisa Haniego, jednego z liderów Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej (SACP), RPA stanęła na krawędzi wojny domowej – niewiele brakowało, by czarni rzucili się na białych i by cały proces pokojowego przekazania władzy runął w gruzach. Kilkadziesiąt osób zginęło wtedy w rozruchach. Nelson Mandela musiał użyć całego swojego autorytetu, by uspokoić sytuację. Te emocje wciąż są żywe wśród Południowoafrykańczyków.

W 2014 r. media donosiły o ataku na Walusia.

Został on wtedy uderzony w więzieniu ostrym narzędziem, ale się obronił i nie dał sobie zrobić większej krzywdy. Waluś dba o kondycję i ćwiczy w więzieniu karate. W RPA słyszałem od niektórych czarnych obywateli tego kraju: „Trzeba nam dziś kogoś takiego jak towarzysz Hani, który wiedziałby, jak sobie poradzić z bolączkami naszego społeczeństwa, z wysokim bezrobociem". Atmosfera podgrzewana jest też wciąż przez wdowę po Chrisie Hanim, panią Limpho Hani, która bardzo ostro sprzeciwia się wypuszczeniu Polaka na wolność.

Minister sprawiedliwości RPA jako jeden z argumentów przeciwko wypuszczeniu Janusza Walusia wymienił... antykomunizm, który do dziś cechuje Polaka. Jak to rozumieć? Czyżby antykomunizm był w RPA nielegalny?

eprasa.pl 13086b07b7

Afrykański Kongres Narodowy określa siebie jako partię socjaldemokratyczną. Siłą rzeczy przekonania Walusia nie pomagają. W więzieniu mocno się jednak zmienił. Skończył wszystkie kursy potrzebne do warunkowego zwolnienia. Jest blisko Kościoła. Sprawa ma polityczny kontekst, to oczywiste. Dodajmy, że w 2015 r. z więzienia wyszedł Eugene de Kock, skazany w 1996 r. na 212 lat pozbawienia wolności...

De Kock był dowódcą słynnego Vlakplaas, szwadronu śmierci, który porywał i zabijał przeciwników apartheidu.

O de Kocku mówiono „Prime Evil", czyli wcielenie zła. Tak więc to paradoks, że jest on już na wolności, a Janusz Waluś wciąż trzymany jest za kratkami. W 2015 r. z więzienia wyszedł też Clive Derby-Lewis, zleceniodawca zabójstwa Haniego, polityk Partii Konserwatywnej, sprzeciwiającej się przekazaniu władzy czarnym, do której należał też Waluś.

Powiedział pan, że zleceniodawcą zabójstwa Haniego był Clive Derby-Lewis. Ze stwierdzeniem tym nie zgadzają się na pewno miliony czarnych Południowoafrykańczyków. Są oni bowiem przekonani, że Waluś był narzędziem w rękach białych służb, które zamierzały maksymalnie przedłużyć rządy białych.

W raporcie Komisji Prawdy i Pojednania zostało użyte określenie „trzecia siła". Szukano jakiejś tajnej organizacji, która stałaby za falą przemocy na początku lat 90., kiedy to zginęło 14 tys. osób. Nie znaleziono jednak żadnych dowodów.

Waluś wielokrotnie powtarzał, że w tej sprawie nie ma nic do dodania, ale nie wszyscy wierzą w jego wersję. To domniemane zatajenie prawdy o rzeczywistych zleceniodawcach było i jest głównym zarzutem pod adresem Janusza Walusia ze strony rządzących.

W tej sprawie jest jeszcze mnóstwo znaków zapytania. Co pana tu najbardziej zastanawia?

Kiedyś pytałem Janusza Walusia, jak to się stało, że tuż przed zamachem spotkał się z nim gen. Tienie Groenewald, szef południowoafrykańskiego wywiadu wojskowego. Janusz Waluś odpowiedział, że generał wizytował akurat wtedy rejon, gdzie rodzina Walusiów miała hutę szkła, i przypadkiem przyjechał w odwiedziny.

Z kolei Hazel Friedman, jedna ze znanych południowoafrykańskich dziennikarek, powiedziała mi, że krótko przed zabójstwem Haniego otrzymała bardzo ciekawy przeciek od jednego z członków Civil Cooperation Bureau, które zajmowało się zwalczaniem wszelkiej opozycji. Otóż Eugene Riley powiedział jej: „Niedługo dojdzie do zamachu na czołowego przedstawiciela Afrykańskiego Kongresu Narodowego, który zostanie przeprowadzony przez osobę z polskiej społeczności w RPA"... Krótko potem Eugene Riley popełnił samobójstwo w dziwnych okolicznościach. Tutaj było i jest sporo znaków zapytania.

Jakimkolwiek próbom ściągnięcia Janusza Walusia do Polski ostro sprzeciwia się m.in. Partia Razem. Na jednym ze swoich antywalusiowych plakatów Razem napisała: „Mieszkający w RPA polski rasista zamordował jednego z liderów ruchu przeciw apartheidowi, Chrisa Haniego. PiS-owski rząd chce go sprowadzić do kraju". Co pan na to?

Janusz Waluś twierdzi, że nie chodziło o sprawy rasowe, tylko o ekstremistyczne poglądy Haniego. Przez wiele lat był on jednym z liderów militarnej organizacji Włócznia Narodu, zbrojnego ramienia Afrykańskiego Kongresu Narodowego, która walczyła z białym rządem w Pretorii. Był szkolony przez KGB w Moskwie, a następnie przez Stasi w NRD. Te wyjazdy były sponsorowane przez Muammara Kaddafiego.

To wszystko jednak nie przeszkadza wielu ludziom porównywać Haniego do Nelsona Mandeli.

To dwie różne postacie. Mandela nawoływał do pojednania, Hani niekoniecznie.

Hani walczył zbrojnie z białym rządem, ale jego ofiarami byli też czarni obywatele RPA. Mam tu na myśli bojowników walczących z apartheidem, na których padł choćby cień podejrzenia o współpracę z białymi służbami. Byli oni torturowani w obozie Quatro w Angoli, część z nich straciła tam życie. Hani stał wówczas na czele Włóczni Narodu, więc siłą rzeczy był współodpowiedzialny za zbrodnie, do których dochodziło w obozie Quatro. Zostało to opisane w komisji Douglasa, która zajmowała się sprawą na początku lat 90. Liczni zwolennicy Haniego twierdzili jednak, że były to zwykłe oszczerstwa.

Szczególnie biali farmerzy byli wtedy przerażeni wizją objęcia władzy przez Haniego. Dlaczego?

Wielu białych widziało w nim na początku lat 90. antychrysta, radykała, który po przejęciu władzy zabierze im majątek i ziemię. Bali się o własne życie. Hani był popularny, miał charyzmę i wielu uważało, że to on z czasem zastąpi Mandelę na stanowisku prezydenta RPA. Janusz Waluś tłumaczył, że nie mógł dopuścić do realizacji tego scenariusza.

A dla pana kim jest Janusz Waluś? Widać, że angażuje się pan w sprowadzenie Janusza Walusia do Polski. Nie obawia się pan zarzutu, że stracił pan zdrowy dystans do bohatera swojej książki?

W pełni zgadzam się w tej sprawie z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim, który powiedział, że Janusz Waluś nie jest bohaterem, tylko postacią tragiczną. Natomiast jeżeli chodzi o dystans, to być może trochę go skróciłem, ale podchodzę do tego od strony czysto humanitarnej. Skoro de Kock i wielu innych cieszą się wolnością, to dlaczego Janusz Waluś, który spełnia wszystkie kryteria konieczne do zwolnienia warunkowego, wciąż siedzi za kratkami? Jest bohaterem mojej książki, stąd zaangażowanie.

Nie pan jeden działa w tej sprawie.

W starania o sprowadzenie Walusia do Polski zaangażowali się m.in. senator Jan Żaryn i poseł Tomasz Rzymkowski. Waluś to bohater dla dużej grupy polskich kibiców piłkarskich – szczególnie mocno wspierają go środowiska kibicowskie Legii Warszawa i Rakowa Częstochowa. To wsparcie nie ogranicza się tylko do haseł na bannerach czy skandowania jego nazwiska. Kibice zbierają pieniądze, bo koszty prawne są wysokie.

Jak to się właściwie stało, że dziennikarz sportowy napisał książkę o Januszu Walusiu?

Z wykształcenia jestem historykiem i zawsze fascynowała mnie Afryka. Kolejne wizyty w RPA utwierdzały mnie w przekonaniu, że sprawa Walusia, który niemal wywołał wojnę domową w tym kraju, jest niezwykle ciekawa, tym bardziej że wiele w niej znaków zapytania. Tymczasem w Polsce nie powstała na ten temat ani jedna książka... Postanowiłem to zmienić i opowiedzieć historię człowieka, który wstrząsnął RPA. Książka zaczyna się i kończy słowami: „szkoda życia".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Michał Zichlarz (ur. 1971 r.)
– dziennikarz sportowy, miłośnik Afryki, prowadzi bloga Afrykagola.pl.

eprasa.pl 13086b07b7

FOT. FOTOLIA

BÓG MA BYĆ „NEUTRALNY PŁCIOWO"

Od 20 maja przyszłego roku w Szwecji wejdzie w życie „neutralność płciowa" Boga. Tak – po ośmiotygodniowym spotkaniu 251 członków – postanowił Kościół Szwecji. W związku z tym ze stworzonego 31 lat temu podręcznika opisującego sposób posługi w Kościele ewangelicko-luterańskim zniknąć muszą takie zwroty jak „On" czy „Pan". To niesie ze sobą np. zmianę zwrotu: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego". W Kościele Szwecji będzie on brzmiał teraz tak: „W imię Boga i Trójcy Świętej". Z deklaracji przekazywanych mediom wynika, że Skandynawowie toczą też rozmowy o nazywaniu Chrystusa.

ANATOMIA PO NORWESKU

Z norweskiego słownictwa zniknąć ma określenie „błona dziewicza". To efekt publicznej dyskusji dotyczącej tego, czy lekarze mają prawo stosować procedurę stwierdzania, czy kobieta jest dziewicą – na prośbę jej lub rodziców (skąd akurat taka debata publiczna, można się domyślać). Ministerstwo Zdrowia uznało, że badanie błony dziewiczej nie może być potwierdzeniem tego, iż kobieta nie miała jeszcze stosunku seksualnego. Przy okazji uznano więc termin za wprowadzający w błąd. I mimo protestów w Wielkim Leksykonie Norweskim zmieniono go na „fałdka pochwowa".

DRUGA TWARZ WROGA LGBT

Członek legislatury stanu Ohio od lat znany był jako ostry krytyk środowiska LGBT. Sprzeciwiał się ich postulatom, a w swojej kampanii stawiał na wartości rodzinne. Wesa Goodmana nazywano nawet „sumieniem ruchu konserwatywnego". Jak doniosły amerykańskie media, 33-letni republikanin został przyłapany w niedwuznacznej sytuacji z mężczyzną we własnym biurze. Po tym seksskandalu polityk złożył mandat.

STARY LAS A PUSZCZA

Unijnych urzędników, także tych niemieckich, martwi polska puszcza. A dokładniej to, że wycina się w niej drzewa. Argumenty, że to wycinka z powodu kornika, nie są dla nich przekonujące. Tymczasem sąd w Kolonii właśnie stwierdził, że las Hambach, liczący ok. 12 tys. lat, może zostać wycięty. Drzewa mogą pójść pod topór, choć las obejmuje dziś zaledwie 10 proc. swojej pierwotnej powierzchni i zamieszkuje go blisko 150 cennych gatunków zwierząt. Na terenie prastarej puszczy może – czego obawiają się ekolodzy – powstać kopalnia węgla brunatnego. Dlaczego Niemcy pozwalają wyciąć własną puszczę, wiadomo. Jednak dlaczego polscy politycy nie alarmują Europy? ©℗

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O skradzionym pocałunku

Brytyjka Sarah Hall podniosła larum, bo uznała, że znajdująca się w czytankach jej sześcioletniego syna bajka o Śpiącej Królewnie może sprowadzić go na manowce i uczynić drugim Weinsteinem. Dlaczego? Bo w bajce królewicz wybudził pocałunkiem Śpiącą Królewnę ze stuletniego snu, ale nie spytał o zgodę, a to przecież nic innego jak odrażający akt molestowania seksualnego.

W wywiadzie dla „Newcastle Chronicle" niewiasta wyjaśnia, że nie domaga się całkowitego wycofania bajki ze szkół, a jedynie umieszczenia jej na liście lektur dzieci starszych. Jej zdaniem po wspólnej lekturze nauczyciele mogliby porozmawiać ze starszymi dziećmi o zachowaniu seksualnym i niezwykle ważnej kwestii przyzwolenia, a przede wszystkim o tym, jak fatalnie mogła się czuć Śpiąca Królewna po pocałunku królewicza, na który nie wyraziła zgody. Właśnie z powodu takich – z pozoru niewinnych – bajek molestowanie seksualne zapuściło tak głębokie korzenie w społeczeństwie. Pani Hall wytropiła więc prawdziwych winnych tych odrażających czynów – to bajkopisarze i oczywiście Walt Disney, który te szkodliwe treści upowszechnił na całym świecie.

Co porażające, jak wynika z komentarzy pod doniesieniami o wyczynach pani Hall w mediach brytyjskich i włoskich, wielu internautów, a szczególnie internautek, całkowicie się z oszołomioną kobietą zgadza. Teraz zapewne przyjdzie kolej na „Kopciuszka", bo przecież królewicz jest nachalnym fetyszystą (pantofelek), i na „Czerwonego Kapturka", w którym niechętny mniejszościom seksualnym myśliwy bezlitośnie zastrzelił wilka przebranego za babcię, a więc zamordował niepewnego swej tożsamości płciowej wyznawcę i praktyka teorii gender. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 13086b07b7

SUPER HISTORIA.pl

DO RZECZY

NOWY CYKL

PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH

BOHATEROWIE

JUŻ DZIŚ OGLĄDAJ NOWY ODCINEK SERII

BOHATEROWIE.DORZECZY.PL

5 GRUDNIA

CZĘŚĆ IV Z CYKLU „CICHOCIEMNI I WYWIAD” „ULUBIONY SZPIEG CHURCHILLA”

KRYSTYNA SKARBEK I KOBIETY W WYWIADZIE. AGENTKA BRYTYJSKIEGO MI6. W CZASIE WOJNY WYKONAŁA SZEREG MISJI DLA SEKCJI OPERACJI SPECJALNYCH - WE FRANCJI, NA WĘGRZECH, W POLSCE, EGIPCIE I NA BLISKIM WSCHODZIE.

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH: PGE

eprasa.pl 13086b07b7

Zarobić na niedzieli

FOT. FOTOLIA

Jacek Przybylski

Ograniczenie niedzielnego handlu grozi falą zwolnień, wzrostem bezrobocia i mniejszymi dochodami budżetu – straszą krytycy. To przesada. Podobne przepisy od lat obowiązują w wielu krajach, w tym w Niemczech, największej gospodarce UE

Zgodnie z ustawą uchwaloną w listopadzie przez Sejm od 1 marca 2018 r. w Polsce będą dwie niedziele handlowe w miesiącu, w 2019 r. – tylko jedna w miesiącu, a od 2020 r. zakaz handlu ma już obowiązywać we wszystkie niedziele z wyjątkiem siedmiu w roku: dwoma przed świętami Bożego Narodzenia, jedną przed Wielkanocą i ostatnimi niedzielami stycznia, kwietnia, czerwca oraz sierpnia. Z zakazu będą wyłączone m.in. piekarnie oraz sklepy internetowe.

MIT NIEDZIELNEGO HANDLU

Dyskusja o tego typu zakazie wzbudza wielkie emocje – i u zwolenników, i u przeciwników nowego prawa – w wielu krajach na świecie. Ma ona bowiem zarówno aspekt kulturowo-religijny, jak i czysto ekonomiczny.

Zwolennicy ograniczenia handlu, m.in. przedstawiciele Kościoła katolickiego, a także inne wspólnoty wyznaniowe oraz reprezentanci związków zawodowych czy organizacji zawodowych i społecznych, założyli w Brukseli Europejski Sojusz na rzecz Wolnej Niedzieli. Organizację, która zajmuje się lobbowaniem w krajach Unii Europejskiej za tym, aby niedziela w całej Europie była wolna od pracy. Dla Kościoła katolickiego wolne niedziele to nie tylko kwestia ułatwienia praktyk religijnych, ale również możliwość wspólnego świętowania tego dnia przez całe rodziny.

Przedstawiciele Europejskiego Sojuszu na rzecz Wolnej Niedzieli przekonują jednak, że wolne niedziele to sprawa, która łączy wyznawców różnych religii: katolików, muzułmanów oraz żydów. Eksperci zwracają też uwagę na to, że praca w niedziele uniemożliwia godze-

eprasa.pl 3086b07b7

nie życia zawodowego z rodzinnym (według danych CBOS 22 proc. Polaków skarży się, że brakuje im czasu wolnego dla najbliższych), przez co może być ryzykowna dla zdrowia i prowadzić m.in. do depresji, problemów somatycznych, podwyższonego ciśnienia etc.

Krytycy ograniczania handlu kreślą z kolei czarne scenariusze: tysiące utraconych miejsc pracy, wzrost bezrobocia i spadek wpływów do budżetu. – To antypolska ustawa, która będzie blokowała rozwój gospodarczy – oceniła Paulina Hennig-Kloska, posłanka Nowoczesnej, przekonując, że większość weekendowych pracowników supermarketów to studenci zarabiający na „wymarzone wakacje, nowy ciuch i czesne".

Ograniczenie handlu w niedziele obowiązuje jednak w wielu europejskich krajach, których mieszkańcy nie mają powodu narzekać na wskaźniki gospodarcze. Całkowity zakaz dotyczy Austrii oraz Niemiec. Powszechny zakaz obowiązuje też w Szwajcarii i Norwegii.

Częściowe restrykcje wprowadziły również m.in. władze Belgii, Francji, Hiszpanii, Holandii, Luksemburga, Słowenii oraz Wielkiej Brytanii, choć np. we Francji i w Hiszpanii zdecydowano, że w miejscowościach turystycznych ograniczenia będą łagodniejsze. W Grecji z kolei decyzję o tym, czy należy wprowadzać restrykcje dotyczące handlu, podejmują władze lokalne. Na greckich władzach złagodzenie tego typu ograniczeń wymogły w ramach tzw. pakietu pomocowego władze Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Przed pięcioma laty decyzję o liberalizacji przepisów ograniczających handel w niedziele podjął – mimo sprzeciwu Watykanu i włoskich biskupów – ówczesny premier Włoch Mario Monti.

ZYSKAJĄ KINA I PARKI ROZRYWKI

Obywatelski projekt ustawy w sprawie powszechnego zakazu handlu w niedzielę Solidarność złożyła w 2016 r. Pod dokumentem podpisało się wówczas pół miliona osób. Pomysłodawcom chodziło głównie o to, aby pracownicy sektora handlowego zyskali dzień wolny od pracy. Szacuje się, że dzięki ustawie o wolnych niedzielach więcej czasu z rodzinami będzie mogło spędzić 200–250 tys. osób, które dotychczas dzień ten spędzały, np. siedząc za kasą. Osoby zatrudnione w innych branżach będą zaś miały dzień wolny od zakupów. Obie grupy staną się zaś łakomym kąskiem dla przedsiębiorców działających w sektorze usług dla dzieci i rodziców. Większych przychodów mogą się więc spodziewać właściciele restauracji, kin, centrów rozrywki, aquaparków etc.

Zakaz handlu w niedziele nie musi więc pociągać za sobą negatywnych konsekwencji dla gospodarki. Popyt ze strony konsumentów może się bowiem przenieść na inne dni tygodnia i do innych kanałów sprzedaży. Zdaniem związkowców nawet sam handel na zakazie nie tylko nie straci, lecz wręcz zyska. Z analiz NSZZ „Solidarność" wynika bowiem, że np. sprzedaż może nawet wzrosnąć. Taki wniosek związkowcy wyciągnęli, analizując dane dotyczące obrotu w sklepach jednej z sieci handlowych po wprowadzeniu przez Sejm Święta Trzech Króli w 2013 r. Nowy dzień wolny od pracy przypadał wówczas w niedzielę. Co się okazało? Obroty w piątek i sobotę przed wolną niedzielą były wyższe o ok. 5 proc. niż łączne obroty z piątku, soboty i niedzieli w kolejnym tygodniu.

REKLAMA

KLINIKA UZDROWIskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II w Ciechocinku

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Czy cierpisz na?
- bóle kręgosłupa, dyskopatie
- rwę kulszową
- migreny kręgopochodne
- bóle mięśni i stawów
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- ostrogi piętowe
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu

Przyjedź na pobyt leczniczy z zabiegami.
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 03.12 - 20.12.2017 r. oraz 06.01-25.02.2018 r.
25 zabiegów na 7 dni pobytu
posiłki w formie bufetu szwedzkiego
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 minut dziennie

Turnus Świąteczny 20-27.12.2017
Turnus Noworoczny 27.12-03.01.2018

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl
rezerwacja@podtezniami.pl
tel. 54 416 70 00

eprasa.pl 13086b07b7

Eksperci ekonomiczni tłumaczą to prosto: ograniczenie handlu nie zmniejsza popytu.

WĘGIERSKI POMYSŁ

Z doświadczenia Węgier, które w marcu 2015 r. wprowadziły zakaz handlu w dużych sieciach supermarketów, wynika, że najbardziej na nowych przepisach zyskały e-sklepy. Wzrost sprzedaży internetowej dotyczył zwłaszcza produktów żywnościowych. Obroty e-sklepów z żywnością rosły od marca 2015 r. z kwartału na kwartał o ponad 30 proc. W pierwszym kwartale 2015 r. sprzedaż on-line prowadzona przez sieci detaliczne przyniosła 30 mld forintów przychodów, a już w drugim kwartale obroty osiągnęły niemal 40 mld forintów. Na wzroście sprzedaży internetowej zyskały też oczywiście firmy kurierskie.

Z wprowadzenia zakazu handlu w niedziele dla dużych supermarketów cieszyli się również właściciele mniejszych sklepów, które nie były objęte zakazem handlu. Często były bowiem jedynymi sklepami w okolicy, które były otwarte w te dni. Rząd w Budapeszcie zauważył więc, że w ciągu roku obowiązywania nowego prawa doszło do zmiany struktury handlu: klienci częściej odwiedzali małe sklepy.

Ograniczenie handlu w niedziele nie zmniejszyło ogólnego popytu konsumenckiego, właściciele dużych sieci poradzili sobie, wydłużając po prostu godziny pracy w inne dni. Klienci duże zakupy zaczęli więc robić głównie w czwartki (wzrost wartości obrotu o 24 proc.) oraz w piątki (wzrost o 21 proc.). To dobra wiadomość dla polskich klientów, którzy – jak wynika z sondaży – obawiają się długich kolejek oraz korków w soboty poprzedzające wolne niedziele.

Według danych Europejskiej Fundacji na rzecz Poprawy Warunków Życia i Pracy (Eurofund) wprowadzanie zakazu handlu na Węgrzech nie miało negatywnego wpływu na gospodarkę. Ogólna wartość handlu pozostała na stabilnym poziomie, nie było też fali bankructw czy spektakularnych zwolnień, którymi groziły organizacje zrzeszające przedsiębiorców. Również z danych węgierskiego urzędu statystycznego wynika, że ograniczenia nie spowodowały wzrostu sprzedaży. Minister gospodarki Mihály Varga podkreślał zaś, że mimo wprowadzenia zakazu sprzedaż detaliczna nie spadła, a w wielu sklepach odnotowano wzrost obrotów. I zaznaczał, że zatrudnienie w handlu nie tylko nie spadło, lecz wręcz wzrosło – o 1,8 proc.

Pracownicy sektora handlowego stracili jednak możliwość otrzymywania wyższych zarobków za pracę wykonywaną w niedziele. Innego zajęcia musiała też poszukać sobie grupa zatrudnionych tymczasowo.

Mimo że ograniczenie handlu nie doprowadziło do porażki ekonomicznej, węgierscy klienci niechętnie podchodzili do nowego zakazu – według sondażu przeprowadzonego przez Ipsos w marcu 2015 r. aż 68 proc. ankietowanych było przeciwnych ograniczaniu handlu w niedziele. Po roku obowiązywania ograniczeń ich zniesienia chciały nawet dwie trzecie ankietowanych.

NAGŁY ZWROT

Rząd Viktora Orbána w 2016 r. zdecydował się więc na nietypowy ruch i odwołał kontrowersyjny zakaz zaledwie 13 miesięcy po jego wprowadzeniu. Szef Fideszu oddał tę sprawę bez walki, bał się bowiem potencjalnej przegranej w referendum, którego domagali się politycy opozycyjnej Węgierskiej Partii Socjalistycznej.

– Zakaz okazał się mocno kontrowersyjny. Nie udało nam się przekonać ludzi, że te przepisy są korzystne również z ich punktu widzenia. Ich zdaniem utrudnił on codzienne życie rodzin – przyznał wówczas szef gabinetu premiera Orbána Antal Rogán, tłumacząc, dlaczego rząd znosi zakaz. Niespodziewanie dla polityków przeciwko zakazowi handlu w niedziele opowiadało się m.in. wiele kobiet, według których nowe prawo niekorzystnie wpłynęło na życie ich rodzin w dni powszednie.

– Na Węgrzech efekty gospodarcze były pozytywne, ale rząd w Budapeszcie wprowadził te zmiany zbyt szybko i bez wystarczającego przygotowania. W Polsce zmiany będą wprowadzane stopniowo. Sama dyskusja na ten temat trwa zaś u nas w kraju już wiele lat – zauważa w rozmowie z „Do Rzeczy" Sławomir Horbaczewski, ekonomista i doradca gospodarczy.

Wbrew argumentom przeciwników ograniczenia niedzielnego handlu Polacy już teraz wcale nie przepadają za regularnym robieniem zakupów akurat tego dnia. Z sondażu przeprowadzonego przez Kantar Polska na zlecenie Polskiego Radia 24 wynika, że na pytanie: „Czy robi Pan/Pani zakupy w niedzielę?" „tak" odpowiedziało jedynie 16 proc. ankietowanych, „tak, sporadycznie" – 58 proc. pytanych, a „nie" – 26 proc. Jednocześnie jedynie co piąty Polak uważał, że wprowadzenie zakazu handlu w niedziele w super- i hipermarketach stanowiłoby dla niego problem.

– Wbrew pozorom niedziela nie jest wcale najlepszym dniem dla handlu. W galeriach handlowych pojawia się bowiem wówczas wiele osób, które nie robią zakupów, tylko przychodzą z rodzinami głównie po to, aby powałęsać się bez celu – tłumaczy Sławomir Horbaczewski. Spodziewam się, że ograniczenie handlu nie tylko nie wpłynie negatywnie na polską gospodarkę, lecz także polepszy wskaźniki gospodarcze. Doprowadzi także do społecznej aktywizacji Polaków. Wyprowadzenie z galerii handlowych milionów dobrze zarabiających młodych ludzi będzie bowiem korzystne dla teatrów, kin, muzeów, a także dla centrów miast oraz organizatorów imprez masowych oraz wydarzeń sportowych. Ograniczenie działalności galerii handlowych to więc olbrzymie pole rozwoju dla drobnych przedsiębiorców. Spodziewam się więc bardzo pozytywnych efektów gospodarczych i społecznych ograniczenia niedzielnego handlu – prognozuje w rozmowie z „Do Rzeczy" Sławomir Horbaczewski.

Chociaż wprowadzenie zakazu handlu w niedzielę na Węgrzech nie miało negatywnego wpływu na gospodarkę, to rząd Viktora Orbána odwołał kontrowersyjny zakaz zaledwie 13 miesięcy po jego wprowadzeniu. W Polsce lepiej przygotowano więc wdrożenie zmian

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13086b07b7

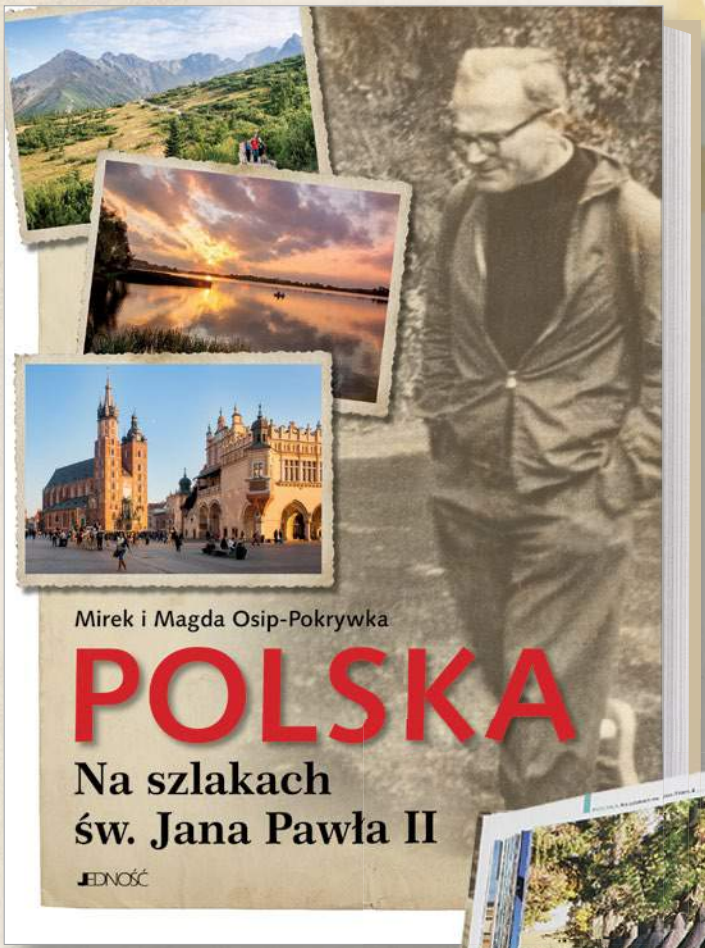

POLSKA

Na szlakach św. Jana Pawła II

Wyjątkowy album-przewodnik po niezwykle malowniczych, przepełnionych historią miejscach, które ukochał Jan Paweł II: od Tatr i Sudetów po Bory Tucholskie, Mazury i Suwalszczyznę. Może stać się cennym kompendium pomysłów na weekendowe wyjazdy z rodziną lub samotne, refleksyjne wyprawy w miejsca, które odwiedził papież Polak.

s. 288, oprawa twarda
kolorowe zdjęcia
format 205x285 mm

Zamów album w cenie **69,00 zł**
na stronie **www. jednosc.com.pl**
lub pod nr tel. **41 349 50 50**

Wyjątkowe książki nie tylko na

PREZENTY

znajdziesz na stronie:

www.jednosc.com.pl

JEDNOŚĆ

eprasa.pl 13086b07b7

Elewacja kamienicy przed rewitalizacją i po niej

Misja: przywrócić miastu

Gdybyśmy chcieli tylko zarobić, budowalibyśmy od zera, ponieważ jest to dużo szybsze, mniej problematyczne i bardziej rentowne. A my wybraliśmy rewitalizację kamienic, żeby mieć wkład w odnowę miasta i żeby zachęcić do podobnych działań – mówi Andrzej Kawalec, Przewodniczący Rady Nadzorczej Fenix Group

W czerwcu na warszawskiej Pradze, a ostatnio na Mokotowie, zawaliła się kamienica. Czy wiele zabytkowych budynków jest w takim stanie?

Podejmując decyzje o nowych zakupach, oglądamy wiele zrujnowanych obiektów i powiem szczerze, że czas nie działa na ich korzyść. Ponad 10 lat temu, kiedy rozpoczynaliśmy to przedsięwzięcie, za cel postawiliśmy sobie odbudowę części zrujnowanych kamienic. Do tej pory ocaliliśmy ich kilkanaście. Do każdego budynku podchodzimy z dużą uwagą. Rewitalizacja budynku wymaga współpracy z wieloma instytucjami państwowymi, m.in.: Powiatowym Inspektoratem Nadzoru Budowlanego, Prezydentem M.St. Warszawy, Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków i Wojewódzkim Komendantem Straży Pożarnej. Nasze renowacje to również efekt działania wielu znakomitych rzemieślników i doświadczonych architektów. Niestety w obecnej sytuacji w Warszawie tylko prywatny podmiot jest w stanie sprawić, aby kamienice odzyskały pierwotny blask. Ani miasto, ani państwo nie posiadają wystarczających środków lub mają inne priorytety finansowe niż remontowanie zrujnowanych wielkomiejskich kamienic. A musimy pamiętać, że jeśli nie zajmiemy się zadbaniem o nasze dziedzictwo narodowe, bezcenne pamiątki polskiego budownictwa znikną z naszego krajobrazu.

Zauważyłam, że wiele projektów prowadzicie na Pradze. Skąd takie zainteresowanie tą częścią Warszawy?

To tak naprawdę jedyna autentyczna starówka w Warszawie, bo jak wiadomo, większość warszawskich kamienic po lewej stronie Wisły zniszczono podczas drugiej wojny światowej. Dlatego zachowana praska tkanka miejska jest unikatem w skali stolicy. Praga jest też dobrze skomunikowana ze Śródmieściem, a przez metro – z biznesową częścią Woli.

Z jakimi problemami spotykacie się najczęściej przy rewitalizacji budynków?

Generalnie praca na starym budynku jest dużo trudniejsza niż standardowe budownictwo, ponieważ często kamienice są w bardzo złym stanie i wymagają całkowitego remontu. To wiąże się z dużymi kosztami, jest czasochłonne i wymaga wielu uzgodnień z konserwatorem zabytków. Kamienice, które kupujemy, pochodzą głównie albo od miasta, albo od właścicieli prywatnych, którzy odzyskali je w drodze reprywatyzacji. Czasem kupujemy je od firm, które pozbywają się części majątku. Równie ważną kwestią są lokatorzy komunalni w kupowanych przez nas kamienicach. Trzeba pamiętać, że w sytuacji, gdy w kamienicy mieszkają lokatorzy, wyższy czynsz często służy finansowaniu remontów. Każdej naszej inwestycji towarzyszy myślenie o ludziach – lokatorach zamieszkujących budynek. Rozmawiamy z nimi, informujemy o planach wobec obiektu, wspieramy w przygotowaniu dokumentacji potrzebnej do uzyskania lokali komunalnych. Aspektem, który jest jednak dla nas bardzo przykry, są wypowiadane pod adresem naszej firmy niesprawiedliwe opinie ze strony kilku lokatorów, którzy zamieszkują kupione przez nas kamienice. Osoby te utrudniają prowadzone przez nas prace renowacyjne, twierdząc, że są one zbyt uciążliwe. Właściciele mieszkań w naszych budynkach po zakupie przez nas nieruchomości odetchnęli z ulgą, że w końcu ktoś zaczął remontować zrujnowany budynek i w niego inwestować.

eprasa.pl 13086b07b7

jego perły architektury

Jesteśmy świadomi, że prowadzona przez nas renowacja jest uciążliwa. W miarę możliwości staramy się pomagać, dlatego np. proponowaliśmy lokatorom z Poznańskiej 14 i Nowogrodzkiej 6A mieszkania na czas remontu. Proces przywracania bezpieczeństwa i podnoszenia standardu budynków tak, aby uzyskały dawny blask, jest zawsze złożony.

Dlaczego – mimo tylu problemów – postawiliście na rewitalizacje zabytkowych kamienic?

W naszym przypadku nie chodzi tylko o pieniądze, bo gdybyśmy chcieli przede wszystkim zarobić, budowalibyśmy od zera, ponieważ jest to dużo szybsze, mniej problematyczne i bardziej rentowne. A my wybraliśmy tę niszę, żeby mieć wkład w odnowę miasta i żeby zachęcić innych do podobnych działań. Wiele lat temu, chodząc po Warszawie, widziałem bardzo dużo zrujnowanych budynków, czytałem doniesienia w prasie o ich burzeniu. Miasto nie inwestowało w te budynki, bo były do nich roszczenia lub zajmowali je lokatorzy, którzy nie płacili czynszów. To było błędne koło. Nie mogłem obok tego przejść obojętnie. Dlatego wzięliśmy na siebie próbę odmienienia oblicza tego miasta i mamy nadzieję, że kiedyś zostanie to docenione. Zaniedbanych kamienic jest w Warszawie jakieś kilka tysięcy.

Jakie istotne trendy możemy zauważyć na rynku? Czy rośnie liczba kupujących mieszkania w odrestaurowanych zabytkowych kamienicach?

Na początku ludzie byli bardzo sceptyczni. Dziś są do nich coraz bardziej przekonani. Problemem były też samochody – brak miejsc parkingowych w kamienicach na Pradze i ograniczona ich liczba w budynkach Śródmieścia były blokadą dla wielu osób. Dziś zauważamy ewidentnie większe zainteresowanie wśród kupujących, choć w związku z działaniami Komisji Weryfikacyjnej pojawia się też więcej pytań.

A jak w takim razie na rozwój waszej firmy wpływają działania Komisji Weryfikacyjnej? Ma ona zastrzeżenia do dwóch kamienic, w których przeprowadzaliście rewitalizację. Zarzuca się Wam działanie w złej wierze. Jak pan to skomentuje?

Przyznam, że zdziwił nas taki obrót sprawy. Każda nieruchomość została przez nas nabyta w dobrej wierze. Zawsze zanim przystąpimy do transakcji, zlecamy audyty prawne, finansowe i techniczne. Fundamentem audytu prawnego jest wiara w zapisy polskich ksiąg wieczystych i prawomocne decyzje polskich sądów oraz urzędów. W obecnym stanie prawnym przedsiębiorca prywatny, zainteresowany nabyciem jakiejkolwiek nieruchomości, po prostu nie ma więcej możliwości. Gdy pojawiały się najmniejsze wątpliwości – a przyznam, że takowe czasem były – zawsze odstępowaliśmy od transakcji. Nigdy nie skupowaliśmy też roszczeń. Za każdym razem nabywaliśmy konkretną nieruchomość od konkretnych właścicieli.

Jakie macie plany na 2018 r.?

Obecnie zarządzamy kilkunastoma projektami, więc na dzień dzisiejszy priorytetem jest ich ukończenie. Rozglądamy się także na Woli, gdzie jest sporo starych i ciekawych kamienic, a która staje się atrakcyjna poprzez swoje centrum biznesowe.

Czy wyjdziecie poza Warszawę?

Mamy już za sobą realizację poza Warszawą, w Łodzi odnowiliśmy dawny Dom Towarzystwa Kredytowego przy ul. Pomorskiej 21. Za jego renowację dostaliśmy nagrodę od Konserwatora Zabytków. Jednak nieruchomości to bardzo lokalna sprawa, zależy nam na dbaniu o przestrzeń, którą znamy, cenimy, w której żyjemy. Warszawa ma bardzo trudną historię, przeżyła wiele tragicznych momentów, co widać w tkance miejskiej. Chcielibyśmy mieć wkład w zachowanie tego, co tutaj piękne, co jest naszym dziedzictwem narodowym.

eprasa.pl 13086b07b7

Pieniądze z głowy

Łukasz Zboralski

Siła polskiej gospodarki tkwi w umysłach młodych przedsiębiorców. Dobrze udowodnił to program, w którym genialny wynalazca z Białegostoku pokazuje inne niezwykłe start-upy

Innowacje to słowo w Polsce niemal magiczne. Jako hasło pada prawie w każdej wypowiedzi polityków na temat gospodarki. I trudno się dziwić, bo przez lata rozwijaliśmy się głównie jako zaplecze dla zachodnich koncernów. A te chętnie korzystały i korzystają z polskich pracowników – płaci się im nadal o wiele mniej niż za tę samą pracę ludziom mieszkającym na zachód od Odry, za to znani są z pracowitości i pomysłowości.

Dlatego trudno nam czasem dostrzec, że rodzimy biznes coraz częściej nie zostaje w tyle. Ba, że wyprzedza wszystkich na świecie. Dopiero przy okazji konkursów takich jak „100% Polski Produkt" organizowany przez tygodnik „Do Rzeczy" okazuje się, że to polska firma – Bioelektra Group – ma technologię pozwalającą bez pracy ludzi sortować odpady, a jej prezes myśli teraz o takich maszynach, dzięki którym mieszkańcy nie będą musieli sortować odpadów przed oddaniem ich firmom zbierającym śmieci.

A już zupełnie niełatwo odszukać w Polsce ludzi, którzy na razie mają dopiero przełomowe pomysły i olbrzymi potencjał na uczynienie ich dochodowymi biznesami. Telewizja Polska do tropienia innowatorów wynajęła niedawno jednego z nich – Piotra Psyllosa. Ten 23-letni wynalazca od października przedstawia w programie „Łap startup" (emitowanym w TVP, ale dostępnym też na VOD TVP i YouTube) innowacyjne pomysły oraz ich autorów i opowiada o sposobach zdobycia funduszy na rozwój swoich idei.

OKO DLA NIEWIDOMYCH

Sam Psyllos to postać niezwykła i opisanie tylko jego wynalazków pokazuje, jaki potencjał rodzi się w Polsce. Ten student informatyki z Politechniki Białostockiej został uznany przez „Forbesa" za jednego z 30 najlepszych europejskich innowatorów, którzy nie ukończyli jeszcze 30. roku życia, a amerykański Massachusetts Institute of Technology Review wymienił go wśród 10 najzdolniejszych wynalazców przed 35. rokiem życia w Polsce. Mimo młodego wieku na swoim koncie ma już 17 nagród z dziedziny wynalazczości. To finalista m.in. największego konkursu technologicznego firmy Microsoft, człowiek wyróżniony przez Chińskie Stowarzyszenie Innowacji, francuskie i belgijskie ministerstwa oraz laureat konkursu MNiSW „Najlepsi z najlepszych". Co takiego zrobił?

Piotr Psyllos skonstruował m.in. urządzenie Matia, które może pomagać osobom

Piotr Psyllos skonstruował m.in. rękawicę, która przetwarza gesty na mowę. W TVP pokazuje wynalazki innych polskich start-upów FOT. PIOTR MECIK/EAST NEWS

eprasa.pl 13086b07b7

niewidomym w percepcji otoczenia. Dzięki analizie obrazu sztuczne oko przetwarza to, co dostrzega, na audiodeskrypcję – czyli po prostu opowiada głosem niewidomemu to, co znajduje się w jego otoczeniu. Psyllos skonstruował też syntezator mowy dla osób niepełnosprawnych ruchowo, a pracuje jeszcze nad projektem, który pozwoli na audiodeskrypcję dzieł sztuki i umożliwi ich odbiór osobom niewidomym.

– To się zaczęło jeszcze w pierwszej klasie technikum, gdy zainteresowałem się sztuczną inteligencją i stworzyłem na konkurs urządzenie, które umożliwiało sterowanie za pomocą fal mózgowych innymi urządzeniami – opowiada „Do Rzeczy" wynalazca z Białegostoku. – Poznałem potem dr. Jerzego Sienkiewicza z Politechniki Białostockiej, który zajmował się osobami niepełnosprawnymi, i testowaliśmy mój prototyp właśnie z myślą o nich. Potem był jeszcze mój inny pomysł – rękawica, która osobom niemówiącym pozwala mówić, bo na mowę przetwarza gesty. Wówczas odezwał się do mnie Tomasz Strzymiński z fundacji Audiodeskrypcja. To osoba niewidoma, przybliżył mi problemy, z jakimi muszą się zmagać tacy ludzie. A ja pracowałem akurat nad różnymi systemami analizy obrazu i postanowiliśmy wykorzystać to do stworzenia urządzenia wspomagającego niewidomych. Tak powstało moje sztuczne oko.

Jak przyznaje Psyllos, rozwijanie start-upu nie jest łatwe, zwłaszcza gdy pomysł lub urządzenie powstają bardziej z myślą o pomocy ludziom, niż są tylko planem na zarobienie pieniędzy. – Miałem spory problem, żeby uzyskać pieniądze na inwestycje. Moja Matia to bowiem urządzenie drogie w rozwoju, a rynek jest nieduży: osób niewidomych, i to takich, które są aktywne oraz chcą korzystać z nowych technologii, nie jest tak wiele. Dlatego mimo wielu spotkań w Polsce i za granicą był problem ze znalezieniem inwestorów, bo oni patrzą przez pryzmat zysków możliwych do osiągnięcia – opowiada Piotr Psyllos. – Z tych spotkań wyniosłem też lekcję i rozpocząłem drugi projekt oparty na tej technologii, skierowany do dużych firm z sektora energetycznego – zdradza. W związku z tym projektem młody wynalazca prowadzi już rozmowy biznesowe. Musi pozyskać ponad 100 tys. zł na dalsze prace badawcze.

Psyllos nie porzuca pracy na rzecz niepełnosprawnych, a zarazem zarabia m.in. na projektach z branży internetowej wykorzystujących sztuczną inteligencję i Big Data. Sprzedaje też pierwsze syntezatory mowy dla niepełnosprawnych. Wdrożono je w białostockim domu opieki społecznej.

Jako startupowiec sam sięgnął po fundusze unijne. Jego zdaniem – choć krążą na ten temat różne opinie – nie jest trudno pozyskać dofinansowanie. I dlatego w programie „Łap startup" z młodymi wynalazcami rozmawia nie tylko o ich pomysłach, lecz także o tym, jak poradzili sobie z pozyskaniem pieniędzy. – Po programach dostaję dużo e-maili i wiadomości na Facebooku – opowiada „Do Rzeczy". – Młodzi przedsiębiorcy piszą, że to pomaga im w podjęciu decyzji o rozpoczęciu biznesu, że dzięki wiedzy o unijnych funduszach będą też o nie aplikować – dodaje.

ROBOT I KTG PRZEZ SMARTFON

Psyllos w „Łap startup" miał poważny problem – jego zdaniem jest tyle dobrych start-upów w Polsce, że trudno było wybrać zaledwie 10 z nich (bo tyle odcinków liczy seria programu, ostatni ma emisję 4 grudnia). – Wszystkie mi się podobały i wszystkie są dowodem, że w Polsce można rozwinąć międzynarodową firmę, sprzedającą globalnie innowacyjne produkty – mówi. – Jeśli miałbym wybierać tak osobiście, to z mojego sentymentu do hardware'u najbardziej do gustu przypadł mi

Uczący programowania robot Photon właśnie trafił do sprzedaży w iSpotach FOT. MEETPHOTON.COM

Airly, czyli start-up z Krakowa z urządzeniami informującymi o czystości powietrza. Świetny jest też projekt KTG, który pomaga nienarodzonym dzieciom i ich mamom. Za pomocą czujników analizuje funkcje serca dziecka i wysyła je do lekarza. Testowano to w Afryce. Mama w ciąży była w ten sposób monitorowana, a lekarze w Polsce na podstawie tych wyników kontrolowali przebieg ciąży – opowiada.

W debiutanckim odcinku programu Piotr Psyllos pokazał start-up ze swojego miasta (wychował się w Białymstoku, choć urodził w Grecji, jego matka jest Polką), czyli twórców Photona. To robot, który paruje się ze smartfonem i z tabletem, i który poprzez zabawę uczy dzieci programowania. Jego twórcy – Photo Entertainment – pozyskali na jego budowę 52 tys. dol. dzięki zbiórce na portalu crowdfundingowym. Aplikacja do nauki ma zróżnicowane poziomy nauczania dopasowane do możliwości dzieci w wieku od 5 do 12 lat. – Całą wiedzę na temat technologii i możliwości robota Photon przekazuje dzieciom w podświadomy sposób – tłumaczy Marcin Joka, twórca Photona. – Dzieje się tak dzięki pełnej zwariowanych zwrotów akcji historii fabularnej, w której dziecko wspólnie z robotem bierze czynny udział – dodaje. W ubiegłym tygodniu robot nauczyciel trafił do sprzedaży w salonach iSpot Apple Premium Reseller. Jego twórcy zakładają, że tylko do końca tego roku sprzedadzą 5 tys. sztuk.

Inny start-up pokazał nowy sposób diagnozowania grypy – na podstawie wymazu z jamy ustnej. – To urządzenie mobilne, do którego podłącza się smartfon – opowiada Psyllos. – Za pomocą specjalnego patyczka pobiera się próbkę z jamy ustnej, wkłada do urządzenia i ono podaje wynik, czy jest się chorym. Wówczas można szybko zareagować i rozpocząć kurację.

W TVP zaprezentowano też m.in. młodą poznańską firmę BBH Biotech, która w ramach dofinansowania z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju pracuje nad metodą przyspieszania fermentacji alkoholowej dzięki precyzyjnie dobranym falom radiowym. Teraz młodzi biotechnolodzy z Wielkopolski wprowadzają na rynek sproszkowany jad pszczeli, który ma silne działanie przeciwzapalne i przeciwzmarszczkowe – może więc być wykorzystywany w kosmetykach.

Piotr Psyllos pokazał też projekt, który z pewnością zainteresuje rodziców dzieci mających kłopoty z uczeniem się. Firma Neurodio z Torunia projektuje gry treningowe dla osób z różnymi deficytami poznawczymi. W programie TVP zaprezentowano ich grę – Kalkulilo. Dzięki niej dzieci w wieku wczesnoszkolnym mogą lepiej zrozumieć relacje liczbowo-przestrzenne. Kalkulilo przetestowano już na grupie 68 dzieci z toruńskich podstawówek. Testy pokazały, że po treningu z grą dzieci szybciej rozwiązywały np. zdania związane z porównywaniem dwóch liczb. Skuteczność gry badana jest także w projekcie naukowym przy współpracy z Laboratorium NeuroKognitywnym UMK w Toruniu.

Program „Łap startup" zakończył się po 10 odcinkach. Ile ich jeszcze trzeba by nagrać, by pokazać wszystkie ciekawe start-upy w Polsce?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13086b07b7

FOT. FOTOLIA

„Misie" na topie

Małe i średnie przedsiębiorstwa pieszczotliwie nazywane „misiami" to sól polskiej gospodarki, jeden z najważniejszych czynników wzrostu i rozwoju. Warto o nie dbać

W Polsce w 2016 r. działalność gospodarczą prowadziło w Polsce ponad 2 mln firm zatrudniających mniej niż dziewięć osób. W rok przybyło ich 100 tys. i jest to największy przyrost od lat. Jeśli dodać do tego wzrost zatrudnienia, który w samym tylko minionym roku wyniósł 200 tys. osób, to nie dziwi, że to właśnie najmniejsi przedsiębiorcy generują ponad połowę produktu krajowego brutto (PKB).

Mikrofirmy potrzebują pieniędzy w różnych fazach rozwoju – ktoś ma dobry pomysł i potrzebuje wsparcia, by założyć firmę, a inny już prowadzi biznes, ale chce zwiększyć jego skalę. BGK ma narzędzia wspierające przedsiębiorczość i kieruje swoje programy do firm na każdym etapie działalności, w szczególności do tych, które mają utrudniony dostęp do finansowania, a przez to nie mogą rozwijać swojego potencjału. Badania pokazują, że im mniejsze przedsiębiorstwo, krócej działające na rynku i o mniejszym zasięgu działania, tym mniejsza możliwość pozyskania finansowania i większe prawdopodobieństwo utrudnień w jego pozyskaniu.

Nie dziwi więc, że w ostatnich latach małe firmy szukały finansowania poza bankami i chętnie korzystały z programów unijnych oraz rządowych, dystrybuowanych m.in. przez państwowe instytucje rozwoju. Szczególnie ważną rolę w systemie wspierania MŚP odgrywa Bank Gospodarstwa Krajowego (BGK). Jednym z kluczowych filarów strategii tej instytucji jest finansowanie i mobilizacja kapitału dla inwestycji, eksportu oraz rozwoju przedsiębiorstw.

ROZWIĄZANIA SZYTE NA MIARĘ

BGK stworzył krajowy „ekosystem" wsparcia rozwoju MŚP, zapraszając do współpracy banki komercyjne i spółdzielcze oraz lokalne i regionalne instytucje rozwoju. Współpraca ta ułatwia przedsiębiorcom dostęp do wsparcia – mogą oni z niego skorzystać w banku, w którym prowadzą konto. W zależności od potrzeb firma może wziąć pożyczkę, kredyt lub

eprasa.pl 13086b07b7

zabezpieczyć jego spłatę gwarancją bankową. Osoby dopiero planujące rozpoczęcie biznesu mogą skorzystać z pożyczek w programie „Pierwszy biznes – wsparcie w starcie", które w połączeniu z doradztwem podatkowym, kadrowym i marketingowym poprawiają szanse firmy na utrzymanie działalności w długim okresie. Maksymalna wartość pożyczki może wynieść 87 tys. zł, z okresem spłaty do siedmiu lat i oprocentowaniem 0,44 proc. w skali roku.

Codzienne funkcjonowanie firm, w szczególności usługowo-handlowych, ułatwiają z kolei gwarancje spłaty kredytu. W tej chwili dostępne są trzy takie programy BGK. Pierwsza to gwarancja de minimis, która zabezpieczy do 60 proc. wartości kredytu, przy koszcie dla przedsiębiorcy na poziomie 0,5 proc. wartości gwarancji w skali roku. Druga to gwarancja z programu COSME, zabezpieczająca do 80 proc. wartości kredytu przy 1-procentowej prowizji w skali roku. Trzecia opcja to gwarancja Biznesmax, która podobnie jak COSME zabezpiecza do 80 proc. wartości kredytu, za to bez żadnej prowizji. Jeśli firma spełnia jedno z 15 kryteriów innowacyjności, to z punktu widzenia kosztów jest to najkorzystniejszy z programów oferowanych przez BGK.

ROZWÓJ W RÓWNOWADZE

Co do zasady z programów wsparcia korzystają firmy bez względu na branżę. Są jednak sektory, które mogą liczyć na szczególne preferencje, ponieważ przyczyniają się do zrównoważonego rozwoju w myśl Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju (tzw. Planu Morawieckiego).

Zrównoważony rozwój to m.in. wypełnianie białych plam na mapie dostępu do szybkiego Internetu, który jest w dzisiejszych czasach niezbędnym narzędziem w działalności biznesowej. I tu pojawia się BGK, który rozwiązuje ten problem poprzez jeden z produktów w projekcie „Polska Cyfrowa", oferując przedsiębiorcom pożyczki na preferencyjnych warunkach na budowę, rozbudowę lub przebudowę sieci infrastruktury telekomunikacyjnej. Łączna wartość wsparcia dla firm na ten cel wyniesie ponad 1 mld zł.

W strategii zrównoważonego rozwoju docenione zostały przedsiębiorstwa realizujące działalność w ramach tzw. ekonomii społecznej. Są to m.in. organizacje pozarządowe, spółdzielnie socjalne czy spółdzielnie inwalidów. Te niewielkie organizacje przeciwdziałają wykluczeniu społecznemu, dając zatrudnienie osobom, które nie odnalazłyby się na rynku pracy. Inwestując i rozwijając działalność gospodarczą dzięki pożyczce z programu BGK jednocześnie przyczyniają się one do rozwoju lokalnych społeczności. Łączna wartość udostępnionego wsparcia wynosi 140 mln zł, co pozwoli utworzyć co najmniej 1250 miejsc pracy i rozwinąć działalność ponad 2 tys. organizacji.

Firmy planujące zwiększyć swoją konkurencyjność mogą skorzystać z finansowania pochodzącego z programów unijnych. Pula środków dostępnych w BGK na lata 2014–2020 przekracza 10 mld zł i jest 2,5-krotnie wyższa niż w poprzedniej perspektywie

Innym miejscem ważnym z punku widzenia zrównoważonego rozwoju kraju są firmy z Polski Wschodniej. Firmy działające w branży powiązanej z turystyką, prowadzące np. pensjonat, wypożyczalnie sprzętu rekreacyjnego czy choćby sklep, mogą liczyć na preferencyjne pożyczki w maksymalnej wysokości 0,5 mln zł w ramach projektu „Przedsiębiorcza Polska Wschodnia – Turystyka". W tym programie pula środków wynosi 200 mln zł.

„MISIE" IDĄ W ŚWIAT

O znaczeniu MŚP w gospodarce świadczą nie tylko dane z rynku pracy, lecz także udział sektora w eksporcie. Za 30 proc. towarów sprzedawanych z Polski za granicę odpowiadają małe i średnie firmy. Przy czym wartość ta rośnie szybciej niż eksport ogółem. Tymczasem dla małych i średnich biznesów ryzyko wyjścia na zagraniczne rynki jest większe niż dla dużych przedsiębiorstw. A nieznajomość kontrahentów, bariery kulturowe i prawne czy opóźnienia płatności mogą zagrozić istnieniu biznesu. Mimo to aż jedna trzecia z nich nie korzysta z żadnych instrumentów zabezpieczających przed zatorami płatniczymi lub brakiem zapłaty w ogóle.

Gwarancje z programów BGK są coraz popularniejsze, w ciągu czterech lat skorzystało z nich ponad 130 tys. firm, zabezpieczając kredyty o łącznej wartości blisko 75 mld zł

Z myślą o tych firmach BGK przygotował program finansowego wspierania eksporterów. W skrócie polega on na tym, że bank finansuje rodzime firmy realizujące projekty zagraniczne, takie jak akwizycje czy inwestycje w aktywa rzeczowe, np. budowę fabryki za granicą. Co więcej, bank sfinansować może również zagranicznych nabywców polskich towarów i usług. Powszechnie wykorzystywanym narzędziem ułatwiającym handel zagraniczny jest akredytywa, czyli nieodwołalne zobowiązanie banku importera do uiszczenia zapłaty eksporterowi na podstawie zaprezentowanych przez niego dokumentów. Akredytywą można zabezpieczyć płatność za każdy towar, praktycznie we wszystkich państwach świata.

Z instrumentów wsparcia eksportu i ekspansji oferowanych przez BGK korzystają firmy zarejestrowane w Polsce, bez względu na branżę, wielkość czy rynki, na które sprzedają swoje towary lub oferują usługi. O tym, że są one skuteczne, świadczą liczby pokazujące dynamiczny 79-procentowy wzrost r/r wartości finansowania polskich firm wychodzących za granicę. W okresie I–VII 2017 r. wyniosła ona aż 1,3 mld zł. I bynajmniej nie jest to jedyny wymierny efekt prowadzonych przez BGK programów rozwojowych skierowanych do polskich firm. Innych przykład to gwarancje de minimis, dzięki którym małe i średnie firmy utworzyły (niekiedy utrzymały) 100 tys. miejsc pracy, z czego część w sektorze przemysłowym. Ostatnie dane Eurostatu pokazały, że polska gospodarka wyróżnia się na tle Starego Kontynentu: zajęliśmy trzecie miejsce na liście krajów, które odnotowały największy procentowo przyrost zatrudnienia, a w dynamice produkcji mamy szóste miejsce w UE. Polska jest liderem zwiększania zatrudnienia w sektorze przemysłowym. Pokazuje to, że niektóre filary Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, takie jak choćby reindustrializacja i ekspansja zagraniczna, działają w praktyce szybciej, niż mogliśmy się spodziewać.

Anna Szymczak

Artykuł powstał we współpracy z Bankiem Gospodarstwa Krajowego.

eprasa.pl 13086b07b7

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Oto gorszy sort Polaków

Łatwo się przywileje rozdaje, zwłaszcza gdy krucho z wyobraźnią, że przywileje jednych to zobowiązanie do płacenia za nie dla drugich. Oraz że przywileje łatwo przyznać, a znacznie trudniej je odebrać, gdy już kasy państwa, czyli podatników składających się na jej zawartość, nie stać na dalsze ich fundowanie.

Czy ktoś jeszcze pamięta, że wiele lat temu, u początków III RP, politycy zafundowali rolnikom (za pieniądze nierolników) przywilej niepłacenia przez nich podatku dochodowego PIT? I tak już zostało, bo jakoś do dziś nikt nie ma odwagi nawet wspomnieć o tym, że także wobec tego prawa – o podatku dochodowym – wszyscy obywatele RP powinni być równi, niezależnie od tego, czy żyją na wsi, czy w mieście. Stąd miesiąc za miesiącem, rok za rokiem, dekada za dekadą mieszkańcy miast – niczym niewolnicy – płacą podatek dochodowy za siebie i za mieszkańców wsi. Nie tylko zresztą podatek dochodowy, bo także – niemal w całości – składają się na ich emerytury i opiekę medyczną.

Takich przywilejów rządzący politycy rozdali całe mnóstwo – bez skrupułów dzieląc Polaków na uprzywilejowany, lepszy sort i ten pozbawiony przywilejów sort gorszy. Rozdali bezmyślnie lub z wyrachowania, powodowani strachem przed silnymi grupami interesu lub chęcią odniesienia politycznej korzyści albo jednym i drugim. W tym celu zmusili podatników do fundowania sowitych przywilejów (w tym emerytalnych) nie tylko rolnikom, lecz także górnikom, którzy na starość cieszą się średnio dwa razy wyższymi emeryturami. A także policjantom, z których większość może odejść na emeryturę po przepracowaniu zaledwie 15 lat, a tylko nowi funkcjonariusze – 25 lat (w wieku co najmniej 55 lat). Czy nauczycielom – m.in. trzech rocznych, płatnych „urlopów dla poratowania zdrowia" (dopiero teraz zablokowanych) – i funkcjonariuszom BOR, którym za rezygnację z przywileju mieszkania służbowego musimy wypłacić zaległy ekwiwalent w wysokości 370 mln zł. Politycy zmusili podatników do fundowania wielu różnych przywilejów wielu zawodom, w tym sędziom, prokuratorom, żołnierzom, strażakom, funkcjonariuszom służb specjalnych i więziennictwa.

Wszystkie te rozdęte ponad miarę, często bezzasadne przywileje każdego roku kosztują polskich podatników, czyli gorszy sort Polaków, który za nie płaci, grube dziesiątki miliardów złotych. Czy ktokolwiek kiedykolwiek zbierze się na odwagę, by je odebrać? Aby wreszcie pozbawić niesprawiedliwych przywilejów rolników, górników, policjantów itd., czy – przeciwnie – już na zawsze pozostanie tak, jak jest? Czyli gorszy sort Polaków będzie w Polsce nadal – i to w majestacie prawa – wyzyskiwany przez żyjący na jego koszt lepszy sort Polaków. A bezprawie i niesprawiedliwość dalej będą triumfować nad prawem oraz sprawiedliwością. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Zarządzanie w Kazachstanie

Od trzech lat jestem rektorem największej uczelni ekonomicznej w Kazachstanie. Mamy 7 tys. studentów i ok. 900 pracowników. W minionych 30 latach pracowałem z różnymi narodowościami: Polakami, Japończykami, Amerykanami, Europejczykami z różnych krajów, Turkami i Hindusami. Przed przyjazdem do Kazachstanu miałem wrażenie, że jestem przygotowany do zarządzania zespołem kazachstańskim. Okazało się jednak, że kulturowe DNA w Azji Centralnej jest zupełnie inne i żeby skutecznie zarządzać uczelnią, wielu rzeczy trzeba było nauczyć się od nowa.

Pracownicy nigdy otwarcie nie wystąpią przeciw szefowi, ale mogą stawiać bierny opór

Pierwszym problemem, z którym często musi sobie poradzić menedżer w Azji Centralnej, jest wszechobecna korupcja. Na uczelniach oznacza to kupowanie stopni, powszechny plagiat i ściąganie na egzaminach. Co ciekawe, likwidacja tych patologii jest możliwa w krótkim czasie przez pozbycie się osób nieprzestrzegających kodeksu etycznego (wykładowców, pracowników i studentów). W Azji Centralnej wiele osób ma krewnych wysoko w hierarchii, tzw. kryszę, czyli dach, ale jako cudzoziemiec przekonałem się, że mogę zwolnić nawet osoby z koneksjami, co byłoby bardzo trudne, gdyby menedżer był lokalny.

Kolejny krok, który pomaga w zarządzaniu, to stworzenie przejrzystych reguł „corporate governance" i stosowanie ich bez wyjątków. W typowo zarządzanych lokalnych firmach bardzo wiele decyzji podejmuje sam szef. Pracownicy nigdy otwarcie nie wystąpią przeciw szefowi, ale mogą stawiać bierny opór. W tej sytuacji pomaga stworzenie przejrzystego systemu motywacyjnego, w którym po rocznej ocenie pracowniczej dokonanej przez komitet ds. HR (w którym uczestniczą przedstawiciele wszystkich interesariuszy) najlepsi otrzymują premie i podwyżki. W przypadku Narxoza działa to bardzo dobrze.

W Azji Centralnej jest słabo rozwinięta kultura dbania o klienta, zatem firma, która stworzy taką kulturę, natychmiast zyskuje przewagę konkurencyjną. Na przykład to, że rektor regularnie zaprasza studentów na obiady i ma dla nich drzwi zawsze otwarte, bardzo pomaga w budowaniu dobrego wizerunku naszej uczelni. A ja dzięki temu mam natychmiastową i wiarygodną informację zwrotną od klientów i mogę podejmować szybkie działania naprawcze.

Jest wiele niuansów, których trzeba się nauczyć, np. bardzo ważne jest usadowienie przy stole (bliżej lub dalej od szefa) itd. Umiejętne stosowanie tej wiedzy pomaga w osiąganiu celów. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl 13086b07b7

TEST „DO RZECZY": PARROT BEBOP 2 POWER

Nowy model drona francuskiej firmy jest na tyle łatwy w obsłudze, że z pilotowaniem nie będą miały problemu nawet zupełnie niedoświadczone osoby. Wystarczy nacisnąć jeden przycisk, aby gadżet samodzielnie wystartował lub wylądował. Zabawa bezzałogowym statkiem powietrznym daje zaś niesamowitą frajdę.

Największą wadą większości dronów jest krótki czas, jaki mogą one spędzić w powietrzu. Parrot Bebop 2 Power teoretycznie oferuje aż godzinę lotu. Teoretycznie, bo francuski producent osiągnął taką wartość, dodając do zestawu drugą baterię – w praktyce podczas zdjęć w terenie przy sprzyjających, letnich warunkach pogodowych można więc latać 30 minut, wylądować, wymienić baterię i latać kolejne 30 minut.

Piloci bezzałogowca docenią również takie funkcje jak np. start z ręki (wystarczy podrzucić go do góry, a ten zawiśnie w powietrzu), autonomiczny lot w miejsce wyznaczone za pomocą smartfonowej aplikacji (tzw. touch & fly) czy opcję śledzenia optycznego wybranego obiektu, dzięki której Parrot potrafi samodzielnie podążać za pilotem lub innym wskazanym obiektem (dronem tej francuskiej firmy można śledzić np. rowerzystów czy narciarzy).

Dron służy głównie miłośnikom fotografii powietrznej. Został więc wyposażony w szerokokątną kamerę o rozdzielczości 14 Mpix z trójosiową stabilizacją. Potrafi robić zdjęcia nie tylko w formacie JPEG, lecz także RAW oraz nagrywać filmy w rozdzielczości Full HD z prędkością 30 kl./s.

Fotografowanie krajobrazów ułatwiają też różne tryby pracy drona oraz stabilność lotu. Robienie zdjęć i sterowanie samym dronem upraszczają też gogle FPV (First Person View) oraz intuicyjny w obsłudze kontroler ze specjalnym uchwytem na smartfon lub tablet (najbezpieczniej jest sparować drona jednocześnie z kontrolerem i ze smartfonem/tabletem), a także z zasięgiem pozwalającym odlecieć dronem nawet 2 km od kontrolera (obraz do smartfona przekazywany jest na odległość ok. 50 m). Domyślnie zasięg wysokości jest ograniczony do 30 m, ale można go zwiększyć do 150 m. Szkoda tylko, że zdjęcia i filmy są przeciętnej jakości. Amatorom fotografii dronowej powinna ona jednak wystarczyć.

W trybie Sport gadżet staje się bardzo zwrotny oraz szybki (potrafi się rozpędzić nawet do 65 km/godz.) i świetnie nadaje się do lotów rekreacyjnych (niedoświadczeni piloci akurat od tego trybu początkowo powinni trzymać się z daleka). Szkoda jednak, że w zestawie brakuje choćby małej walizki do transportowania gadżetu.

Sam Bebop 2 Power jest lekki (waży zaledwie 525 g) i dość wytrzymały – został bowiem zbudowany z mieszanki włókna szklanego oraz tworzywa sztucznego Grilamid. Waga jest w tym przypadku bardzo istotna – zgodnie z rozporządzeniem z 8 sierpnia 2016 r. do bezzałogowych statków powietrznych o wadze poniżej 600 g nie stosuje się zakazu dla wykonywania lotów rekreacyjnych i sportowych w miastach. Operator testowanego drona może więc pobawić się nim na osiedlu bez specjalnych zezwoleń – pod warunkiem że wykonuje tylko loty niezarobkowe.

Gadżet kosztuje 2999 zł, co jest dość konkurencyjną ceną jak na tak rozbudowany zestaw.

Jacek Przybylski ©℗

GDZIE KRÓL CHODZI PIECHOTĄ

Jaka jest najgorsza czynność związana ze sprzątaniem domu – oprócz oczywiście wynoszenia śmieci – która dziwnym trafem najczęściej w ramach „równouprawnienia" i „sprawiedliwego podziału obowiązków" przypada mężczyznom? No właśnie, sami wiecie. I niestety też najczęściej argumenty: „Kochanie, wlałem pół butelki domestosu, wsypałem kreta, może wystarczy?" spotykają się z totalnym brakiem zrozumienia. Jest jednak, a przynajmniej już za chwilę będzie, sposób, by wypełnić ten nieprzyjemny obowiązek, nie ruszając się z kanapy i nie odrywając od Twittera. Jak? Dzięki SpinX, czyli robotowi do sprzątania całej toalety, zarówno z zewnątrz, jak i hm... bardzo dogłębnie. Działa podobnie do robotów podłogowo-dywanowych typu roomba, tyle że nie biega gdzie popadnie, a działa dopiero po zamontowaniu do muszli klozetowej. System chowających się szczoteczek sięgających tam, gdzie wzrok nie sięga, zrobi wszystko, co trzeba (o ile nie zapomnimy o dosypaniu detergentów), przeanalizuje, gdzie jeszcze mogły ukryć się bakterie i która część powierzchni jest jeszcze niedoczyszczona. Cena: ok. 850–900 zł. Można zamawiać na Kickstarterze, ale spodziewana dostawa będzie dopiero w czerwcu przyszłego roku.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KIEDY UŁAN Z KONIA SPADNIE...

Przez kilka lat w snobistycznym lewicowo-liberalnym saloniku panowała wręcz moda, by się szczycić tym, gdzie i kto u kogo trenuje konną jazdę, i głośno protestować, że prawica przejmuje stadniny koni. Później co prawda zdarzało się „ups", że ktoś – np. była minister edukacji narodowej w rządzie PO – w swoich opowieściach myliła lejce z wodzami. Zawsze jednak lepsze takie „ups" od rąbnięcia tyłkiem o ziemię z wysokości końskiego siodła. A skoro o siodłach mowa, to na Kickstarterze można zamówić Kavale, czyli inteligentne siodło. No prawie inteligentne, bo nikogo anglezować nie nauczy, ale daje jeźdźcowi pewność – dzięki połączeniu z aplikacją – że jeśli z konia spadnie z dużym hukiem, to przyjaciele namierzą go bardzo szybko, co zmniejszy czas niezbędny do udzielenia ewentualnej pomocy lekarskiej. Oczywiście jeśli upadek był nieszkodliwy, to alarm można wyłączyć samodzielnie i świat o nim się nie dowie. Alarm wraz z lokalizatorem działa przez godzinę od momentu zdarzenia. Ważny jest też dla samego konia – jak przekonuje producent. Jeśli złodziej ukradnie go ze stajni lub pastwiska, to pomoże szybko go zlokalizować. Pytanie: Kto trzyma osiodłanego konia w stajni lub na wypasie? Cena przy zamówieniu to ok. 450 zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 13086b07b7

Biustonosz story

Joanna Bojańczyk

Nic tak dobrze nie pokazuje zmian w kanonach kobiecego piękna jak część garderoby, która znajduje się najbliżej ciała – biustonosz

Śledząc donosy ze ścianek, można odnieść wrażenie, że bez powiększenia biustu nie może obejść się dzisiaj żadna kobieta. Że jest to zabieg, za który NFZ powinien zwracać pieniądze, bo dorodny, sterczący z pokaźnego dekoltu biust należy się każdej babie jak psu buda. Natura nie dała? Od czegóż są chirurdzy?!

Jak bardzo niewygodny, niebezpieczny, kosztowny i nienaturalny nie byłby powiększony sztucznie biust, kandydatek do implantacji nie brakuje. Przecież gwiazdy tak mają. Modelka Lara Stone, Kim Kardashian, której biust i pupa mają dziesiątki milionów odsłon w Internecie. Liczba zabiegów powiększenia piersi rośnie. Aktorki, celebrytki nie wstydzą się mówić o tym otwarcie: Doda, Ewa Chodakowska, Agnieszka Szulim, Paris Hilton.

Biust zawsze był ważny, ale nie zawsze był w centrum uwagi. Jako część zmieniającego się ideału kobiecego piękna raz kurczył się, znikał, potem rósł, pęczniał, znowu zanikał, żeby ponownie odzyskać znaczenie. Te turbulencje pokazuje wystawa zorganizowana przez firmę Triumph, która zilustrowała historię biustonosza i zaprezentowała jego archiwalne egzemplarze. Oglądając te delikatne artefakty, współczesna użytkowniczka nie może się oprzeć dwóm sprzecznym odczuciom: piękne były te dawne cuda, ale nie chciałybyśmy dzisiaj ich nosić.

CIAŁO W RYZACH

Mamy tu tylko ostatnie 130 lat, bo tyle liczy sobie Triumph i tyle minęło od czasu, gdy dwaj podtatusiali panowie: gorseciarz Johann Gottfried Spiesshofer i kupiec Michael Braun z sześcioma maszynami do szycia i sześcioma pracownikami w zaciszu stodoły wystartowali z produkcją gorsetów w Heubach w południowych Niemczech. Potem zwiedzając Paryż i stojąc na Łuku Triumfalnym, wpadli na pomysł nazwania firmy Triumph. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że mieli nieprzeciętną intuicję co do marketingu.

W ciągu samego tylko XX w. trendy zmieniały się kilka razy. Gdy w latach 20. gorset został zrzucony – bez względu na to, czy było to zasługą panny Chanel czy jej konkurenta Paula Poireta – nastąpił koniec XIX-wiecznej katorgi, nienaturalnie ściśniętej talii i wywindowanych piersi. Wyzwolenie jednak nie oznaczało uwolnienia. Po gorsecie zostały kombinezony, połączenie majtek i stanika, też niewygodne, ściskające sylwetkę, bo elastycznych tkanin jeszcze nie znano. Bieliznę szyło się z płótna, atłasu i wzmacniało szwami, żeby konstrukcję usztywnić.

W latach 20. system ucisku poluzował się: kombinezony rozdzieliły się na dół i górę, to ułatwiało pranie i odpowiadało wymaganiom mody, która stawiała na płaską sportową sylwetkę. Na szczęście kombinezony nie wymagały już sznurowania.

W trudnych i ubogich latach 50. moda nie miała takiego znaczenia jak dziś. Tylko Dior w swojej przebojowej kolekcji „New Look" mocno podkreślił kontury sylwetki – wąską talię i wyeksponowany biust. Ten ostatni w szczodrych dekoltach otrzymuje dodatkowy bodziec do rozkwitu. Wiedzą o tym w Hollywood, gdzie cała para idzie w eksponowanie kobiecej urody. Elizabeth Taylor w bieliźnie w kolorze kości słoniowej w filmie „Kotka na gorącym blaszanym dachu" pobudza zmysły. Marilyn Monroe – blond włosy, zmysłowe ruchy i biust podkreślony spiczastymi biustonoszami. Dziecinny i niebezpieczny kociak Brigitte Bardot.

Modne w latach 50. suknie z odsłoniętymi ramionami wymagały urządzenia, które podtrzymałoby biust i nadało mu kształt. Tak powstał stanik bez ramiączek. Był niezastąpiony, gdy dorodne piersi Rity Hayworth czy Jayne Mansfield, jednej z pierwszych dziewczyn okładkowych „Playboya", domagały się podpórki. Przy czym należy wyjaśnić, że ówczesne biusty były całkowicie naturalne, jeszcze niewypasione silikonem.

Modelka w biustonoszu Doreen BH Sensation z reklamy pokazywanej na wystawie poświęconej historii biustonosza, zorganizowanej przez firmę Triumph FOT. MATERIAŁY PRASOWE Z WYSTAWY HISTORYCZNEJ TRIUMPH

eprasa.pl 13086b07b7

Gdy w latach 60. rozpoczyna się proces emancypacji kobiet, bielizna robi kolejny krok w stronę wygody. Triumph wypuszcza pierwszy biustonosz Doreen wykonany z elastanu. To oznacza nową erę. Na nieodczuwalną, niewidoczną, bezszwową bieliznę trzeba będzie jeszcze poczekać. Jednak już nie tak długo.

BIUSTONOSZ BEZ BIUSTONOSZA

Na razie wcieleniem ideału jest angielska modelka Twiggy, płaska jak deska. Takiej dziewczynie biustonosz jest zbędny, ale generalnie w feministycznej propagandzie zaczyna on nabierać posmaku narzędzia dyskryminacji. Według legendy miejskiej jest przez kobiety masowo palony. W rzeczywistości chodzi o niewielki incydent z roku 1968, gdy grupka kobiet w proteście przeciwko pokazowi piękności w Atlantic City w USA pikietowała przed budynkiem, wykrzykując feministyczne hasła. Aby wystąpienie uczynić bardziej spektakularnym, do beczki z ogniem panie wrzuciły symbole zniewolenia – mopy, patelnie, garnki, pasy wyszczuplające, kilka egzemplarzy „Playboya", pończochy i nieszczęsne staniki. Nikt jednak nie podchwycił hasła: „Feministki palą garnki", w świat poszła tylko sprawa kilku zwęglonych staników...

W latach 70. wszystko dzieje się w myśl haseł o zdrowiu i dobrej kondycji. Wprawdzie obsesja na punkcie ciała ma jeszcze rozsądne wymiary w porównaniu z tym, co nastąpi w trzecim millennium, ale już ruch w interesie się zaczyna. Ciało, czyli body, nie jest już mizerne i wychudzone jak 10 lat wcześniej, ale piękne, zdrowe i niepozbawione okrągłości. Dzięki wynalazkowi staników push-up – windujących i optycznie powiększających biust – piersi odzyskują wartość. Do gry wkracza lycra, wynalazek koncernu Dupont. Teraz już naprawdę bielizna może być nieodczuwalna, lekka, niemal przezroczysta. To biustonosz bez biustonosza.

BIUSTY ROSNĄ

Kobiety kupują praktycznie. Z badań firmy Triumph obejmujących różne kraje wynika, że kobiety najbardziej cenią sobie bieliznę wygodną, dopasowaną i modelującą sylwetkę. To zachowania niezależne od kraju. Na wygodę stawiają Skandynawki, Amerykanki i Niemki. Największymi amatorkami seksownej bielizny są Brazylijki. Nie chce nam się mierzyć biustonoszy w sklepie – kupujemy je na oko. Tak robią Dunki, Szwedki, Amerykanki i Polki. Francuzki często decydują się na zły rozmiar, kiedy spodoba im się kolor lub fason biustonosza, a nie mogą znaleźć właściwego rozmiaru. Podobnie Rosjanki – zakładają zbyt ciasne staniki, bo chcą lepiej zaprezentować się w wyjściowych sukienkach. Na bieliznę wydajemy rocznie ok. 445 zł. Najmniej Amerykanki, najwięcej Brazylijki. W połowie stawki znalazły się Niemki. Z badania firmy Kantar Millward Brown wynika, że większość Polek kupuje bieliznę przynajmniej raz na pół roku.

Tymczasem biusty w krajach zachodnich rosną. To fakt odnotowany wszędzie. „Super Express" doniósł, że w Polsce rozmiar stanika w ciągu ostatnich 20 lat zwiększył się z miseczki B do C i D. Czy odpowiedzialne jest za to tycie społeczeństwa, a zatem również zwiększenie biustu? Według seksuologa i psychologa Stanisława Dulki przyczyną „rozrostu" piersi są deszcze zawierające cząsteczki chemicznych substancji, głównie hormonów, którymi zanieczyszczone są dzisiaj wody. Jednak może powiększanie biustu stało się już tak powszechne, że można je odnotować w statystykach? Czy rozpowszechnienie się usługi brafittingu – indywidualnego dopasowania biustonosza – ma z tym związek?

– Nie możemy jednoznacznie stwierdzić, czy biusty są większe – odpowiada Marta Grabowska z Triumpha. – Obserwujemy zwiększone zainteresowanie większymi rozmiarami miseczek, ale wiążemy to z rosnącą świadomością kobiet co do doboru prawidłowego rozmiaru, a także popularnością usługi brafittingu – dodaje.

Magazyn „Modna Bielizna" zrobił w 2016 r. ankietę, na którą odpowiedziało 50 sklepów. Wynikało z niej, że najlepiej sprzedają się większe rozmiary biustonoszy. – Ta tendencja potwierdziła się w następnym roku – mówi Ada Maksim z „Modnej Bielizny". 80 proc. sklepów odpowiedziało, że ten asortyment cieszy się większym zainteresowaniem klientek niż inne rozmiary.

Elizabeth Taylor w filmie „Kotka na gorącym blaszanym dachu"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE Z WYSTAWY HISTORYCZNEJ TRIUMPH

A jaka jest moda stanikowa?

– Na świecie generalnie nadal rządzi trend związany z tzw. athleisure, modą na sportowy tryb życia, sportowe stroje na co dzień, nie tylko na zajęcia fitness – tłumaczy Ada Maksim. – W bieliźnie przejawia się on wykorzystywaniem bardziej zaawansowanych technologicznie materiałów, minimalistyczną, „sportową" stylistyką i nastawieniem głównie na wygodę – dodaje.

– W Polsce najlepiej sprzedają się biustonosze w kolorach beżowym i czarnym, uważanych za uniwersalne i praktyczne – wyjaśnia Marta Grabowska. – Tej jesieni modny jest także burgund. Na co dzień nasze klientki wybierają przede wszystkim swobodę, wygodę i jakość, niekoniecznie wiążąc to tylko z bielizną bawełnianą. Również ta zmysłowa jest wybierana nie tylko na specjalne okazje – dodaje.

A jaki jest biust idealny? Czy to coś między sterczącymi półkulami Kim Kardashian i płaskim popiersiem Kate Moss? Brytyjscy naukowcy zgromadzili 1,3 tys. ochotników płci obojga, którzy przejrzeli setki zdjęć piersi. Wyniki badań opublikowano w fachowym czasopiśmie medycznym „Plastic and Reconstructive Surgery". Jako najlepsze proporcje piersi uznano takie, w których 55 proc. powierzchni znajduje się poniżej sutka, a 45 powyżej. Taki właśnie ideał należy do Wenus z Milo. Zatem, panie, chwytajcie za centymetr.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13086b07b7

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Antyfeministki I RP

Śmiech mnie ogarnia, kiedy czytam opinie, jak udręczona była kobieta w dawnej Polsce. Jak to zmuszano ją do rodzenia dzieci, służenia mężowi.

Dawne księgi sądowe przechowały pamięć o kilkunastu niewiastach, które w ogóle nie wpisują się w ten schemat. Zapisały się w dziejach jako zawzięte awanturniczki zajeżdżające sąsiadów, z szablą w ręku, toczące spory i urządzające awantury. Postacie pań takich jak **Felicjana Stadnicka, Teofila Chmielecka, Zofia Golska** czy wreszcie **Anna Chrzanowska**, zwanych w młodszym wieku wilczycami kresowymi, a pod koniec życia herod-babami, nie mają odpowiedników w kulturze zachodniej. Tylko w dawnej Polsce pojawił się typ wojowniczki-amazonki wsiadającej na koń. Może jedynym ich odpowiednikiem były piratki z początku XVIII w. – Mary Read i Anne Bonny. Polki i Rusinki nie bardzo jednak nadawały się na prototypy dzisiejszych feministek. Po pierwsze – odznaczały się wdziękiem i urodą, gdyż zwykle do ich ręki ustawiała się kolejka kandydatów. Po drugie – praktycznie każda miała dzieci i życie rodzinne, aczkolwiek często – co tu dużo mówić – burzliwe.

Anna Chrzanowska FOT. MUZEUM DIECEZJALNE W SANDOMIERZU

Jedną ze sławniejszych wilczyc stepowych była **Anna Łahodowska**, przez całe życie uwikłana w procesy, zwady i awantury. Pierwszym jej mężem był Mikołaj Małyński, który w roku 1627 zginął na wojnie ze Szwedami o ujście Wisły. Anna pocieszyła się po nim szybko, drugim jej mężem został Stanisław Kilian Boratyński, który miał taki sam niespokojny charakter jak jego żona. Jedną z najsłynniejszych awantur z jego udziałem było porwanie z Jarosławia w roku 1623 śpiewaka, którego Boratyński pragnął mieć na dworze. Potem zaś, nie chcąc, by ów wraz z mutacją stracił swój głos, postanowił go wykastrować. Nieszczęsny młodzieniec uciekł jednak do księżnej Anny Ostrogskiej, a Boratyński próbował odebrać go siłą – sceny te pokazane były w czwartym odcinku starego serialu „Rycerze i rabusie".

Ślub z Boratyńskim oznaczał dla Łahodowskiej awanturę z krewnymi – Ludzickimi. Właściwie poszło o spadek po Macieju Ludzickim, wuju jej pierwszego męża, przy czym sprawa zawikłana była niczym gordyjski węzeł. Zaraz po zgonie Macieja Anna zajechała wszystkie jego włości, a brat zmarłego – Olbracht – stwierdził, że sfałszowała testament. Wywiązał się zatem długi proces, a gdy brat nieboszczyka męża wyjechał na trybunał lubelski, Anna, korzystając z pomocy rodzonego brata Marka i kuzyna Krzysztofa Sienieńskiego, zajechała dobra Ludzickiego, zdobyła i złupiła jego zameczek w Grzymałowie. Z kolei Boratyński wplątał żonę w zatarg o wyrąb lasów z wojewodziną Zofią Golską, mającą podobną opinię jak Łahodowska. Tak herod-baba starła się z wilczycą.

Kolejnym wrogiem bohaterki okazał się Jan Brzuchowski, deputat na trybunał lubelski, który pozwał ją z powodu nieoddania długu i uzyskał zaoczny wyrok banicji. Straszliwa niewiasta nic jednak sobie z tego nie robiła – nasłała na gospodę Brzuchowskiego 10 hajduków, którzy dopadli go w izbie i porąbali, krzycząc przy tym: „Otóż tobie banicja, banicja!".

Jak każda porządna wilczyca Anna miała własne wilcze gniazdo – wieś Kałaharówkę w powiecie trembowelskim, nad Zbruczem. Miejscowość ta istnieje do dziś, brak jednak w niej jakichkolwiek pamiątek po Łahodowskiej, nie sposób nawet ustalić, gdzie stał jej dwór. Anna zasłynęła jako awanturniczka prowadząca nie tylko bezustanną wojenkę z Ludzickimi z Grzymałowa, lecz także z Sieniawskimi, którzy siedzieli tuż za miedzą, a właściwie za rzeką, bo w Satanowie, który od Kałaharówki odgradza jedynie Zbrucz. Podczaszy koronny Mikołaj Sieniawski kilkakrotnie zwoływał pospolite ruszenie i bezskutecznie oblegał dwór Anny w Kałaharówce.

Nie wiadomo, co stało się pod koniec życia z panią Łahodowską. Wiadomo, że ok. 1638 r. opuścił ją syn z pierwszego małżeństwa – Stefan Małyński, który pomagał w awanturniczych wyprawach, za co otrzymał wyroki infamii i banicji. Ciekawe, że był studentem Akademii Zamoyskiej, który co jakiś czas, jak byśmy powiedzieli dzisiejszym językiem – po sesji – wpadał do matki, aby dowodzić hultajstwem i kozakami. Około 1638 r. opuścił ją jednak i związał się z wrogami Łahodowskiej – Fredrami. Pogodził się z nią dopiero pod koniec żywota, którego pani Łahodowska dokonała prawdopodobnie właśnie w Kałaharówce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 13086b07b7

SEKRET STAROPOLSKIEGO BIGOSU ZDRADZA WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Bigos staropolski nie jest ogólnie znany w Europie. Nie wiem dlaczego. Wiem tylko, że gdy cudzoziemiec próbuje polskiego bigosu, to ślina mu cieknie na stół i trzeba podkładać serwetkę. Czemu staropolski bigos zawdzięcza swój niepowtarzalny smak? Temu, że łączymy kapustę kiszoną i świeżą. Drugą bardzo ważną sprawą jest mięso. Im więcej różnorodnego mięsa dodamy, tym bigos będzie smaczniejszy. Muszą być i wołowina, i wieprzowina, i kurczak, i boczek oraz – obowiązkowo – biała kiełbasa. Ważne, żeby gotowy bigos postał kilka dni w chłodzie. Po trzech dniach, jeśli będziemy go podgrzewać, zrobi się z niego jednolita masa, w której trudno będzie odróżnić kapustę od mięsa. I o to w tym chodzi. Jednak przez pierwsze dni musimy ostrożnie mieszać przy podgrzewaniu, by tej konsystencji nie osiągnął za szybko. Kiedy robię bigos na Boże Narodzenie, jemy go jeszcze w sylwestra. Po tygodniu nie traci zupełnie nic ze swojej jakości. I jeszcze jedna rada – choć grzyby są w tym wszystkim najdroższe, to nie oszczędzajmy na nich. Dorzućmy sporo, najlepiej prawdziwków. Wtedy nasz bigos będzie bardzo smaczny. Reklamacji nie przyjmuję.

FOT. JERZY DUDEK/FORUM

Składniki (na garnek 10 l):

- ok. pół główki świeżej kapusty
- 2 kg kapusty kiszonej
- 600 dag wołowiny
- 600 dag wieprzowiny
- 4–6 udek kurczaka
- 30–40 dag boczku
- ok. 8 pętek białej kiełbasy
- suszone grzyby (najlepiej prawdziwki)
- śliwki
- czerwone wytrawne wino
- liść laurowy, sól, pieprz

Przygotowanie:

Kapustę kroimy na drobno. Świeżą gotujemy razem z grzybami. Do porządnego garnka z grubym dnem (w takim bigos nie będzie się przypalał) wrzucamy zagotowaną świeżą kapustę, kapustę kiszoną, mięso (białą kiełbasę kroimy w dość grube, ok. centymetrowe plastry), kilka (maksymalnie 10) suszonych lub gotowanych śliwek i ok. 20 liści laurowych. Pierwsze gotowanie powinno potrwać ok. 2,5 godz. Potem chłodzimy bigos i gotujemy drugi raz, dodając jedną trzecią butelki czerwonego wytrawnego wina. Na końcu przyprawiamy solą i pieprzem do smaku. Bigos najlepiej smakuje ze świeżym pieczywem bez masła. ©℗

oprac. raw

Wojciech Reszczyński jest dziennikarzem, od 1986 r. był głównym prowadzącym „Teleexpressu", pierwszy prowadzący „Wiadomości" po 1989 r.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Cukierek jako magdalenka

Wybraliśmy się do teatru ze znajomym, który przyjechał do kraju po wielu latach pobytu w Ameryce. W przerwie kupiłam w bufecie „kamyczki", takie retrocukierki, dobrze znane dzieciom z PRL. Smak tych poczciwych cukierków wzruszył przyjaciela prawie do łez, stawiając mu przed oczami wspomnienia spędzonego w Brwinowie dzieciństwa. Efekt proustowskiej magdalenki...

Ten epizod uświadomił mi, jak bardzo w słodyczach zaklęty jest sekretny smak dzieciństwa. Tym większy, im bardziej były one niedostępne, wyczekiwane, wydzielane. Słodycze „obce" z niczym się nie kojarzą, są tylko banalnie słodkie. Człowiek mojego pokolenia, które większość życia spędziło w PRL, rozczula się na smak kukułek, raczków, krówek, irysów, sugusów, dropsów. Dlatego wkurzała mnie reklama niemieckich cukierków z zadbanym dziadkiem (na niemieckiej emeryturze), częstującym wnuczka „tradycyjnymi" cukierkami. Musiał zrobić ją ktoś kompletnie pozbawiony wyczucia, bo nawet 20-latek widzi, że chodzi tylko o wprowadzenie na rynek produktu, który z polską tradycją ma tyle wspólnego co batonik Mars. Tyle samo ma wspólnego wypielęgnowany bawarski dziadek z rodzimym emerytem.

FOT. FOTOLIA

Większość cukierków chce łudzić pseudotradycyjną polskością, choć wiadomo, że wyprodukowano je w międzynarodowych koncernach. Na szczęście Wedel razem z nazwą zachował dawny smak czekolady, a moje ulubione malagi są takie same jak kiedyś. Podobnie jak „kultowy" torcik czekoladowy, po który stałam w kilometrowej kolejce, żeby zawieźć go znajomym we Francji.

W mojej osobistej historii osobne miejsce zajmuje krówka. Dzieciństwo spędziłam w Milanówku i do jednej klasy chodziłam z Hanką Pomorską, wnuczką Feliksa Pomorskiego, właściciela fabryki słynnych krówek. Nasza klasa miewała wycieczki do fabryki, po których – jak można zgadnąć – wszyscy chorowaliśmy na żołądek...

Feliks Pomorski nauczył się te cukierki robić u wuja w Żytomierzu. W latach 20. XX w. w Poznaniu ruszył z produkcją na skalę przemysłową. Mimo trudności i przymusowych przeprowadzek w czasie okupacji udało mu się ją wznowić w podwarszawskim Milanówku.

Nawet po nacjonalizacji nie poddał się i przeniósł manufakturę do przydomowego ogrodu. Zawirowania transformacji krówka także przetrwała. Ta jedynie słuszna, w biało-brązowym papierku, ręcznie robiona. W wersji ciągutki lub kruchej.

Niech się schowają mdłe słodycze koncernu Nestle, lepkie od syropu kukurydzianego. ©℗

eprasa.pl 13086b07b7

POJEDYNEK CROSSOVERÓW: OPEL CROSSLAND X KONTRA NISSAN QASHQAI

Crossland X – crossover o długości 4,21 m – to pierwszy model Opla, który Niemcy zaprojektowali już razem z Francuzami. Od razu w oczy rzuca się zadziorne dwukolorowe malowanie, które może spodobać się potencjalnym głównym klientom: młodym rodzinom z małymi dziećmi, które potrzebują auta głównie do miasta.

Z kolei najnowszy Qashqai – crossover o długości 4,38 m – to bestseller Nissana po niedawnym liftingu: z nową osłoną chłodnicy, nowymi reflektorami, płetwą rekina zamiast klasycznej anteny oraz odmienionym tylnym zderzakiem.

W KABINIE

Opel Crossland X jest zaskakująco przestronny jak na tak niewielkie auto. Miejsca jest wystarczająco dużo zarówno z przodu, jak i z tyłu. Akurat dla czterech dorosłych. Deska rozdzielcza jest dobrze rozplanowana. Użyte wewnątrz plastiki są już jednak dosyć twarde. Na pochwałę zasługuje za to ekran nawigacji.

Lepsze wrażenie w środku robi zmodernizowany Nissan Qashqai. Zastosowano materiały wyższej jakości. Plastiki wydają się mniej twarde. Bardziej luksusowo prezentują się też np. skórzane fotele. Miejsca jest wystarczająco dużo i z przodu, i z tyłu.

Zarówno Opel, jak i Nissan mogą zostać doposażone w podgrzewaną przednią szybę oraz ogrzewanie przednich foteli, co bardzo przydaje się podczas jesienno-zimowych poranków.

Bagażnik Crosslanda X mieści od 410 do 1255 l. Kufer Qashqaia ma z kolei pojemność od 401 do 1585 l.

JAZDA

Crossland X jest lepiej wyciszony niż Qashqai. Z kolei zawieszenie Nissana lepiej radzi sobie z tłumieniem nierówności, zawieszenie Opla na dziurawych drogach jest też zbyt głośne.

Qashqai zdaje się też mieć bardziej precyzyjny układ kierowniczy, co można odczuć zwłaszcza na nieco gorszych drogach. W obu przypadkach nie najlepiej działają manualne skrzynie biegów: dźwignia nie zawsze precyzyjnie trafia w odpowiednie miejsce. Żaden z testowanych samochodów nie daje też kierowcy zbyt wielkiej frajdy z jazdy. Oba są raczej przeznaczone dla kierowców, którzy cenią sobie komfortową i spokojną jazdę. Na przyspieszenie od 0 do 100 km/godz. Crossland X z benzynowym silnikiem o pojemności 1,2 l i mocy 110 KM potrzebuje 10,6 s, a Qashqai z silnikiem 1,2 l i mocy 115 KM – 10,9 s.

Nissan Qashqai

Opel Crossland X

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP zarówno Crossland X, jak i Qashqai otrzymały komplet pięciu gwiazdek. W kategorii ochrony dorosłych podróżujących Opel zdobył 85 proc. punktów, a Nissan 88 proc. Jeśli chodzi o ochronę dzieci, to Crossland X uzyskał 84 proc. punktów, a Qashqai 83 proc. W kategorii ochrony pieszego Opel dostał 62 proc. punktów, a Nissan 69 proc.

Crossland X jest wyposażony w system rozpoznawania znaków drogowych, asystenta pasa ruchu oraz w opcjonalny układ automatycznego hamowania awaryjnego z funkcją wykrywania pieszych oraz system OnStar, który w razie wypadku potrafi samodzielnie wezwać pomoc. Zaletą crossovera Opla jest też opcjonalny wyświetlacz przezierny (tzw. HUD), który pozwala odczytać informacje o prędkości czy obowiązujących ograniczeniach bez odrywania wzroku od drogi.

Minusem Opla są małe lusterka zewnętrzne, a także napęd tylko na jedną oś.

Qashqai oferuje z kolei tzw. tarczę bezpieczeństwa. Wchodzące w jej skład systemy nieustannie monitorują ruch i w przypadku ryzyka kolizji lub np. potrącenia pieszego najpierw ostrzegają kierowcę, a potem autonomicznie uruchamiają hamulec. Crossover Nissana ostrzega również przed niezamierzoną zmianą pasa ruchu, a także pojazdami w martwym polu lusterek. Komputer Qashqaia wykrywa również znaki i informuje o dozwolonej prędkości.

CENA

Najtańszy Opel Crossland X z silnikiem benzynowym o pojemności 1,2 l i mocy 110 KM i manualną skrzynią biegów kosztuje 58,7 tys. zł. W wersji Elite cena rośnie już do 75 tys. zł (a po dodaniu pakietów bezpieczeństwa, oświetlenia, regulacji foteli rachunek zbliża się do 90 tys. zł).

Za Nissana Qashqaia z silnikiem benzynowym o pojemności 1,2 l i mocy 115 KM trzeba zapłacić co najmniej 75,7 tys. zł (w najwyższej wersji wyposażenia z wliczonym w cenę pakietem bezpieczeństwa, reflektorami LED z funkcją doświetlania zakrętów, skórzaną tapicerką oraz elektronicznie odsłanianym panoramicznym oknem dachowym cena rośnie do 111,3 tys. zł).

KONKURENCI

Fiat 500X, Mazda CX-3, Nissan Juke, Peugeot 2008, Renault Captur, Suzuki Vitara, Toyota C-HR

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 13086b07b7

Zmieniamy się dla Państwa

REPUBLIKA

Analfabet III RP

niedziela 21:30

Oglądaj Telewizję Republika za darmo: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 13086b07b7

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Coś się kończy, coś zaczyna

MARCIN MAKOWSKI: Ryszard Petru, dwa lata po utworzeniu partii, przestaje być jej przewodniczącym. Jest Mateuszem Kijowskim polskiej polityki?

MATTHEW TYRMAND: Nie jestem tym zaskoczony. Chwilę po utworzeniu Nowoczesnej napisałem we „Wprost" tekst pod subtelnym tytułem: „Nowy dom dla starego pasożyta". Argumentowałem wtedy, że ten projekt polityczny nie może się udać, bo jest oparty na kłamstwie. Nowoczesna od początku wyglądała jak wydrążona dynia, która z zewnątrz robi groźną minę i obiecuje coś zwojować, a w środku jest programowo pusta. Bo właściwie do czego ona się odwołuje? Do liberalizmu, wzmocnienia klasy średniej, niższych podatków, świeckiego państwa? A może po prostu chodzi o pozory zbudowania „fajnej i uśmiechniętej Polski"? Historia Ryszarda Petru, zdetronizowanego we własnym środowisku przez intelektualne karły pokroju Piotra Misiły, udowadnia, że nawet oni nie wierzyli w jego bajki.

Marudzisz, tymczasem „The New York Times" napisał, że polska opozycja parlamentarna wreszcie doczekała się kobiety liderki. I że to obiecująca zmiana.

Lubnauer, choć mniej arogancka od swojego dawnego szefa, to porównywalny kaliber przenikliwości. Jeśli jakaś partia w Polsce zwraca się o poparcie do Guya Verhofstadta, to sama pisze na siebie wyrok. Bez znaczenia, kto nią rządzi. Nowoczesna to tonący statek, który walczy o utrzymanie się na powierzchni. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby w przyszłych wyborach zupełnie wypadła z Sejmu. Dwa lata temu udało się podebrać trochę elektoratu Platformie, ale patrząc na sondaże, widać, że dzisiaj zaczyna on wracać pod skrzydła Schetyny. I to jest chyba najlepsze podsumowanie kondycji tej formacji.

Byłeś niedawno w Toruniu na konferencji „Pamięć i nadzieja" poświęconej Polakom ratującym Żydów podczas II wojny światowej. Obecni byli prawie wszyscy – od premier Szydło do ministrów i przedstawicieli rządu Izraela. Wszystko organizuje o. Tadeusz Rydzyk. Ciekawe czasy.

Prawda? Niby po ulicach maszeruje „60 tys. nazistów", a tutaj można się spotkać i znaleźć wspólny grunt pomiędzy Warszawą i Jerozolimą. To była fantastyczna konferencja, którą ze strony Izraela kierował Hilik Bar, zastępca przewodniczącego Knesetu. Na miejscu Jonny Daniels, Michał Lisiecki, najważniejsi ministrowie. Kilka przemówień na pewno zasługuje na wspomnienie. Mateusz Morawiecki mówił o tym, że Żydzi i Polacy jako ofiary II wojny muszą nazywać rzeczy i oprawców po imieniu. Za te zbrodnie i Holokaust odpowiedzialni są Niemcy, a nie jacyś bezpaństwowi naziści. Beata Szydło podkreśliła swoją osobistą historię wychowywania się w Oświęcimiu i bliskości Auschwitz, które uwrażliwiło ją na temat Holokaustu. Mariusz Błaszczak wyliczał straty osobowe Polski, wskazując, że dotyczyły one w dużej mierze elity narodu. Dlatego dzisiaj służby takie jak policja oraz wojsko muszą zrobić wszystko, aby chronić kraj przed podobnym ciosem w jego potencjał. Tymczasem zarówno Rosja, jak i Niemcy nie poniosły odpowiedzialności za zbrodnie, z których Polska nadal się dźwiga. Jedno z najmocniejszych przesłań wyszło jednak z ust Jana Dziedziczaka, który wskazywał nie tylko na straty, lecz także na konieczność uczenia się z błędów historii. Jego zdaniem – i z tym się zgadzam – Polska w dużej mierze odrobiła swoją lekcję. Chodzenie w jarmułce po ulicy nie jest powodem do strachu, w przeciwieństwie do wielu państw Starej Europy.

Widziałem zdjęcie, na którym o. Tadeusz Rydzyk chwyta cię za ucho. Ksiądz katolicki atakuje nowojorskiego Żyda!

To prawda. Rozmawiałem z o. Rydzykiem na temat mojego ojca, Polski i Sprawiedliwych. W pewnym momencie zaproponowałem selfie. Zgodził się, miało być na poważnie, ale nagle chwycił mnie za ucho, mówiąc, że potrzebuję nieco dyscypliny. W sumie usta mi się nie zamykały, a on sprowadził mnie na ziemię. Mądry człowiek (śmiech). ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 13086b07b7

TYGODNIK WOLNYCH POLAKÓW

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ 2 KSIĄŻKI

144 zł

OSZCZĘDZASZ!
110 zł

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ 2 KSIĄŻKI

145 zł

OSZCZĘDZASZ!
122 zł

PRENUMERATA

OSZCZĘDZASZ!
258 zł

220 zł

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ 3 KSIĄŻKI

OSZCZĘDZASZ!
194 zł

260 zł

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ MIESIĘCZNIK "HISTORIA DO RZECZY"

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 13086b07b7

OKIEM BLOGERKI

Zgwałcona z rozpędu

KATARYNA

***DOMINIKA DYMIŃSKA:** Po wieczorze spędzonym z czołowym lewicowym publicystą, mimo jego kiepskiego stylu podrywu i zachowania, nieopatrznie skończyliśmy u mnie w domu. Zaczął proponować mi związek, obiecując całkowitą zmianę swojego postępowania. Zgodziłam się, ale ponieważ byliśmy pijani i zmęczeni, poprosiłam, żebyśmy poczekali z seksem. Niestety, nie mógł się opanować. Zostałam zgwałcona. Okazałam niechęć i wielokrotnie prosiłam, by przestał – nie chciałam, żeby nasz pierwszy seks wyglądał w ten sposób. Reagował na to poirytowaniem, zwrócił mi uwagę, że „mogłabym zacząć być zadowolona". Nie chciałam go wtedy obwiniać. Myślałam, że może to tak z rozpędu, z głupoty.*

Dzięki takim wyznaniom dużo bardziej przegrane będą kolejne ofiary gwałtów

Nie chciałam go wtedy obwiniać. Myślałam, że może to tak z rozpędu" – napisała Dymińska o rzekomym gwałcie, który miał miejsce blisko trzy lata temu, a sprawcą był człowiek, z którym się tej nocy związała na prawie dwa lata. Nie pojmuję, jak pięć autorek listu oskarżającego dwóch ich kolegów o molestowanie i nie wiadomo, ile kolejnych, które ten list przed opublikowaniem przeczytały, mogły puścić w świat tak kuriozalne wyznanie. Gwałt z rozpędu? Gwałt, za który się gwałciciela usprawiedliwia zaraz po fakcie, by go wyciągnąć po kilku latach i jednym listem zniszczyć publiczną karierę swojego byłego chłopaka? Nie było mnie przy tym, nie wiem, jak było, ale nie znając żadnego z bohaterów tamtego wieczoru, obojgu mogę wierzyć lub nie wierzyć tak samo. I może to ta słynna polska „kultura gwałtu", o którą środowisko Dymińskiej i Dymka lubi nas oskarżać, ale chyba jestem skłonna w tej sprawie uwierzyć wersji Dymka. W końcu gwałt jest przeżyciem tak strasznym, że chyba trudno sobie wyobrazić, aby mógł być wstępem do dłuższego związku, jak kino i kolacja z winem.

Jeśli zgwałcona feministka nie chce obwiniać gwałciciela, ba, usprawiedliwia go, potem przez długie miesiące jest z gwałcicielem, a zarzut gwałtu wyciąga po latach ni z tego, ni z owego, to trudno sobie wyobrazić większy cios dla wszystkich kobiet – ofiar przemocy seksualnej. Takiej prawdziwej, kiedy kobieta nie idzie „nieopatrznie" po pijaku z równie pijanym kolegą do swojego domu, kiedy nie daje się „zgwałcić z rozpędu", choć przecież „okazała niechęć". Sama zresztą Dymińska w liście, który czytało wiele feministycznych oczu, pisze o gwałcie po prostu „nasz pierwszy seks". Pani Dymińska może dzisiaj uważać, że to był gwałt, być może przytakną jej w tym koleżanki przekonujące, że gwałt jest zawsze wtedy, kiedy nie ma entuzjastycznej zgody kobiety, ale naprawdę nie ma powodu jej wierzyć, jeśli ona sama zdaje się nie bardzo w ten gwałt wierzyła. Jeśli do tego prawdą jest, że sam Dymek był szantażowany jeszcze przed upublicznieniem listu, że zostanie oskarżony o gwałt, to mamy do czynienia z sytuacją wykorzystania superpoważnego oskarżenia, przed którym oskarżony nie ma najmniejszej możliwości się bronić, sprowadzenia do rozgrywki, w której jest zawsze przegrany. Tyle że dzięki takim wyznaniom jak te Dymińskiej dużo bardziej przegrane będą wszystkie kolejne ofiary gwałtów, które zechcą wykrzyczeć swoją krzywdę. Przez kuriozalne wyznanie Dymińskiej, która tak zagrała swoim wspomnieniem rzekomego gwałtu, każda ofiara będzie miała teraz trudniej. Bo może i ona po pijaku wzięła pijanego kolegę na chatę i on ją tak tylko z rozpędu albo z głupoty... ©℗

PODSŁUCHANE

Polityka na życzenie

To jak robimy, panie prezesie?
Jak zwykle, panie pośle: skutecznie. Ja wiem, że pan jest skuteczny.

Staram się, jak mogę. Dla partii.
Ten tekst to ma pan wyuczony?

Że co proszę?
Nie, nic. Czyli tak: poprawki do ustaw Dudy, te, cośmy wczoraj ustalili...

... tak, a do tego obrady komisji – do której godziny pan sobie życzy?
Wie pan, dla mnie to i do piątej rano mogłyby być, ale potem nas jeszcze oskarżą, że starą Romaszewską mordujemy, więc... bo ja wiem, do pierwszej w nocy niech będzie.

Wedle życzenia! I teraz tylko tak – ogólna wytyczna dotycząca sposobu działania i poziomu masakracji prezydenta jaka ma być? Bo ja wiem, że się pan prezes nie lubi wdawać w szczegóły, więc tak generalnie pytam: łagodnie, lekko po bandzie, po bandzie czy jazda bez trzymanki?
Nie róbmy od razu wielkiej wojny. Niech będzie po bandzie. Duda w Wietnamie z żółtkami gada, zanim się zorientuje, to pan już dawno wszystko przeprowadzi. Prawda, panie proku... panie pośle, znaczy się?

Tak jest, panie prezesie!
Wykonać!

©℗ *Łukasz Warzecha*

OD RZECZY

„Polacy nie są gotowi na demokrację. Demokracja to ustrój dla ludzi wykształconych, mądrych i prawych [...]".

***ADAM MAZGUŁA**, działacz KOD, na Facebooku*

eprasa.pl 13086b07b7

Lukrowanie

fot. Jerzy Gumowski

Polakom można zarzucać różne rzeczy, jednak do tych przewin z pewnością nie należy brak szacunku wobec zmarłych rodaków. Nawet swych zmarłych wrogów Polak prędzej wychwala niż wyklina. Co znaczy, że jesteśmy plemieniem szanującym dewizę Plutarcha: *„De mortuis aut bene, aut nihil”* (O zmarłych trzeba mówić dobrze lub wcale), i podobną Diogenesa: *„De mortuis nil nisi bene”* (Zmarłych trzeba wspominać tylko dobrze). Prowadzi to czasami ku granicom politycznego kabaretu. Gdy zmarł niedawno Wojciech Młynarski, pisowcy i wszelacy antysalonowcy (kontrsalonowe media, persony, autorytety, harcownicy itp.) gloryfikowali go hucznie/chóralnie, mimo że był aktywistą Salonu i w TVN oraz w **„GW”** do tchu ostatniego postponował/flekował PiS jako twórcę *„demokracji policyjno–wyznaniowej”*, satrapę, złodzieja wolności, dopust diabła. PiS wolało udawać, że takie gromy ciskane przez *„mistrza”* nie miały miejsca, i składało mu hołd identyczny jak hołdy Salonu. Pełna obłuda? Pełna hipokryzja? Ależ skąd! Coś wręcz przeciwnego: pełna kultura, pełna kindersztuba, czołobitność pełna lukru.

Jesteśmy wirtuozami lukrowania funeralnego. Gdy *„odchodzi”* Kulczyk, oligarcha uesbeczony źródłowo (WSI) — media pieją jaki to był filantrop o anielskim sercu. Gdy *„odchodzi”* reporter sportowy Tomaszewski, konfident SB (TW *„Guzikowski”*) — leci zaśpiew jaki to był dżentelmen, chodząca godność. Gdy *„odchodzi”* Urbański, kombinator polityczny i kryptosalonowy bufon, który zdradził swoich antysalonowych mocodawców (m.in., będąc szefem TVP, zainstalował drapieżnego Lisa za bajońską gażę) — pompatyczne laurki fruwają we wszelkich mediach. Itd., itp. — można podać multum przykładów. Czasami do rozpuku komicznych, chociażby wówczas, gdy Sejm III Rzeczypospolitej ceremonialnie oddaje cześć zmarłemu aktorowi Mikulskiemu za to, że ten fajnie zagrał agenta NKWD Hansa Klossa (nie mówiąc już o tym, że był dupolizem gen. Jaruzelskiego, godłem *„junty jaruzelskiej”*, frontmanem ZOMO, PRON–u, itp.). W grypserze teatralnej taka szopka zwie się *„tragikomedią”*. A *„tragifarsą”* ta z niejakim Danielem, zasztyletowanym przez pracownika *„kebabu”*. Część mediów wypisywała mu łzawe laurki jako niewiniątku, „zapominając”, iż ów 21–latek był żulem karanym wcześniej za brutalne rozboje, i że „poległ”, bo właśnie dokonał w *„kebabie”* kolejnego rabunku.

Lukrujemy na potęgę nie tylko swoich zmarłych, lecz także cudzoziemców. Weźmy choćby germańskiego literata Grassa. Jego sztandarowy produkt, *„gdańska”* powieść **„Blaszany bębenek”**, została w polskiej edycji (1979) całkowicie zmanipulowana wybielająco czyli lukrująco (prezes Powiernictwa Polskiego, Dorota Arciszewska: *„ — Wiele antypolskich sformułowań zniknęło z książki w polskim tłumaczeniu”*). Przedśmiertne wyznanie tego polakożercy, iż za młodu służył ochotniczo w SS, wcale nie zmniejszyło uwielbienia naszego Salonu dlań, Salon bowiem to lewactwo, a Grass był patentowanym lewakiem.

Takim samym lewakiem był Wajda, długoletni członek PPR i PZPR, dumny nosiciel Orderu Budowniczych Polski Ludowej, serdeczny przyjaciel Michnika (razem zakładali Agorę), prymus Salonu najpierw czerwonego, później różowego. W 1975 roku Wydział Pracy Ideologiczno–Wychowawczej Komitetu Centralnego PZPR unosi się nad faktem, że *„Andrzej Wajda znowu opowiedział się klasowo”*. Tych, co mogliby mieć wątpliwości à propos strony, za którą *„opowiedział się klasowo”* reżyser, doinformowuję cytując niżej dwóch czerwonych politruków kulturowych PZPR–u, Konwickiego i Putramenta. Konwicki bił Wajdzie brawo za *„robienie filmów z pozycji komunistycznych”*, a Putrament zwał go wirtuozem *„rozładowywania kompleksów antyradzieckich”* i dodawał: *„Wajda wydaje mi się najbliższym Marksizmowi filmowym twórcą”* (sam Wajda przyznawał, że na Marksa i Lenina powoływał się w życiu szczególnie często). Gdy zmarł, biła mu laurkowe pokłony cała rodzima *„prawica”*, niepomna, że dopiero co kazał się fotografować jak klęczy u grobów sowieckich żołnierzy, i że większość jego filmów to straszliwe knoty, na czele z bezczelnie kłamliwą hagiografią *„Bolka”*. Przez czysty przypadek owo postfuneralne lukrowanie zakłócił wybuch furii aktora Lindy, który sponiewierał ostatni film *„mistrza”* (rzeczywiście beznadziejny, a Linda grał w nim głównego bohatera), używając publicznie kolokwialnych wyrazów na k, ch, itp. A fe!

Juliusz Słowacki:
„O dzika żądzo pośmiertnej chwalby,
Głupstwem ludzi rozmarzonej!”

Wkrótce po Wajdzie zmarł w USA Brzeziński, eksdoradca prezydenta Cartera, i cała Polska (prawica tudzież lewica) załkała hołdowniczo, sławiąc dawny wpływ nieboszczyka na międzynarodową politykę. Ów teoretyk polityki był drugorzędnym politologiem amerykańskim póki nie został zaangażowany (1977) przez Biały Dom, ściślej: przez jednego z najgłupszych (a w konsekwencji tylko jednokadencyjnych) prezydentów USA. Brzeziński swymi durnymi radami odebrał pryncypałowi szansę na drugą kadencję, sobie zaś ufundował bezlitosną opinię ekspertów: *„Najgorszy w XX stuleciu Doradca ds. Bezpieczeństwa Narodowego”*. Chociaż był twardym antykomunistą — nawet prawicowi komentatorzy nie zostawiali na nim później suchej nitki (m.in. za przeszacowywanie siły ZSRR). Prof. Ryszard Legutko tezy analityczne Brzezińskiego zwał *„mieszaniną fałszu i hochsztaplerki”*, *„uczonymi dyrdymałami”*, *„andronami”* i *„głupotami”*, tak owe epitety rozwijając: *„On nigdy nie miał niczego mądrego do powiedzenia. Od czasu, gdy zacząłem czytać Brzezińskiego, nie mogłem się nadziwić jego wielkiej popularności w Polsce (...) Z punktu widzenia trafności analiz Brzeziński to człowiek–katastrofa, a jego pomysły to ciąg kompromitujących wpadek (...) Nie chce mi się wypisywać wszystkich andronów jakie wyszły spod pióra Brzezińskiego, lecz liczba ich jest tak wielka, a waga tak duża, że trudno go nie uznać za kompletnego nieudacznika w politologii (...) Trzeba było rzeczywiście cierpieć na jakąś niewyobrażalną niewydolność władz poznawczych (...) Skąd więc owa reputacja, jaką się w Polsce cieszy? Autor ten opanował umiejętność takiego pisania i mówienia, które sprawia wrażenie wielkiej biegłości i uczoności. Dopiero gdy się przyjrzeć bliżej i skonfrontować z rzeczywistością, okazuje się, że są to bzdury”* (2012). Z kolei Paweł Łepkowski (korespondent w USA) przypominał, że wśród mądrych politologów Zachodu Brzeziński miał zawsze opinię *„idioty z Europy Wschodniej”*, i tak kontrował **„Newsweekową”** hagiografię Brzezińskiego: *„Czas, aby jasno sobie uświadomić, że pan Brzeziński nie jest autorytetem bez skazy — jak to nam próbuje wcisnąć organ Tomasza Lisa. Życie Brzezińskiego roi się od błędów, wpadek i pomyłek. Jego wizje geopolityczne przez lata cechował infantylizm”* (2012).

Rzecz prosta żadne lukrowania postfuneralne nie przebiją tych, które nastąpią kiedyś proWałęsowsko, już teraz bowiem pół narodu maniakalnie hołduje TW *„Bolka”*. Jego dokumentacyjna demitologizacja (płatny szpicel) nie umniejsza w ich oczach (czyli przede wszystkim w móżdżkach) nimbu. Gloria colaborantis! ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 13086b07b7

Lotteria Świąteczna

Bo szczęście chodzi parami!

LOTTO

Kup Zdrapkę i dowolną grę LOTTO i weź udział w loterii

od 24 listopada do 22 grudnia 2017 r.

Do wygrania karty przedpłacone o wartości:

Nagroda główna 100 000 zł

2 x 50 000 zł

32 x 5000 zł

500 x 500 zł

Zarejestruj swój kupon na www.lotteriaswiateczna.pl

Z grą Eurojackpot otrzymasz aż 3 szanse na wygraną w losowaniach nagród!

Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!

EURO JACKPOT · Lotto · Multi Multi plus · Zdrapki · Keno · Mini Lotto · Ekstra Pensja · Super Szansa · Kaskada

www.lotteriaswiateczna.pl

Zapoznaj się z regulaminem loterii na stronie www.lotteriaswiateczna.pl
Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 24 listopada do 22 grudnia 2017 r. lub do wyczerpania puli kodów przewidzianych przez organizatora.
Organizator: Totalizator Sportowy sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa. W przypadku pytań zadzwoń pod numer infolinii: 22 518 21 32 czynnej od poniedziałku do piątku w godz. 8:00 – 16:00, z wyłączeniem dni ustawowo wolnych od pracy. Koszt połączenia zgodny z taryfą operatora.

eprasa.pl 13086b07b7